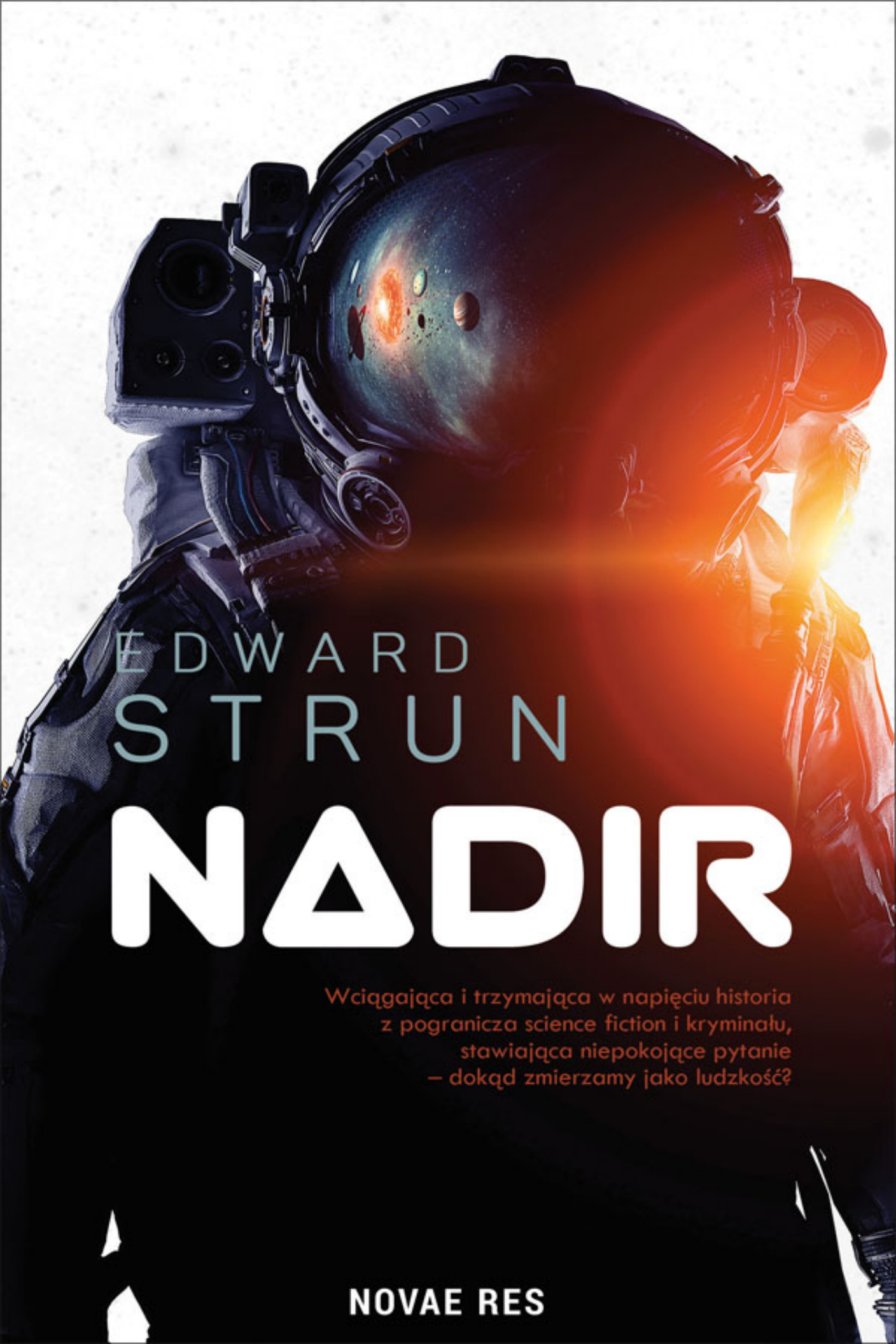
EDWARD
STRUN
NADIR
Wciągająca i trzymająca w napięciu historia
z pogranicza science fiction i kryminału,
stawiająca niepokojące pytanie
– dokąd zmierzamy jako ludzkość?
NOVAE RES

EDWARD STRUN

NADIR

NOVAE RES

Morderca!
Człowiek w płomieniach

Morderca!
Zajrzałem w oczy żywego nieboszczyka

To wciąż ta sama gra – przetrwanie
Niezliczony tłum bawi się w nią odwlekając
Kalectwo i śmierć w strachu przed cierpieniem
Poczucie wolności odeszło

(...)

Podaruj mi sześćdziesiąt dziewięć lat
Kolejne życie w tym piekle
Gdzie rządzą seks i śmierć
Wypełniając plan matki natury

Niczym Prometeusz jesteśmy związani
I przykuci do skały zwanej nowym wspaniałym światem
Taki nasz przeklęty los

Dead Can Dance (Lisa Gerrard, Brendan Perry),
Tekst utworu „Black sun” w przekładzie autora

SPIS TREŚCI

CZĘŚĆ PIERWSZA. LOT

CZĘŚĆ DRUGA. WOJNA INSTYNKTÓW

CZĘŚĆ PIERWSZA

LOT

Lubię przychodzić do sektora zieleni. Tutaj mogę napełnić płuca świeżym powietrzem, na moment zrzucić wszystkie okowy i znów poczuć się wolnym. Niestety, chwile spędzone na łonie natury są jedynie ułudą, oszukiwaniem samego siebie.

Bo na Nadirze nic nie jest naturalne.

Centralną część sektora porasta tropikalna dżungla. Drzewa lasów deszczowych nieustannie wypuszczają młode pędy, wydzierając temu miejscu coraz większą przestrzeń. Za każdym razem, gdy tu zaglądam, odnoszę wrażenie, że wierzchołki mahoniowców oraz palm olejowych są bliżej lamp, zawieszonych pod sklepieniem. Hurmy i bananowce nieprzerwanie rodzą nowe owoce w tak dużych ilościach, że nie jesteśmy w stanie wszystkich zebrać. Większość pada na ściółkę, pomiędzy rozłożyste paprocie, gnijąc tam powoli i użyźniając glebę. Z pozoru najprawdziwsza tropikalna dżungla. Ale wystarczy pobyć tu nieco dłużej, wsłuchać się w odgłosy, popatrzeć uważniej, by przekonać się, że nie jest to naturalny ekosystem. Najpierw każdego zastanowi przejmująca cisza: żadnego brzęczenia owadów, śpiewu ptaków, porykiwań małpiatek, szmeru liści poruszanych wiatrem. Nawet komuś, kto nigdy nie był w którymś z równikowych rezerwatów przyrody – ostatnich miejsc na Ziemi, gdzie można zobaczyć resztki autentycznych lasów deszczowych – brak jakichkolwiek dźwięków wyda się podejrzany. Następnie w oczy rzuci się bezruch, martwota tego miejsca. Wszystko tu jest niczym pojedynczy kadr, wycięty z filmu. Wiatr nie kołysze zwisającymi z drzew lianami, liście nie falują, delikatna bryza nie owiewa twarzy. Po stwierdzeniu tego faktu, każdy instynktownie spojrzy w górę, wypatrując szkwału szalejącego w czubkach drzew, lecz tam także nie dostrzeże ruchu. Nie zobaczy również błękitnego nieba, jedynie

oślepiające, zimne światło lamp. Wówczas nikt nie będzie miał już wątpliwości, że znajduje się wewnątrz sztucznego tworu, skrawka lasu wyhodowanego przez człowieka – a w zasadzie przez jego komputery i maszyny. Teraz wystarczy tylko dokładniej przyjrzeć się dżungli, żeby dostrzec kolejny szczegół: pionowe kominy systemu wentylacyjnego, przecinające regularną siatką roślinność i wpadające do zbiorczych przewodów pod sklepieniem. Niełatwo je zauważyć, ponieważ filodendrony, liany oraz młode gałęzie drzew oplotły je szczelnie, jakby chciały ofiarować załodze Nadira jeszcze więcej życiodajnego tlenu. Od czasu do czasu Joe i ja musimy karczować rośliny, które zanadto zapędzają się w swoich zamiarach, zatykając czerpnie powietrza. Poza tym w tej części sektora nie mamy zbyt wiele pracy; oprócz wycinania chaszczy i zbierania owoców, do naszych obowiązków należy podlewanie dżungli w sekcji C, gdzie awarii uległy automatyczne zraszacze. O całą resztę dba pokładowy komputer.

Mnóstwo czasu za to spędzamy w zewnętrznym pierścieniu sektora zieleni. W obszarze tym, oddzielonym grubą ścianą od części centralnej, panują zdecydowanie bardziej przyjazne dla człowieka warunki: chłodniejsze powietrze, mniejsza wilgotność. Rosną tu przede wszystkim drzewa i krzewy owocowe strefy umiarkowanej. Jabłonie, wiśnie, grusze, porzeczki, pomidory – wszystko rozmieszczone w regularnych kwadratach, pomiędzy którymi biegną wąskie ścieżki. Joe i ja podlewamy te rośliny, pielęgnujemy je, poświęcamy im mnóstwo czasu, a one odwdzięczają się nam słodkimi owocami.

Monotonne, jednostajne ględzenie Joego sprawiło, że od dłuższego czasu pogrążony byłem w rozmyślaniach. Nie miałem ochoty konwersować; zrywałem czarne porzeczki, klęcząc pośród krzewów. Zamierzałem jak najszybciej zebrać wystarczająco dużo owoców, grzecznie się pożegnać i odejść do swojej kajuty. Często drażniła mnie gadatliwość Joego, mimo to zawsze starałem się nie

okazywać irytacji, bo wiedziałem, że jestem jedyną osobą, z którą może porozmawiać.

Z zadumy wyrwało mnie słowo „miłość”.

Joe niekiedy wspominał o tym wzniosłym uczuciu i zawsze były to wypowiedzi burzące krew w żyłach. W jego przypadku miłość nigdy nie pasowała do kontekstu, była jak dumny paw w brudnym kurniku.

Uniosłem głowę i spojrzałem na niego ponad krzakiem porzeczek. Podlewał grządki z pomidorami. Stał jak zwykle zgarbiony, przygaszony, ze wzrokiem wlepionym w strumień wody tryskający z końcówki szlaucha. Więzienny uniform wisiał na nim niczym na wieszaku, rude włosy były tłuste i nieuczesane, a bladą twarz pokrywał kilkudniowy zarost. Wyglądał naprawdę okropnie. Wielkie sińce pod oczami i zapadnięte policzki świadczyły o wycieńczeniu, natomiast rozedrgane dłonie oraz łamiący się głos mogły być objawami załamania nerwowego. Jak długo jeszcze pociągnie? – musiałem w myślach zadać to pytanie.

– …przeniosła się do naszej szkoły, kiedy byliśmy w piątej klasie – ciągnął niestrudzenie. – Zmieniła szkołę, bo jej rodzice się rozstali. Ojciec został w starym mieszkaniu, a ona wyjechała razem z matką i jej kochankiem. Miała na imię Maya. Wpadła mi w oko od pierwszego wejrzenia. Jakby mnie ktoś w łeb obuchem trzasnął. Miałeś tak kiedyś?

– Chyba miałem – bąknąłem.

– Czyli wiesz, jak to jest. Byłem wtedy gówniarzem. Miałem jedenaście lat. Po kryjomu kochałem się w tej Mayi do końca szkoły. Cały czas myślałem tylko o niej, marzyłem, że może kiedyś, w jakichś przypadkowych okolicznościach, uda mi się ją poznać. Byłem dzieciakiem. Nie miałem odwagi podejść i zwyczajnie zagadać. Czasem wyobrażałem sobie, że ona nagle mdleje, traci przytomność, ma jakiś wypadek lub coś podobnego, a ja, i tylko ja, przybywam jej dzielnie na ratunek. Przeprowadzam sprawnie pierwszą pomoc, sztuczne oddychanie usta-usta, itp. Rozumiesz?

– Mhm.

Najwyraźniej już wtedy miał słabość do dzieci – pomyślałem złośliwie. Dla nikogo nie było tajemnicą, że trafił tutaj za molestowanie nieletnich; w więzieniu tego rodzaju zbrodni nie sposób ukryć. Zawsze znajdzie się „życzliwy klawisz" pałający nienawiścią do pedofilów, który szepnie słówko komu trzeba. Potem od razu przyszywają człowiekowi łatkę. Reputacja Joego zawędrowała wraz z nim nawet na pokład Nadira – i trudno wyjaśnić jak tu dotarła, ponieważ oficjalnie nikt z załogi przed wejściem na statek nie miał prawa poznać życiorysów współtowarzyszy. Zapewne kolejna zasługa „życzliwego klawisza"… Joemu udowodniono ponad trzydzieści gwałtów, z których kilka skończyło się dla ofiar nie tylko poważnym uszczerbkiem na zdrowiu psychicznym, ale również obrażeniami fizycznymi: siniakami, zadrapaniami. Rudzielec jednak uparcie twierdził, że niczego złego nie uczynił. Niegdyś na Ziemi dorabiał jako katecheta w jakimś podejrzanym Kościele Chwały Jezusa, lecz nauczanie o bożym miłosierdziu raczej nie było sensem jego życia. Wolał wykorzystywać stanowisko do nawiązywania bliskich relacji z małymi dziewczynkami lub chłopczykami – płeć nie była istotna, liczyła się tylko młodość. Wiele razy przekonywał mnie, że nigdy nie skrzywdził żadnego dzieciaka. Utrzymywał, że swoich podopiecznych z kółka różańcowego kochał „najbardziej na świecie" i „prędzej oddałby życie, niż sprawił ból którejś z tych cudownych, bezbronnych istot". „Miłość dorosłego człowieka do dziecka to coś naprawdę wspaniałego; może być czysta i niewinna". Czasem, kiedy opowiadał takie brednie, ciężko było mi opanować obrzydzenie do niego i do wszystkich plugastw, których niegdyś się dopuścił. Mimo to zawsze tłumiłem w sobie pogardę, bo za każdym razem dochodziłem do wniosku, że nie powinienem go osądzać. W końcu ja również miałem swoje na sumieniu i nie znalazłem się na pokładzie Nadira bez przyczyny. Poza tym kara, jaką ponosił, była naprawdę surowa.

Joe lubieżnie oblizał wargi – najwidoczniej wyobraził sobie sztuczne oddychanie usta-usta.

– Chodziło o to, że po takiej akcji ratunkowej dziewczyna byłaby mi dozgonnie wdzięczna. Sama chciałaby się ze mną umówić, bo przecież w końcu byłbym jej wybawcą. A ja oczywiście udawałbym skromność i powtarzałbym, że niczego nadzwyczajnego nie dokonałem. Ile razy marzyłem o czymś takim… Jednak nie muszę chyba mówić, że marzenia się nie spełniły.

– Domyślam się.

– Tak więc byłem w niej zakochany aż do ostatniej klasy i wyobraź sobie, że na balu pożegnalnym, pod sam koniec szkoły… Zapomniałem wcześniej powiedzieć, że na bal poszedłem z taką jedną Suzi. Była to córka sąsiadki i jednocześnie najlepszej przyjaciółki mojej mamy. Więc na tym balu okazało się, że Maya… leci na mnie. Wyobrażasz sobie?

– Nie – odbąknąłem, nie ukrywając znużenia.

Joemu to nie przeszkadzało.

– Podeszła do mnie jej koleżanka i powiedziała, że podobam się Mayi i jeśli chcę, mogę zaprosić ją do tańca, ona na to czeka i na pewno nie odmówi. Niesamowite, nieprawdaż?

– Mhm.

– I wiesz, co się stało?

Pokręciłem przecząco głową.

– Maya nagle przestała mi się podobać. W jednej chwili stwierdziłem, że nie jest w moim typie. Nie poprosiłem jej nawet do pieprzonego tańca. Upatrzyłem sobie inną koleżankę.

– Ale z ciebie łajza – rzuciłem i wybuchnąłem śmiechem. Joe śmiał się razem ze mną.

Chwila beztroski nie trwała długo. Za plecami usłyszałem nieprzyjemny wrzask:

– Ruszcie dupy, dziewczynki! Anselmo wzywa!

Obejrzałem się i zobaczyłem Czachę. Idealnie gładka łysina błyszczała w świetle lamp, a na potężnej, końskiej szyi oraz na muskularnych barkach zawisł cień wiśni rosnącej nieopodal. Zawsze zastanawiałem się, ile ten facet musiał pochłonąć rozmaitych

anabolików, aby tak wyglądać. Wzrostem przewyższał mnie o głowę, plecy miał dwa razy szersze, a bezrękawnik na jego piersi był napięty w takim stopniu, iż odnosiłem wrażenie, że materiał za chwilę nie wytrzyma i rozedrze się na kawałki. Respekt budziły również bicepsy o obwodzie zdecydowanie większym niż obwód moich ud oraz tatuaże, pokrywające znaczną część ogromnego cielska – wprost nie można było wypatrzyć centymetra kwadratowego wolnego od różnego rodzaju wzorów, rysunków lub podobizn roznegliżowanych panienek.

Joe natychmiast zakręcił zawór, odłożył szlauch i ustawił się za plecami Czachy. Ja wróciłem do zrywania porzeczek. Zazwyczaj wzywali tylko Joego, rzadko byłem im do czegoś potrzebny, więc uznałem, że również tym razem moja obecność będzie zbędna.

– Głuchyś jest, patałachu?! – wrzasnął Czacha, obrzuciwszy mnie pogardliwym spojrzeniem. Z masywnej szyi groźnie spoglądały wyłupiaste ślepia warana z Komodo. – Ruchy, kurwa!

Usłuchałem. Opuściliśmy sektor zieleni, zeszliśmy po schodach i znaleźliśmy się w korytarzu obwodowym na środkowym pokładzie, skąd prowadziła prosta droga do strefy kwater. Gdy stanęliśmy u wejścia do kajuty Anselma, zza drzwi dobiegły nas krzyki. Czacha chwilę nasłuchiwał, zastygłszy z klamką w dłoni. W końcu postanowił wkroczyć do środka. Pchnął drzwi i zrobił to z wrodzonym sobie brakiem wyczucia. Zawiasy rozpaczliwie jęknęły, a zaraz potem skrzydło drzwiowe z hukiem uderzyło w ścianę. Naszym oczom ukazało się wnętrze małego pokoiku. Kajuta Anselma nie różniła się niczym od innych kwater: łóżko, niewielki stolik w kącie, szafka na ubrania, a wszystko otoczone brudnymi, metalowymi ścianami, z których odchodziła szara farba. Na pryczy siedziały dwie postacie. Sylwetki nawet nie drgnęły; w najmniejszym stopniu nie zareagowały na ogłuszający łomot, który towarzyszył otwieraniu drzwi. Kontynuowały ożywioną dyskusję, nie spojrzawszy w naszym kierunku.

– Co ty pierdolisz?! – zapiszczał Gordon, rzuciwszy z irytacją wachlarz kart na stolik. – Myślałem, że znasz zasady!

– No bo znam – zapewnił go Wisior.

– Gówno, a nie znasz! Gdybyś znał, to wiedziałbyś, że kareta jest wyższa od strita!

– Niemożliwe! Kto cię uczył grać, stary? Babcia?

– Grałem w pokera, gdy byłeś jeszcze w brzuchu matki.

– Jasne. Grałeś z babcią i dziadkiem.

– Zamknij mordę, bo już nie mogę cię słuchać! Nie dość, że jesteś skończonym debilem, to jeszcze wykłócasz się jak stara menda! Przegrałeś rozdanie i chuj! Więcej z tobą nie gram. Jeśli będzie ci się nudzić, pobaw się z tym pedałkiem, a mi daj, kurwa, spokój!

– Nie będę bawił się z żadnym pedałkiem! Nie kręcą mnie takie rzeczy! Tylko raz spróbowałem, dawno temu, a ty wciąż mi to, kurwa, wypominasz!

Niesamowite – przemknęło mi przez myśl – rżną w pokera od tylu lat, a Wisior wciąż nie zna zasad. Ale z drugiej strony strit i kareta w jednym rozdaniu zdarzają się niezwykle rzadko.

Wisior naprawdę się wkurzył. Tętnice na jego skroniach pulsowały w rytm uderzeń serca, twarz nabrała żywszych kolorów. On traktuje serio takie idiotyczne sprzeczki? Wisior, podobnie jak Czacha, był rosłym osiłkiem z ogoloną na łyso głową. Obaj spędzali mnóstwo czasu, ćwicząc w mesie. Często korzystali z hantli, ciężarków i innych przyrządów gimnastycznych, które mieliśmy na pokładzie Nadira. Jednak, mimo że Wisior swoją posturą mógł budzić postrach, Czacha zdecydowanie przewyższał go wzrostem, masą mięśni i liczbą tatuaży.

– Przyprowadziłem tych obesrańców – nieśmiało zagadnął Czacha. Był wyraźnie speszony. Jak to możliwe, że ta ogromna góra mięśni czuje tak duży respekt przed Gordonem, który w gruncie rzeczy nie należy do ludzi postawnych? Odpowiedź na to pytanie była prosta: Anselmo darzył Gordona o wiele większym szacunkiem, dzięki czemu ów niewysoki, przygarbiony cwaniaczek zajmował dużo wyższą

pozycję w tutejszej hierarchii. Już na pierwszy rzut oka Gordon sprawiał wrażenie spryciarza, w jego twarzy kryło się coś trudnego do zdefiniowania, jakaś wrodzona przebiegłość. Taki typ człowieka bez problemu odnajduje się w każdej sytuacji, zawsze wie, po czyjej stronie stanąć, by osiągnąć dla siebie maksymalną korzyść, wokół kogo się zakręcić i jak tego kogoś podejść fałszywymi pochlebstwami. Oczy Gordona rzucały chytre spojrzenia, jakby chciały powiedzieć: „Uważaj! Masz do czynienia z nie lada cwaniakiem”. Wrażenie to potęgował orli nos i zrośnięte, krzaczaste brwi. Gordon kiedyś na Ziemi parał się handlem prochami. Został skazany za to, że razem ze swoimi gorylami zatłukł na śmierć kilku wyrostków, którzy nie byli w stanie spłacić zaciągniętych u niego długów.

– Pięknie – sarknął Gordon. – Ale po co przywlokłeś ich tutaj? Przecież mówiłem wyraźnie, że Anselmo czeka przy wejściu do Prezbiterium.

– Przy wejściu do Prezbiterium? – zdziwił się Czacha. – Na dolnym pokładzie?

– A jest jakieś inne Prezbiterium?

– Ale po cholerę…

– Nie dyskutuj, tylko zasuwaj tam czym prędzej, bo szef jest dzisiaj nieźle wkurwiony. Jak będziecie się guzdrać, wkurwi się jeszcze bardziej.

Czacha odwrócił się i mocno pchnął Joego, tak że ten, nie będąc w stanie utrzymać równowagi, wyłożył się jak długi na metalowej podłodze.

– Rusz się, ciotko, i zapierdalaj! – wrzasnął, prężąc mięśnie na potężnym karku. – Słyszałeś, że nie mamy, kurwa, czasu! Ty też się rusz – warknął na mnie.

– Czaszeczko – zgrzytnął nieprzyjemnie głos Gordona.

Osiłek spojrzał pytająco na kolegę.

– Weź latarkę, bo inaczej pośliźniesz się na własnych smarkach.

Czacha skinął głową. Gordon rzucił mu latarkę. W tym czasie ja pomogłem Joemu wstać.

Wyszliśmy z kajuty i ruszyliśmy korytarzem w kierunku schodów prowadzących na dolny pokład. Rzadko bywaliśmy na tym poziomie. Maszyny, zajmujące większą część znajdujących się tu pomieszczeń, chodziły bez zarzutu, od dziesiątek ziemskich lat zakłócając ciszę ledwo słyszalnym szumem silników. Wszystkie drzwi były zamknięte, skrywały tajemnice, których najwyraźniej, w zamyśle konstruktorów tego miejsca, nie mieliśmy prawa poznać. Korytarze tonęły w mroku, a w każdym zakamarku czaił się jedynie strach. Pamiętam, że na początku podróży próbowaliśmy sforsować zamknięte drzwi dolnego pokładu, niestety nie dysponowaliśmy odpowiednimi narzędziami i nasze starania spełzły na niczym. Najsolidniejsze wrota znajdowały się na końcu głównego korytarza. Widniał na nich wytłoczony oraz pomalowany czerwoną farbą napis „PRZBT”. Dlatego pomieszczenie to nazwaliśmy Prezbiterium. Kolejną nieodgadnioną tajemnicą była maleńka klawiatura numeryczna, zlokalizowana w środkowej części korytarza. Jakby czekała, aż ktoś wprowadzi odpowiedni kod. Tylko kto miał to zrobić i kiedy? I co stanie się po wybraniu właściwej kombinacji?

Zaczęliśmy przemierzać pogrążony w ciemności korytarz. Czacha szedł przodem, oświetlając latarką drogę przed nami. Joe i ja niepewnie stąpaliśmy tuż za nim. Dobrze wiedzieliśmy dokąd idziemy, choć chodziliśmy tędy niezwykle rzadko. Niespokojne myśli kłębiły się w mojej głowie. Czego może chcieć Anselmo? I czemu wezwał nas na dolny pokład? Nie wróżyło to niczego dobrego. Najniższy poziom statku zawsze napawał mnie przerażeniem, a teraz uczucie to potęgowała wizja pogaduszki z samozwańczym przywódcą. Rozmowy z tym człowiekiem zazwyczaj nie należały do przyjemnych. Trudno było wywnioskować, co tym razem strzeliło mu do głowy.

Na skutek rozmyślań o konfrontacji z Anselmem dopadł mnie jeszcze większy strach. Jakaś niewidzialna siła chwyciła mocno za gardło i nie chciała puścić. Odniosłem wrażenie, że jestem sparaliżowany od pasa w górę – nogi dzielnie wykonywały swoją

powinność, stawiając krok za krokiem, natomiast ręce, kark i mięśnie twarzy zesztywniały.

Po pokonaniu kolejnego zakrętu, na samym końcu korytarza dostrzegłem punktowe, nerwowo wiercące się światełko. Nietrudno było odgadnąć, że to latarka, którą trzymał w dłoni Anselmo. Czacha skierował wiązkę światła w tym kierunku. W ciemnościach zamajaczyły dwie sylwetki. Kiedy podeszliśmy nieco bliżej, rozpoznałem również drugą postać – był to Hernandez, prawa ręka przywódcy. Obaj mieli śniadą cerę, ciemne oczy i czarne, krótko przystrzyżone włosy. Anselmo był nieco wyższy i lepiej zbudowany. Podobnie jak Czacha i Wisior, nigdy nie nosił góry z więziennego uniformu. Obcisły podkoszulek, który miał na sobie, uwydatniał mięśnie i tatuaże. Gdy stanęliśmy obok niego, obrzucił nas groźnym spojrzeniem. Smoliste oczy zaiskrzyły, a czoło zmarszczyło się gwałtownie.

– Co to ma znaczyć? – warknął na Czachę.

– Co? – Osiłek był zaskoczony.

– Kogo kazałem, kurwa, przyprowadzić?

– Gordon powiedział… rozmawiałem tylko z Gordonem…

Anselmo spojrzał na Hernandeza. Ten wzruszył ramionami.

– Zleciłem to Gordonowi – wyjaśnił – ale zaznaczyłem wyraźnie, że chodzi o Logana. Nie wspomniałem o nikim innym.

– Mogłeś załatwić to osobiście, do kurwy nędzy – syknął Anselmo, po czym znów zwrócił się do Czachy: – A ty zabierz stąd tę ciotę – wskazał palcem Joego – i zejdź mi z oczu.

– Ale to nie moja wina – bronił się wielkolud. – Gordon powiedział…

– Gordon?! Kurwa mać! Jestem pewien, że Gordon tak nie powiedział!

Czacha zmilczał, przyjął reprymendę z miną uczniaka.

– Powierzam wam proste zadanie! – ciągnął Anselmo. – Najprostsze! Prostszego, kurwa, nie mogę sobie wyobrazić, a wy jeszcze to spierdolicie. Nikomu nie chce się ruszyć dupska i pójść na

górny pokład. Łatwiej, kurwa, wysługiwać się Czachą. Jebana banda leni.

Zerknąłem na Hernandeza. Nie odezwał się ani słowem, jednak jego mina mówiła bardzo wiele: zmarszczone czoło, zaciśnięte zęby. Duma została mocno nadszarpnięta, co widać było na pierwszy rzut oka, nawet w słabym świetle latarek. Czacha stał ze zwieszoną głową. Waran z Komodo na szyi osiłka również stracił rezon; prysła gdzieś drapieżność dzikiej bestii, wyglądającej teraz jak malutka, niegroźna jaszczurka w domowym terrarium. W jednej chwili Czacha – potężny dryblas, który wzbudzał respekt samą swą posturą – wydał mi się bezbronny niczym dziecko. Przestałem zauważać wszystkie tatuaże i naprężone mięśnie, a zobaczyłem jedynie głupiutkiego człowieczka.

– Rusz się wreszcie – ofuknął go Anselmo – i zabierz stąd tę ciotę. – Pchnął nerwowo Joego.

Czacha burknął coś po cichu do rudzielca – nie byłem w stanie usłyszeć, co powiedział – po czym oddalił się razem z nim w stronę schodów na wyższy pokład.

– Debil – rzucił Anselmo, odprowadzając ich wzrokiem. Hernandez wciąż milczał.

– A ty patrz! – Przywódca zwrócił się do mnie, kiedy tamci zniknęli z pola widzenia. Snop światła latarki skierował na podłogę tuż pod drzwiami Prezbiterium.

Przez dobrych kilka sekund nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Zobaczyłem ślady butów – i nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie fakt, że jeden z nich znajdował się na progu, tylko w połowie po naszej stronie drzwi. Druga część skryta była za drzwiami Prezbiterium.

– Jasna cholera – zakląłem po cichu.

– No, właśnie! Jasna cholera! – powtórzył znacznie głośniej Anselmo. – Choć ja użyłbym nieco mocniejszego słowa.

Hernandez podrapał się po karku, patrząc w zadumie na ślad podeszwy.

– Kto tam był? – zapytałem, kiedy pierwsze emocje ze mnie opadły.

Nie doczekałem się odpowiedzi.

– Chyba można to określić na podstawie tych śladów – ciągnąłem. – Rozmiaru buta, wzoru na podeszwie?

Anselmo obrzucił mnie krytycznym spojrzeniem.

– Postaw stopę na jednym z nich – powiedział rozkazującym tonem.

Osłupiałem. W jednej chwili obezwładniło mnie przerażenie, a serce podeszło do gardła. Czyżby mnie podejrzewał?

– No, kurwa, postaw! – wrzasnął jeszcze bardziej stanowczo.

Bez zwłoki wykonałem polecenie. Anselmo skierował latarkę wprost na moją stopę.

– I co? Pasuje? – zapytał.

Nie miałem pojęcia, co odpowiedzieć. Mogłem oczywiście od razu zaprzeczyć, co może i byłoby naturalną, wręcz instynktowną reakcją, ale czyż nie o to mu chodziło? Czy nie chciał od razu zepchnąć mnie do panicznej defensywy? Sprawić, bym zaczął histeryzować, bełkotać niezrozumiale? A potem rzucić mi w twarz wyświechtanym frazesem, zagrzmieć złowrogo: „Tylko winny się tłumaczy”. Wiedziałem, że teraz wystarczy jeden błąd, bym ugrzązł na niepewnym gruncie usprawiedliwień, podczas gdy on będzie napierał coraz mocniej i mocniej. To była jego metoda na złamanie każdego. I ta metoda zazwyczaj działała.

– Pasuje? – powtórzył pytanie, nieco bardziej nerwowo. Hernandez przyglądał mi się z zaciekawieniem.

– Moim zdaniem nie pasuje – powiedziałem ostrożnie.

– A twoim zdaniem? – Anselmo spojrzał na swojego pomocnika.

– Nie wiem – odparł Hernandez. – Trudno powiedzieć.

– Ano właśnie – ucieszył się przywódca. – Trudno powiedzieć.

Zdziwiła mnie ta nagła zmiana nastroju. Odetchnąłem z ulgą i na spokojnie przyjrzałem się śladom. Były rozmazane, niedokładnie odciśnięte, żaden z nich nie odzwierciedlał całej podeszwy. Im dalej

od drzwi, tym były bledsze, aż w końcu po mniej więcej pięciu metrach nikły zupełnie. Najwidoczniej ktoś będąc w Prezbiterium, wdepnął w jakiś pył, kurz, czy coś podobnego. Gdzieniegdzie widać było wyraźnie wzór podeszwy. Niestety, na tej podstawie trudno będzie zidentyfikować sprawcę. Wszyscy tutaj nosimy ten sam rodzaj butów, przydzielanych systematycznie przez bezduszny automat.

Problem był naprawdę poważny.

***

Czasami nie potrafię zasnąć. Zazwyczaj przewracam się wtedy na pryczy z boku na bok i rozmyślam. Wracają wspomnienia, przed oczami stają obrazy – strzępy dawnego życia na Ziemi. W głowie kołacze jedno pytanie: Dlaczego akurat mnie spotkał taki los? Gdybym tylko miał dość odwagi, żeby z tym skończyć…

Nadir – najgorsze przekleństwo, więzienie doskonałe, bez krat i strażników, metalowa puszka otoczona ciszą i próżnią. Stąd nie ma ucieczki. Śmierć jest jedynym sposobem na opuszczenie pokładu.

Do dziś pamiętam przemówienie Francisa Schunnenberga, ósmego prezydenta Federacji Ziemskiej. Oglądałem je w telewizji jako dwunastoletni chłopiec, siedząc w świetlicy domu dziecka na jakimś zadupiu w Zachodniej Wirginii. Wówczas jeszcze nie wiedziałem, że decyzja tego człowieka będzie miała tak duży wpływ na moje przyszłe życie. Mimo to mowa prezydenta wywarła na mnie ogromne wrażenie.

– Bóg stworzył wspaniały Wszechświat – powiedział Schunnenberg – i stworzył go tak rozległym, że samo ogarnięcie jego rozmiarów wymyka się możliwościom ludzkiego umysłu. Stwórca postąpił z rozwagą, kierując się wyrachowaniem i premedytacją, a cel, jaki chciał osiągnąć, mógł być tylko jeden: uniemożliwienie kontaktów pomiędzy cywilizacjami, zrodzonymi niezależnie od siebie na dwóch różnych planetach obiegających dwie różne gwiazdy. Aby zamysł ów zrealizować, Bóg wymyślił przede wszystkim grawitację, której zadaniem było uwięzienie istot rozumnych na rodzimym globie.

Tę przeszkodę człowiekowi udało się pokonać wieki temu dzięki silnikom odrzutowym, potrafiącym rozpędzać rakiety do szybkości przewyższającej prędkość ucieczki z pola grawitacyjnego Ziemi. Lecz Stwórca był zdecydowanie bardziej przebiegły. Oprócz grawitacji i nieprawdopodobnych odległości w Kosmosie wymyślił także ograniczoną długość życia organizmów biologicznych oraz prędkość światła, której osiągnięcie zgodnie ze szczególną teorią względności jest niemożliwe. Możemy zatem być pewni, że Bóg nie życzył sobie, byśmy odwiedzali planety krążące wokół gwiazd, wchodzących w skład Drogi Mlecznej, nie wspominając o ciałach niebieskich skupionych w odległych galaktykach, do których światło Słońca dociera dopiero po milionach lat. Śmiem jednak twierdzić, że przebiegły Demiurg nie docenił naszego gatunku. Cała historia ludzkości to historia walki z ograniczeniami narzuconymi przez naturę. I tym razem również nie może być inaczej! Człowiek musi ów odwieczny bój kontynuować!

Następnego dnia dowiedziałem się, że rząd planuje wysłać w Kosmos statek pełen skazańców. U dwunastoletniego chłopca wiadomość ta wywołała niemałe zdziwienie. Do tamtej pory myślałem, że udział w ekspedycji międzyplanetarnej to powód do dumy, zaszczyt, którego dostąpić mogą tylko najlepsi: piloci, naukowcy, fizycy, inżynierowie, szczęśliwcy, wybrani spośród tysięcy chętnych. I faktycznie tak było kiedyś. Dekady wcześniej. Potem stopniowo wszystko się zmieniało.

W biblioteczce domu dziecka znalazłem kilka popularnonaukowych książek na temat historii eksploracji Kosmosu. Dowiedziałem się wielu ciekawych rzeczy. Mniej więcej sto lat przed moimi narodzinami kosmonautyka przeżywała największy rozkwit. Człowiek zbadał cały Układ Słoneczny, postawił nogę na każdej skalistej planecie, krążącej wokół Słońca, wylądował na wszystkich księżycach obiegających gazowe olbrzymy w rodzimym systemie. Ludzkość, podekscytowana sukcesami, domagała się dalszych podbojów Wszechświata, więc Sztab Badań Międzyplanetarnych

organizował kolejne wyprawy. Niestety, większość z nich miała mało spektakularny finał: zazwyczaj po kilkunastu latach na Ziemię przestawały docierać komunikaty, wysyłane ze statków badawczych. Nikt nie był w stanie powiedzieć, do czego naprawdę doszło na pokładach i co stało się z przebywającymi tam ludźmi. Głównym problemem okazał się brak technologii umożliwiającej hibernację organizmu ludzkiego. Astronauci zazwyczaj źle znosili kilkudziesięcioletnią izolację w przestrzeni kosmicznej. Przełomowy był lot 23-A-25, którego załoga – cztery rodziny z dziećmi w wieku od ośmiu do szesnastu lat – popełniła zbiorowe samobójstwo, wysyłając wcześniej na Ziemię dramatyczną wiadomość. Od tego momentu w masowej świadomości podróże kosmiczne stały się czymś z góry skazanym na niepowodzenie. Śmiałków, którzy wyruszyli na podbój odległych planet, coraz częściej nazywano szaleńcami, trwoniącymi własne życia. Zwykłych ludzi, wpatrzonych w telewizory, przestały obchodzić losy załóg badawczych, a w olbrzymich fabrykach Sztabu Badań Międzyplanetarnych na Księżycu tkwiły bezczynnie dziesiątki prototypów statków kosmicznych. W tej sytuacji Francis Schunnenberg wpadł na „genialne” rozwiązanie tego problemu.

***

Frank jadł powoli, ze wzrokiem wlepionym w stojącą przed nim miskę do połowy wypełnioną białą, kleistą mazią. Anselmo kazał mi mieć go na oku. „To na pewno ten chudy skurwiel – powiedział, kiedy staliśmy przed drzwiami Prezbiterium, wpatrzeni w odciśnięte ślady butów. – Od samego początku miał jakiś uniwersalny klucz, kartę dostępu do wszystkich drzwi. Ten kutas cuchnie tajemnicą na kilometr. Cały czas trzyma się z dala od reszty ekipy, prawie z nikim nie rozmawia. Na pewno pracuje gnój dla federalnych. Sztab nie wysłałby w Kosmos statku pełnego skazańców bez szpicla na pokładzie”.

Nie lubiłem jeść posiłków razem z innymi i raczej starałem się tego unikać. Źle znosiłem jałowe dyskusje przy stole i bezsensowne opowiastki Czachy, któremu nie przeszkadzało mówienie z pełnymi

ustami. Cisza zapadała jedynie wtedy, gdy przełykał kolejny kęs papki. Niestety, tym razem byłem zmuszony wziąć udział w zbiorowym posiłku, ponieważ nie miałem dość odwagi, żeby odmówić Anselmowi, który zaciągnął mnie do jadalni niemal siłą. Byli tutaj wszyscy członkowie załogi Nadira, z wyjątkiem Joego, jednak całą uwagę, z wiadomych przyczyn, skupiałem na Franku.

Zerknąłem na niego. Dłubał niechętnie w jedzeniu i sprawiał przy tym wrażenie, że spożywanie pokarmu jest tylko przykrym obowiązkiem, koniecznym, aby przeżyć. Nieśpiesznie podnosił łyżkę do ust, a następnie połykał białą pulpę, wykrzywiając twarz w okropnym grymasie, zupełnie jakby była to koszmarna udręka. Nic dziwnego, że jest tak przeraźliwie chudy. Sylwetkę miał wręcz zatrważającą; nigdy wcześniej nie widziałem takiego kościotrupa. Z drugiej strony, biorąc pod uwagę jakość pokarmów, serwowanych na Nadirze, jego niechęć do jedzenia nie mogła aż tak bardzo dziwić. Oprócz owoców, które zdołaliśmy zebrać w sektorze zieleni, otrzymywaliśmy także posiłki racjonowane przez pokładowy komputer. Niestety, automat był w swoich obowiązkach naprawdę nieugięty i z niebywałą regularnością raczył nas jedynie kleistą breją w kilku różnych kolorach i smakach, bogatą w proteiny, białka, witaminy, błonnik, magnez, żelazo i wszystko inne, co organizmowi ludzkiemu do życia niezbędne. Ową przydziałową papkę, której walory smakowe pozostawiały wiele do życzenia, pieszczotliwie nazywaliśmy gównem. Na Nadirze mogliśmy zakosztować białego gówna o smaku i zapachu zbliżonym do makaronu, żółtego gówna smakującego trochę jak jajecznica, czerwonego gówna przypominającego wołowinę, różowego gówna przywodzącego na myśl mięso drobiowe i zielonego gówna będącego odpowiednikiem pleśniowego sera. Określenie „gówno” nie było wcale przypadkowe – zgodnie z teorią Czachy jedliśmy własne odchody, wielokrotnie filtrowane, dezynfekowane oraz z dodatkiem smakowych i zapachowych proszków bogatych w substancje odżywcze. Nie byłem w stanie w żaden sposób zweryfikować tej śmiałej tezy, ale

w przeciwieństwie do wszystkich innych pomysłów Czachy, brzmiała zaskakująco wiarygodnie. Takie rozwiązanie problemu defekacji pozwalałoby zaoszczędzić mnóstwo miejsca na pokładzie. W końcu zapasy żywności dla kilkunastu osób, mające wystarczyć na powiedzmy sto lat, wymagałyby naprawdę olbrzymiej powierzchni magazynowej. Poza tym co innego mogło dziać się z naszymi odchodami? Nie przypuszczam, by były uwalniane w próżnię. Specjalna śluza dla kału zdawała się być zbytkiem łaski, a gromadzenie go na pokładzie również było, delikatnie mówiąc, nieekonomiczne. Można zatem przypuszczać, że naprawdę jedliśmy własne odchody i piliśmy własny mocz.

Moje myśli znów wróciły do rozmowy z Anselmem. „Ty – rzekł do mnie, gdy staliśmy w półmroku i oglądaliśmy ślad podeszwy w połowie skryty za drzwiami Prezbiterium. – Ty jesteś dość bystry. (To był jedyny komplement, który usłyszałem z jego ust i chyba w ogóle jedyny, który usłyszałem odkąd znalazłem się na tym przeklętym statku.) Chcę, byś zdobył zaufanie tego skurwiela, spróbował zbliżyć się do niego. Może wtedy uda ci się poznać jego tajemnicę. Ten podstępny kutas na pewno nie zaufa nikomu z moich ludzi. Ale ty masz szansę. Obserwuj go bacznie i donoś o wszystkim co zobaczysz i usłyszysz na jego temat.”

W tym momencie do jadalni wszedł Joe.

Po cholerę tu przylazł? Aż tak bardzo boi się Walta, że posłusznie wykonuje każde jego polecenie? Powinien od czasu do czasu trochę się sprzeciwić i postawić na swoim. Pewnie oberwałby mocniej niż zwykle, ale przynajmniej zyskałby odrobinę szacunku. Chociaż w jego przypadku może być już za późno...

Joe wyjął z suszarki miskę, wsunął ją do podajnika automatu, po czym przyłożył kciuk do czytnika linii papilarnych. Błysnęło niebieskie światełko, urządzenie zeskanowało opuszek palca i wlało do podstawionego naczynia przydziałową porcję białego gówna. Joe wydobył napełnioną miskę, zabrał łyżkę z suszarki, a następnie usiadł przy samym rogu stołu, zajmując najbardziej zniszczone krzesło,

którego skórzane obicie było rozdarte, a gąbka rozbebeszona, wydłubana spod tapicerki. Starał się robić wszystko najciszej, jak potrafił. Wydawać się mogło, że nikt nie zwrócił na niego uwagi; Czacha nieustannie serwował zgromadzonym głupawą paplaninę, a pozostali jedli w milczeniu. Nagle rozległ się brzęk metalowej miski uderzającej o ścianę. Chlusnęła fontanna białej brei.

– Gdzie, kurwa, siadasz!? – ryknął wściekle Walt, strącając zamaszystym ruchem miskę Joego. – Na ziemi żreć! Świnie żrą z ziemi!

Rudzielec popatrzył na niego ze smutkiem.

– Nie patrz tak na mnie, tylko wypierdalaj od stołu.

Joe uklęknął i zaczął wyjadać łyżką rozlaną pulpę z podłogi. Wisior zaśmiał się głośno, szczerząc zęby.

Szlag mnie zaraz trafi – pomyślałem. – Czy im się to kiedyś znudzi?

– …po siłce poszliśmy z Gnatem do Torino – Czacha, jakby nigdy nic, opowiadał kolejną idiotyczną historyjkę. – Jedno piwko, drugie piwko, trzecie. Potem wciągnęliśmy trochę koksu, przypaliliśmy gieta, potem Gnat wyjął zza pazuchy skuna. Jak już się nieźle zjaraliśmy, wpadły nam w oko takie dwie suczki. Gnat zapodał im nawijkę, przysiadły się do nas. Gadka szmatka, cizi-mizi i dupeczki są nasze. Poszliśmy z nimi do mieszkania Gnata. Film mi się urwał, ni chuja więcej nie pamiętam. Obudziłem się rano, a obok mnie w łóżku… Zgadnijcie kto? Matka Gnata we własnej osobie. I pierdoli do mnie coś w stylu: „Dobrze ci było, kochanie?” A ja w ogóle nie wiem co zaszło i gdzie się podziały te dwie laseczki… – Ostatnie słowa wypowiedział, tłumiąc rubaszny chichot.

– Skończ wreszcie – warknął Anselmo. – Ile razy mamy, kurwa, słuchać tych samych pierdół?

– Ale… – Czacha wyraźnie się speszył – ale tego jeszcze nie mówiłem. Pamiętałbym.

– Mówiłeś i to nie raz – zapiszczał Gordon, który lubił wykorzystywać każdą okazję, żeby podlizać się Anselmowi. – Tak

samo jak mówiłeś o tej, którą rymbałeś w szafie, i o dwóch pedałkach, którym kazałeś biegać nago po lesie.

Frank skończył jeść, nieśpiesznie wstał od stołu i odłożył miskę do zmywarki, po czym wyszedł z jadalni. W jaki sposób mam zdobyć jego zaufanie? Zaprzyjaźnić się z nim? Teraz? Po tylu latach, w czasie których nasze stosunki były raczej chłodne? Żądanie Anselma było naprawdę absurdalne i szczerze wątpiłem, że cokolwiek w tej sprawie zdziałam. Chyba nie pozostało mi nic innego, jak dalej robić swoje… Ale jeżeli nie wykażę inicjatywy, Anselmo może mieć do mnie pretensje. Ciarki przeszły mi po plecach na myśl o gniewnym spojrzeniu przywódcy. Zignorowanie jego polecenia mogło skończyć się naprawdę niewesoło. Muszę przynajmniej zachować jakieś pozory i udawać, że staram się wypełnić misję.

Joe także szybko zakończył posiłek. Wybrał łyżką trochę białego gówna z podłogi, ku uciesze Walta i Wisiora, a następnie odłożył sztuciec do zmywarki i ruszył w kierunku drzwi.

– Gdzie, kurwa, leziesz?! – wrzasnął za nim Walt. – Nie wylizałeś dokładnie!

– Nie jestem już głodny – bąknął rudzielec.

– Nie chcesz, nie jedz – powiedział Walt. – Ale kto za ciebie posprząta ten syf?

– Ano, właśnie – zgodził się Wisior, wylewając ostentacyjnie resztę własnego posiłku na podłogę.

Joe zwiesił głowę. Jak zwykle przyjął zniewagi w milczeniu. Było jasne, że za moment bez słowa pójdzie po szmatę i zacznie wycierać rozchlapaną breję.

Wstałem, odłożyłem do zmywarki brudne naczynie, po czym wyszedłem z jadalni. Nie miałem zamiaru po raz kolejny oglądać tej żałosnej farsy. Ruszyłem głównym korytarzem w stronę mojej kajuty. Od czasu do czasu zerkałem na odrapane, metalowe ściany, pełne przewodów. Widok ten zawsze przywodził mi na myśl obrazy zapomnianych, dwudziestowiecznych artystów, takich jak chociażby Giger. W młodości byłem zachwycony jego dziełami. Jakże prawdziwa

była wizja przyszłości przedstawiona przez tego malarza dawno temu. Ciekawe, że ludzi zawsze fascynowała brzydota. Turpizm – tak to chyba się nazywa.

Główny korytarz obwodowy miał kształt pierścienia. Okalał środkowy pokład, stanowiąc podstawowy ciąg komunikacyjny na statku. Można było nim dojść do strefy kwater, do jadalni oraz połączonej z nią mesy, do łaźni, do śluzy, do niewielkiej biblioteczki, do schodów prowadzących na górny i dolny poziom oraz do windy – z tej ostatniej możliwości od dawna nikt nie korzystał, gdyż winda zepsuła się wiele lat temu i od tego czasu stała bezużyteczna, zablokowana na górnym pokładzie. Korytarz obwodowy był także jedynym miejscem na Nadirze, z którego można było podziwiać otaczający nas Kosmos – w regularnych odstępach rozmieszczono tu iluminatory, jedyne okna na świat.

Pokonałem zaledwie połowę drogi do sektora kwater, gdy zauważyłem Franka stojącego przy jednym z iluminatorów. Wyłonił się zza krzywizny wewnętrznej ściany korytarza. Nie miał na sobie koszuli – najwidoczniej wybierał się pod prysznic. Kiedy podszedłem nieco bliżej, po raz kolejny uderzyła mnie jego chudość. Skóra ciasno opinała mu żebra, a na plecach rysowały się kontury wszystkich kręgów. Z zaokrąglonych i przygarbionych barków wystawały nienaturalnie wydłużone łopatki. Z bliska zobaczyłem, jak pod skórą bije mu serce. Ciekawe czy miał tak od urodzenia, czy też wszczepili mu zastawkę albo jakąś elektroniczną pompę?

Ostatnia z tych możliwości była bardzo prawdopodobna. Przed wyruszeniem w podróż wszystkich członków załogi poddano licznym zabiegom medycznym. Chore narządy zastąpiono syntetycznymi odpowiednikami… Ale, co najważniejsze – każdemu zaaplikowano Panaceum, cudowny specyfik zatrzymujący proces starzenia i hamujący rozwój komórek nowotworowych. Sztab sporo w nas zainwestował; włodarze chcieli mieć pewność, że będziemy długo „cieszyć się” życiem i zdrowiem. W czasach, gdy Nadir wylatywał z bazy na Księżycu, Panaceum było lekarstwem, dostępnym tylko dla

najbogatszych ludzi na Ziemi. Nie wiem, czy jego produkcja była naprawdę tak kosztowna, czy po prostu chciano uniknąć przeludnienia, do którego zapewne doszłoby po rozpowszechnieniu leku wśród zwykłych zjadaczy chleba… Nie to jednak w tej chwili było istotne; liczył się jedynie fakt, że ów specyfik wstrzyknięto nam – i trudno nie uznać tego za ironię losu. Przed wiekami najgorszych przestępców skazywano na karę śmierci, dzięki Schunnenbergowi życie więźniów przedłużano w nieskończoność. Co z dwojga złego jest gorsze? Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. Jedno natomiast wiem na pewno: sztuczne narządy oraz lek, który nam podano, sprawiają, że kara jest o wiele surowsza…

Frank z zapamiętaniem wpatrywał się w czerń Kosmosu. Przystanąłem obok niego.

– Czasem współczuję Joemu… – zagadnąłem.

Spojrzał na mnie zdziwiony. Rzadko rozmawialiśmy.

– Nie powinni tak nim pomiatać – ciągnąłem. – Każdy ma granice wytrzymałości.

– Jesteś jego niańką?

– Po prostu uważam, że każdy człowiek zasługuje na godne traktowanie.

– Zatem niech każdy człowiek udowodni, że zasługuje na godne traktowanie.

Wzrok wlepił z powrotem w otchłań za iluminatorem.

Po co ja z nim w ogóle rozmawiam? Czyżbym tak bardzo obawiał się Anselma? Moje przewidywania niestety okazały się słuszne: nigdy nie zdołam wydobyć z tego antypatycznego chudzielca żadnych informacji.

Zniechęcony stanąłem obok niego i, tak jak on, zacząłem wpatrywać się w Kosmos.

Osłupiałem, rażony tym, co ujrzałem.

Słońce!

Wracamy do domu!

Z piersi już miałem wydobyć okrzyk radości… Nie trwało to jednak długo…

To nie może być Słońce.

Nieznana gwiazda jaśniała białym światłem. Była podobna do Słońca, tylko ciut mniejsza – przynajmniej tak mi się zdawało. Dobrze zapamiętałem jak wygląda Słońce obserwowane z Kosmosu. Wpatrywałem się w nie długimi godzinami, gdy Nadir opuszczał Układ Słoneczny. Chciałem nacieszyć się tym widokiem, bo wiedziałem, że już nigdy nie będzie mi dane wrócić do domu. Słońce w próżni było białe, nie miało złocistego koloru, który pamiętałem z Ziemi – żółta barwa ponoć spowodowana jest rozpraszaniem fal świetlnych przez ziemską atmosferę. Gwiazda, na którą patrzyłem teraz, wyglądała podobnie. W pierwszej chwili myślałem, że jest mniejsza od Słońca, ale szybko uświadomiłem sobie, że mogłem źle ocenić jej rozmiary. Przecież nie miałem nawet pojęcia w jakiej odległości od gwiazdy znajduje się Nadir.

Zmrużyłem oczy, chcąc dokładniej obejrzeć rozświetloną tarczę. Po chwili moje czoło i prawy policzek rozgrzały się przyjemnie. Na moment odniosłem wrażenie, że znów jestem w domu. Przez całą podróż bardzo brakowało mi promieni słonecznych i tego przyjemnego ciepła, które zawsze im towarzyszy.

Musiałem odwrócić wzrok, bo światło było za ostre i oczy zaczęły mi łzawić. Wtedy w przeciwległym rogu iluminatora zauważyłem małą, czerwoną kropkę. Wyglądała jak rozżarzony węgielek.

Układ podwójny. Dwie gwiazdy krążące wokół wspólnego środka ciężkości.

Dzięki temu spostrzeżeniu mogłem być już pewien, że nie mam do czynienia z Systemem Słonecznym. Druga gwiazda była znacznie mniejsza i świeciła zdecydowanie słabiej – dlatego dojrzałem ją dopiero teraz. Chwilę przyglądałem się szkarłatnemu punktowi, czekając na jego ruch. Jeśli ma mniejszą masę – pomyślałem – środek układu powinien być zlokalizowany bliżej jasnej gwiazdy. Zatem czerwony karzeł musi pokonywać znacznie większą odległość

w swoim ruchu obrotowym i poruszać się dużo szybciej. Odczekałem kilka minut, ale czerwona kula ani drgnęła; tkwiła nieruchomo, niczym zawieszona na niewidocznej nitce pośród czerni. Pewnie pędzi z szybkością dziesiątek kilometrów na sekundę, lecz dla mnie, z tej odległości, zdaje się sterczeć w miejscu. A może wcale nie jest mniejsza od swej białej towarzyszki? Może po prostu znajduje się dalej, a ja uległem kolejnemu złudzeniu. W Kosmosie trudno cokolwiek ocenić bez specjalistycznych przyrządów, dokładnych pomiarów kątów, obliczeń paralaksy, przesunięcia widma, soczewkowania grawitacyjnego, efektu Dopplera itp., itd. Ludzkie zmysły, wykształcone przez miliony lat ewolucji na Ziemi, są zupełnie bezużyteczne.

– Ciekawe, co to za gwiazdy? – powiedziałem do siebie.

– Właśnie, gwiazdy – rzucił zamyślony Frank. Sprawiał wrażenie, jakby szukał czegoś głęboko w pamięci.

Teraz dopiero uświadomiłem sobie, o co chodzi – jeszcze nigdy Nadir nie przelatywał tak blisko żadnego układu gwiezdnego. Pierwszy raz mamy okazję podziwiać obce ciała niebieskie z równie małej odległości. A może to tylko złudzenie? Może biała gwiazda jest na tyle olbrzymia, że wydaje nam się, iż jesteśmy blisko niej, a tak naprawdę płyniemy oddaleni o dziesiątki parseków?

Frank odwrócił się i odszedł. Ja stałem jeszcze jakiś czas w zadumie, patrząc na tajemniczy układ. Po chwili usłyszałem, jak trzasnęły drzwi łaźni, a zaraz potem strumień wody prysznica uderzył w metalową podłogę.

***

– Zenit nad nami, a nadir pod nami – powiedziała.

Spojrzałem w górę przez szybę samochodu. Niebo zasnuły ciemne, deszczowe chmury. Nadejście burzy było tylko kwestią czasu. Pojazd kierowany przez komputer gnał wielopasmową autostradą, pokonując kolejne kilometry.

– Chciałabym kiedyś zobaczyć nadir – mówiła dalej. Siedziała w fotelu obok mnie i błądziła palcem po swoim kolanie, kreśląc jakieś znaki. Chwilę śledziłem jej ruchy, chcąc przekonać się, czy pisze coś konkretnego, czy to tylko bezsensowne bazgroły.

– Chciałabym kiedyś być na drugiej półkuli i zobaczyć nadir.

Bredzi – pomyślałem. – Jak zwykle, zresztą. Jej dłoń poruszała się bezładnie, byłem już pewien, że ruchy nie układają się w żadne litery.

– Byłeś kiedyś na drugiej półkuli? – zapytała, spoglądając na mnie.

– Dobrze znasz odpowiedź – bąknąłem.

– Ja też nie i pewnie nigdy nie będę.

Zmilczałem.

– Spójrz na tego ptaka. – Wskazała czarny punkcik na szarym niebie. – Patrzy na ziemski padół z piękniejszej perspektywy. Jest jak symbol wolności. Ludzie zawsze chcieli wzlecieć w niebiosa niczym stado dzikich ptaków, pokonać ograniczenia, zerwać kajdany trzymające ich przy ziemi i odfrunąć w dal. My potrafimy już to zrobić. Możemy w każdej chwili odlecieć na drugą półkulę.

Ptak szybował wysoko, łapiąc wiatr w rozpostarte skrzydła.

– Ktoś kiedyś mi powiedział – ciągnęła – a ja zapamiętałam te słowa, że życie to koncert… Symfonia uczuć, barw, dźwięków, smaków, zmysłów. W twoim przypadku orkiestra wzięła zarobione pieniądze i poszła do domu, pozostawiając opustoszałą salę.

Wiele razy tak mówiła. Nigdy nie słuchałem. Patrzyłem na oddalającego się ptaka.

– Dlaczego, Logan? – zapytała. – Dlaczego jesteś taki?

Nie odpowiedziałem. Fala gorąca uderzyła mi do głowy. Ciało zalał ciepły pot. Oddech przyspieszył. Żołądek podszedł do gardła.

– Dlaczego? Dlaczego? – powtarzała nieustannie.

Nie słuchałem. Spojrzałem raz jeszcze w niebo. Dłonie drżały. Na czoło wyszły krople potu. Ręce same wyciągnęły się w kierunku jej szyi. Palce dotknęły delikatnej skóry. Zatopiły się w kasztanowych lokach. Pocałowałem ją, równocześnie zaciskając dłonie na szyi.

Odebrała to jako pieszczotę. Pojazd pędził. Mówiła coś jeszcze, ale nie słuchałem.

Kazałem komputerowi zatrzymać samochód na poboczu.

– Czemu stajemy? – Jej wielkie oczy patrzyły na mnie ze zdumieniem. Kasztanowe włosy opadały falami na ramiona. Była piękna.

Wysiadłem najszybciej, jak potrafiłem. Musiałem ochłonąć. Musiałem za wszelką cenę pohamować żądzę…

Obudziły mnie wrzaski w sąsiedniej kajucie. Bez trudu rozpoznałem głos Joego. Znowu Walt wziął go w obroty – pomyślałem. Skuliłem się na pryczy i zatkałem uszy dłońmi. Nie potrafiłem tego znieść. I ten cholerny sen… Bolesne wspomnienie niczym zadra w sercu. Dlaczego znów mnie prześladuje? Od wielu lat nie miałem koszmarów. Myślałem, że rana dawno się zabliźniła.

Wstałem, wziąłem prysznic w łaźni, a następnie poszedłem do jadalni – musiałem coś zrobić, żeby zapomnieć o powracających wspomnieniach. Poza tym głód dał o sobie znać. Przy jadalnianym stole siedział Gordon z książką w ręku – widok co najmniej niespotykany. Wprawdzie na statku znajdowała się biblioteczka, w której zgromadzony był znaczny zbiór tytułów, lecz prócz mnie i Franka nikt tam nie zaglądał. Udałem, że nietypowe zachowanie Gordona w ogóle mnie nie obchodzi, wziąłem miskę z porcją białego gówna, którą nałożył mi automat, i usiadłem. Usłyszałem miarowe sapanie dobiegające przez uchylone drzwi mesy. Ktoś ćwiczył. Pewnie Czacha albo Wisior. Po chwili dyszenie ustało, a w progu ukazała się parszywa gęba Wisiora.

– Zostaw to gówno – rzekł do Gordona, wycierając spoconą twarz w ręcznik. – Zagrajmy lepiej w karty albo obejrzyjmy jakiś film.

– Przecież powiedziałem wyraźnie, że więcej z tobą nie gram.

– Nie bądź baba. Nie obrażaj się.

– Wcale się nie obrażam. Po prostu nie gram z kimś, kto nie zna zasad. I na dodatek jest za głupi, żeby się do tego przyznać.

– Spierdalaj. – Riposta Wisiora była cięta. Tak błyskotliwej odpowiedzi można się było po nim spodziewać. Gordon wrócił do czytania. Na jego twarzy rysowało się skupienie. Może składanie literek sprawiało mu taką trudność?

– Co to, do kurwy nędzy, znaczy apologeta? – zapytał.

– Galareta? – Wisior zaśmiał się rubasznie. Usiadł obok Gordona z ręcznikiem przewieszonym przez gruby kark. – Nie wiesz, co to galareta?

– Galaretą ojciec cię zrobił. – Riposta Gordona również była cięta.

– Apologeta to człowiek, który zaciekle broni jakiejś idei – powiedziałem.

Wisior i Gordon spojrzeli na mnie. Nie odezwali się ani słowem. Gordon wrócił do czytania.

– *Attyla: Bicz Boży*? – zapytałem. Zobaczyłem tylko fragment okładki, ale to wystarczyło, żeby rozpoznać książkę. Przez długie lata, spędzone na Nadirze, zdążyłem niemal wykuć na pamięć wszystkie lektury, które znajdowały się w bibliotece statku. Zaciekawiło mnie nagłe zainteresowanie Gordona historią starożytną, więc postanowiłem go zagadnąć.

– No – bąknął niechętnie.

– Fascynująca opowieść.

Wisior parsknął chamskim śmiechem.

– Wydaje się gówniarzowi, że jest uczony – powiedział. – Moja siostra kiedyś studiowała fizjologię. Pamiętam, jak chodziła z pieprzonymi książkami i uczyła się o poetach. Duperele. Zwykła strata czasu.

– Chyba studiowała filologię, skoro uczyła się o poetach – powiedziałem.

– Przecież, kurwa, mówię – oburzył się Wisior.

– A może chodziło ci o filozofię?

Wisior błyskawicznie nachylił się przez stół i, nim zdążyłem zareagować, zadał cios. Otwarta dłoń trafiła prosto w policzek. Siła uderzenia strąciła mnie z krzesła. Wisior wstał, podszedł parę kroków

i przycupnął nade mną, zbliżając twarz do mojej, tak że nasze nosy niemal się zetknęły.

– Słuchaj, gówniarzu – wycedził, buchając paskudnym odorem. – Powiem ci, za co mnie wsadzili. Byłem bramkarzem w Millenium, takim klubie nocnym w Brooklynie. Drogie drinki, panienki tańczące na rurze. Raz przyszedł jakiś zafajdany studencik z dziewczyną. Typowy słabeusz. Ciota, której wydawało się, że pozjadała wszystkie rozumy. Nie wpuściłem kutasa. Powiedziałem, żeby spadał, ale gnój nie chciał sobie pójść. Zaczął czepiać się każdego mojego słowa. Wciąż mnie poprawiał. Że niby coś niegramatycznie, że niby czegoś nie wiem. W końcu nie wytrzymałem i przyjebałem mu w ryj. Wypierdolił się kutas na chodnik, więc zacząłem go kopać. Nie potrafiłem się opanować, bo mnie wkurwił. Jego dziewczyna wrzeszczała, a im głośniej się wydzierała, tym mocniej kopałem tego przygłupa. Kopałem go po brzuchu i po głowie. Waliłem tak długo, aż usłyszałem trzask pękającej czaszki. Piękny dźwięk. Dziewczyna płakała i szarpała mnie. Wyzywała od pojebów. Nie znoszę tego. Niby taka damulka, wykształcona, kurwa, oczytana, a zachowuje się jak skończona zdzira. Chwyciłem ją i szybkim ruchem skręciłem kark.

Po zakończeniu monologu splunął mi w twarz, następnie wstał i wyszedł z jadalni. Pozbierałem się z podłogi, wycierając dłonią ślinę z obolałego policzka, który zaczynał już puchnąć. Gordon niewzruszony czytał dalej i wydawać by się mogło, że ten incydent nie wywarł na nim żadnego wrażenia, gdyby nie dyskretny uśmieszek, który wykrzywił mu usta. Bawi to skurwysyna – pomyślałem. – Wątpię, że rozśmieszyła go historia o Attyli, okrutnym wodzu Hunów, tym bardziej, że książka do zabawnych nie należy. Usiadłem na powrót przy stole, by dokończyć posiłek. Nie chciałem pokazać, że straciłem apetyt.

W tym momencie do jadalni wszedł Joe, a zaraz za nim Walt.

– I co? Dobrze ci ze mną było, kochasiu? – powiedział radośnie Walt, poklepując rudzielca po plecach. – To zrób teraz jedzonko swojemu misiaczkowi.

Podał Joemu kuchenny nóż.

Ma odwagę – pomyślałem. – Nie wiem, czy na miejscu Joego nie wbiłbym mu ostrza prosto w serce.

Posiadanie noża było na Nadirze nie lada luksusem. Wszystkie ostrza były dokładnie policzone, a pieczę nad nimi sprawował osobiście Anselmo. Tylko kilku członków załogi było wyposażonych w tę niebezpieczną broń. Przywilej przysługiwał Hernandezowi, Gordonowi i Waltowi. Przywódca nikomu więcej nie ufał.

Walt usiadł obok mnie. Pogładził ręką swoje krótko ścięte, blond włosy, zaczesane na bok z idealnie równym przedziałkiem. Jego twarz zdawała się być bezlitosna, miała w sobie coś z wyniosłych rysów, typowych dla rasy aryjskiej. Wyglądał bardzo młodo. Wzorowy wychowanek Hitler-Jugend.

Joe ze spuszczoną głową zaczął kroić pomidory.

– Patrzcie! – zawołał Walt wskazując rudzielca palcem. – Oczy mu się pocą.

Po policzkach Joego ciekły łzy. Gordon nie przerwał czytania.

***

Obudziły mnie głosy zza ściany. Najpierw pojedyncze, szarpane zdania, następnie jakieś nerwowe dyskusje. Przez dłuższą chwilę ignorowałem zgiełk, ponieważ nie miałem ochoty zrywać się z łóżka. Ostrożnie dotknąłem obolałego policzka; wciąż był spuchnięty. Potrwa jeszcze kilka dni, nim opuchlizna zejdzie.

– Chodźcie wszyscy tutaj! Szybko! – usłyszałem wołanie za drzwiami.

Niespiesznie wstałem z pryczy i wyszedłem na korytarz. Tak jak podejrzewałem, zbiegowisko zebrało się w kajucie obok. Zajrzałem do jej wnętrza. W malutkim pokoiku tłoczyli się pozostali członkowie załogi – zdecydowanie za dużo osób jak na tak małą przestrzeń. Ponad głowami zgromadzonych zobaczyłem martwe ciało. Zwłoki wisiały na kablu owiniętym wokół haka w suficie. Normalnie w tym miejscu powinna być świetlówka. Rozejrzałem się. Lampa leżała na

łóżku. Ciało nie zwisało pionowo, lecz było lekko odchylone w prawo. Czyżby Nadir schodził z kursu? Spojrzałem raz jeszcze na wisielca. Nieźle biedak się namęczył, nim skonał. Twarz zastygła w szkaradnym grymasie, przywodząc na myśl obrazy Gigera czy Beksińskiego. Dostrzegłem niesamowite piękno w zniekształconych rysach, nienaturalnie wyłupiastych oczach, otwartych ustach i wystających kościach policzkowych. Okropny obrzęk na szyi dodawał mu jeszcze większego uroku. Nie mogłem oderwać oczu.

– Osz, kurwa, to Walt! – krzyknął Czacha, który właśnie teraz, jako ostatni, stanął w progu kajuty.

Anselmo spojrzał na niego karcąco.

– Co ty nie powiesz? – zadrwił Gordon. – Bez ciebie byśmy nie poznali.

– Walt i samobójstwo? – Hernandez pokręcił głową z niedowierzaniem.

Długo nikt nie zabierał głosu. Wszyscy z posępnymi minami patrzyli na wisielca. Wreszcie odezwał się Gordon, uderzając w melancholijny ton:

– Nigdy nie wiadomo, co w człowieku siedzi. Widocznie tylko stwarzał pozory twardego. Takiego, którego nic nie rusza. Czasem tak bywa.

Walt nie był pierwszym, którego znaleźliśmy martwego na pokładzie Nadira. Przed nim byli Bill, Chris i Butch. Wszyscy powiesili się w swoich kajutach na sznurach zwiniętych ze starych prześcieradeł albo na kablach wyrwanych ze ściany. Ich zwłoki pochowaliśmy w jedyny możliwy w naszej sytuacji sposób: usunęliśmy ze statku, wyrzuciliśmy przez śluzę. Teraz pewnie dryfują gdzieś w przestrzeni międzygwiezdnej. Woda wewnątrz tkanek zmroziła się na lód, trwale konserwując pozbawione życia ciała. Ciekawe czy ktoś kiedyś odnajdzie owych „zagubionych wędrowców”? Może za miliardy lat dotrą do jakiegoś odległego układu planetarnego, do swej ziemi obiecanej, którą zamieszkiwać będą obce istoty rozumne. Być może nieznana cywilizacja będzie na tyle rozwinięta technologicznie, by

poradzić sobie z przywróceniem ich do życia. Może wtedy gatunek ludzki w ogóle nie będzie już istniał, a oni uzyskają status ożywionych reliktów przeszłości, niczym wskrzeszone dinozaury. A może zostaną umieszczeni w tamtejszym muzeum i staną się wyjątkowymi eksponatami, jedynymi przedstawicielami nieznanej rasy myślącej. Albo zostaną rozebrani na atomy przez tamtejszych naukowców… W każdym razie na pewno będą czymś bardzo wyjątkowym. Ale nie czarujmy się – prawdopodobieństwo, że ktoś ich odnajdzie jest znikome. Biorąc pod uwagę ogrom Wszechświata i puste przestrzenie, dzielące gwiazdy, szanse na znalezienie czegoś tak małego jak istota ludzka w przestrzeni kosmicznej są mniejsze niż możliwość natrafienia na konkretnego pantofelka we wszystkich oceanach Ziemi. Nie zmienia to faktu, że czasem rozmyślam o naszych martwych towarzyszach. Wyobrażam sobie zamrożone ciała, które nigdy nie ulegną rozkładowi. Ciekawe dokąd mogą dotrzeć? Ciekawe, co odkryją i na co natrafią, dryfując bez końca?

– Nie każdy potrafi znieść pobyt tutaj – ciągnął Gordon. – Wszystkim nam czasem jest ciężko…

– Przestań, bo zaraz się popłaczę. – Wisior zrobił minę dziecka, któremu matka nie chce kupić lizaka i otarł palcem wyimaginowaną łzę w kąciku oka. – Nie wiedziałem, że z was takie zwiotczałe kutasy.

– Ale samobójstwo? – Hernandez znów pokręcił głową.

– Myślisz, że ktoś go załatwił? – zapytał Czacha. – Kto i po co?

Na dłuższy czas znów zapadła cisza. Wszyscy zapewne myśleli o tym samym, ale nikt nie chciał wypowiedzieć tego na głos.

– Motyw miał jedynie Joe – powiedział wreszcie Wisior.

– Joe? – Na chytrej twarzy Gordona pojawił się wyraz powątpiewania.

– Tak – potwierdził Wisior z teatralnym zaangażowaniem. – Pewnie był niezadowolony z wczorajszego dymanka. Walt stał się za bardzo subtelny… Albo… O! Może Walt miał problemy z erekcją i Joe poczuł się mało atrakcyjny.

Wisior parsknął chamskim, wymuszonym śmiechem.

– Czyli była to kłótnia kochanków? – podchwycił Gordon.

– Joe zabił Walta! – ryczał przez śmiech Wisior. – Dobre sobie! Prędzej mucha ubiłaby słonia!

Joe milczał. Stał przygarbiony w kącie z miną mówiącą, że najchętniej zapadłby się pod ziemię. Wyglądał jeszcze gorzej niż zwykle. Rude włosy były w nieładzie, oczy podkrążone, policzki zapadnięte.

– Co teraz zrobisz bez swojego kochasia? – zwrócił się do niego Wisior. – Na pewno będziesz tęsknić za jego czułościami.

– Dosyć tych wygłupów – powiedział stanowczo Anselmo, nie kryjąc niezadowolenia. – Człowiek się powiesił, a wy sobie śmichy-chichy urządzacie? – Omiótł wzrokiem wnętrze kajuty. – Gdzie jest jego kosa?

– Sprawdź pod materacem – odparł Gordon.

Przywódca zdecydowanym ruchem zrzucił materac z pryczy. Na stelażu błysnęło stalowe ostrze. To niesamowite – pomyślałem – jak bardzo zależy mu na tym, by nie trafiło w niepowołane ręce.

– Trza zdjąć tego biedaka i wyrzucić go na zewnątrz, bo zaraz zacznie cuchnąć – powiedział Anselmo, wtykając nóż za pas.

Rozmowy ucichły, ale nikt nie ruszył się z miejsca.

– No co tak, kurwa, stoicie? – wrzasnął szef. – Do roboty!

Obok martwego ciała w jednej chwili znaleźli się Czacha i Wisior. Pierwszy z nich przytrzymał zwłoki, podczas gdy drugi rozwiązywał kabel owinięty wokół szyi. Następnie ostrożnie zdjęli nieboszczyka i, niosąc go na rękach, powoli wyszli z kajuty. Wszyscy poszliśmy za nimi w kierunku śluzy. Po drodze rozmyślałem o Walcie. Był z niego niezły skurwysyn – do takiego wniosku doszedłem i jakoś więcej spostrzeżeń na jego temat nie przychodziło mi do głowy. Podobno nikt nie jest do końca zły, ani do końca dobry. Człowiek nie może być przesiąknięty złem do szpiku kości i zawsze posiada w sobie choć malutki pierwiastek dobroci. Niestety, Walt nigdy go nie ujawnił.

– To nie było samobójstwo – szepnął mi ktoś do ucha.

Odwróciłem się i zobaczyłem Franka, idącego tuż za mną.

– Co? – zapytałem zaskoczony.

– Słyszałeś.

Stanęliśmy przy wewnętrznej przegrodzie śluzy. Anselmo wcisnął wielki, czerwony guzik, wprawiając olbrzymią maszynerię w ruch. Nieużywane przez lata hydrauliczne siłowniki przeraźliwie jęknęły, jakby za moment miały się rozpaść. Powietrze wypełnił przeszywający zgrzyt. Setki kilogramów stali drgnęły i ruszyły z miejsca na skutek działania brutalnej, mechanicznej siły. Dźwięki, które temu towarzyszyły, były nie do zniesienia dla ludzkiego ucha. Wiele czasu upłynęło, odkąd ostatnio używaliśmy śluzy. Zgniłożółta farba w niektórych miejscach odpadła, ukazując korozję stalowych skrzydeł. Drzwi śluzy były brudne i brzydkie jak wszystko tutaj. Ową wszechobecną brzydotę zwykłem nazywać „specyficznym urokiem tego miejsca”. Urokiem, który chyba tylko ja potrafiłem dostrzec. Zupełnie jak z obrazu Gigera.

– Skąd ta pewność? – zapytałem, nachylając się do Franka. Wokół wciąż panował nieznośny jazgot, więc nikt nie mógł podsłuchać naszej rozmowy.

– Popatrz na obrzęk na jego szyi – odpowiedział chudzielec. – Od razu widać, że ktoś go udusił. Niemal widzę sine ślady czyichś palców. Morderca udusił go gołymi rękami, a potem powiesił na kablu, aby upozorować samobójstwo. Spójrz na prawą rękę. Jest bez wątpienia złamana. Sprawca siłował się z ofiarą przed dokonaniem zbrodni.

Spojrzałem na Franka z niedowierzaniem.

– A ty znasz się na takich rzeczach?

– Jestem… – zawahał się przez chwilę, po czym dokończył: – byłem patomorfologiem.

– Ty…? – Nie potrafiłem ukryć zdziwienia. – Za co cię zamknęli?

To pytanie wyszło mi spontanicznie. Nie zastanowiłem się nad tym, o co pytam.

– Heh – chudzielec wyszczerzył zęby w szkaradnym uśmiechu – zabiłem swoją rodzinę. Żonę i dwóch synów.

Zmilczałem, udając, że to, co powiedział, nie wywarło na mnie większego wrażenia.

Ciągnął dalej:

– Pewnego dnia wstrzyknąłem im śmiertelną dawkę bromku pankuronium, mówiąc, że to szczepionka na grypę. Po prostu zasnęli i już się nie obudzili. Piękna, bezbolesna śmierć. Biorąc pod uwagę fakt, że większość ludzi umiera w męczarniach, mieli sporo szczęścia. Zaraz potem zadzwoniłem na policję i o wszystkim opowiedziałem. Nie musiałem długo czekać na przyjazd radiowozu. Nie żałuję tego, co zrobiłem… Ani trochę nie żałuję.

Uśmiechnął się, jakby był z siebie dumny.

– Boże… – wyszeptałem. Chciałem zmilczeć, lecz moje usta same się poruszyły.

– Powiem ci coś w tajemnicy. – Wyschnięte wargi Franka znalazły się tuż obok mojego ucha. – Boga nie ma.

Nic nie odpowiedziałem. Starałem się nie zdradzać żadnych emocji, choć tak naprawdę wylewność Franka wprawiła mnie w osłupienie. Na pierwszy rzut oka widać było, że bardzo zależy mu na tym, aby szczegółowo opowiedzieć o motywach swojej zbrodni. Chyba naprawdę był dumny z własnych poczynań i przez lata tylko czekał, aż ktoś wreszcie zada odpowiednie pytanie.

– To znaczy wygodniej wierzyć, że Boga nie ma – dodał po chwili – bo jeśli jest, musi być strasznym skurwielem. Lepszy żaden Bóg niż taki.

Usłyszałem wysoki dźwięk brzęczka, sygnalizujący pełną gotowość przejścia. Czerwona lampka nad drzwiami zgasła i zapaliła się zielona. Czacha i Wisior wnieśli powoli ciało Walta do wnętrza śluzy i ostrożnie położyli na podłodze, po czym wyszli i stanęli obok Anselma.

– Można zamykać – rzucił Czacha.

– Niech spoczywa w pokoju – powiedział z powagą Hernandez.

– Raczej niech odpłynie w pokoju – poprawił go Anselmo i wcisnął przycisk.

– Cholera, zawsze schrzanię ten tekst – zaklął Hernandez.

Było to ostatnie zdanie, które usłyszałem, nim ponownie rozległ się nieprzyjemny dźwięk, towarzyszący pracy siłowników.

Frank znów nachylił się do mnie.

– Chcesz wiedzieć, dlaczego to zrobiłem.

Po raz kolejny zmilczałem. Wciąż wpatrywałem się w drzwi śluzy. Postanowiłem nie okazywać zbytniego zainteresowania. Nie chciałem, by nabrał jakichś podejrzeń i na powrót zamknął się w sobie. Najwidoczniej, nawet takiemu odludkowi jak on, czasem potrzebna jest rozmowa. Wystarczyło uderzyć w odpowiednią strunę.

– Wyzwoliłem ich – ciągnął. – Uwolniłem od tego straszliwego brzemienia, jakim jest życie. Dzięki mnie są już wolni. Pewnego dnia zacząłem rozmyślać. Zastanawiałem się, kim kiedyś będą moi synowie, do czego dojdą. I wiesz co?

Nie odpowiedziałem.

– Doszedłem do wniosku, że nie spotka ich w życiu nic dobrego. Tak jak mnie nie spotkało i tak jak zapewne ciebie. A wiesz czemu?

Zaprzeczyłem ruchem głowy.

– Bo życie to jeden wielki ciąg niepowodzeń. Życie to ból, cierpienie i łzy. Życie to piekło. Tak! Piekło jest tu i teraz. Chrześcijanie wierzą, że do czeluści piekielnych możemy zostać wtrąceni za złe uczynki. Tymczasem karę odbywamy już teraz. Nie mam pojęcia, dlaczego zostaliśmy na nią skazani. Może zasłużyliśmy sobie w innym świecie. A może nie ma innego świata. Wszystko dzieje się bez przyczyny, a szukanie jakiegokolwiek sensu jest cholerną stratą czasu. Jednego natomiast jestem pewien: wszyscy tutaj cierpimy. Ludzie często wmawiają sobie, że są szczęśliwi. Pustkę, którą odczuwają, zapełniają pozornymi radościami, takimi jak rodzina, sukcesy w pracy itp., itd. Udają, że są spełnieni, a tak naprawdę nienawidzą życia – służalczej pracy, opiekowania się dziećmi, braku wolnego czasu. Wszyscy powtarzają ten sam schemat: zakładają rodziny, płodzą dzieci, cały swój czas i energię poświęcają pracy zawodowej i dzieciom, rezygnują z własnego życia, a następnie

przelewają wszystkie nadzieje oraz niespełnione marzenia na swoich potomków. A pustka w ich sercach rośnie. Po latach nie da się jej niczym wypełnić. A ich dzieci… Kolejne pokolenia powielają ten sam schemat. Rezygnują z własnego życia, całe nadzieje przelewając na potomstwo. Krąg się zamyka, a jedynym sensem egzystencji jest prokreacja. Płodzenie, wychowywanie i rozmnażanie. Rozmnażanie. Zwierzęcy instynkt. Usiadłem więc pewnego dnia i patrząc na nudne, jednakowe budynki mojej dzielnicy, zacząłem rozmyślać. Nagle doznałem olśnienia. Zrozumiałem, że karty dawno zostały rozdane. Zastanawiałem się chwilę, jak będzie wyglądać życie moich synów, mych malutkich potomków, dla których nie ma już żadnej nadziei. Wnioski, do których doszedłem, wręcz mnie przeraziły: najpierw czeka ich kilkuletnia nauka, potem spłodzenie dzieci, nieustanna, wyczerpująca praca, a na końcu pustka, śmierć. I co? I po co to wszystko? Do końca swoich dni będą posłusznie wypełniać czyjeś polecenia, cały czas stłamszeni ścisłą kontrolą, stając się malutkimi trybami w ogromnej maszynerii, nie znając nawet celu ani przyczyny służalczej pracy. To ma być życie? Zmarnowaliby najpiękniejsze lata, najpierw w szkole, potem w jakiejś wielkiej korporacji, zmuszeni do ciężkiej pracy, żeby utrzymać rodziny. A co by po sobie zostawili? Tylko smutek i żal, gdy wreszcie u kresu dni, opuszczeni i samotni, szykowaliby się na śmierć. Wtedy dopiero uświadomiliby sobie, że zmarnowali cały swój czas… że są puści… tak samo puści jak plastikowy, sztuczny świat, który ich otacza. Jak olbrzymi mechanizm, któremu całe życie posłusznie służyli.

Frank zamyślił się na chwilę, po czym dodał:

– Zatem ich uwolniłem. Dzięki mnie nie musieli tego wszystkiego znosić. Od dawna są wolni.

– Ale dlaczego nie uwolniłeś również samego siebie? – zapytałem, nie potrafiąc ukryć złości.

Nie odpowiedział.

Zauważyłem, że Anselmo bacznie nam się przygląda. Ciarki przeszły mi po plecach, kiedy przypadkiem napotkałem jego

spojrzenie. Szybko spuściłem wzrok, lecz czułem, że on dalej uparcie patrzy wprost na mnie. Nie miałem odwagi podnieść głowy.

Zamknęły się wewnętrzne drzwi śluzy i usłyszałem ten sam jęk siłowników, tylko przytłumiony, dobiegający z oddali. Otwierała się zewnętrzna przegroda.

– Sugerujesz więc, że to morderstwo? – szepnąłem do Franka, upewniwszy się uprzednio, że Anselmo już nie patrzy w naszym kierunku.

– Ja nie sugeruję.

O nic więcej nie pytałem. Resztę czasu staliśmy w milczeniu.

Wreszcie odgłosy ucichły. Czerwona lampka nad drzwiami śluzy zgasła i natychmiast zapaliła się zielona. Był to sygnał, że lada moment ciało Walta odpłynie w otaczającą nas pustkę Wszechświata.

***

Stałem na poboczu i patrzyłem na przejeżdżające samochody. Wystarczy jeden krok – pomyślałem. „Zenit nad nami, a nadir pod nami” – jej słowa dzwoniły mi w uszach, niczym żałobna pieśń. Lśniące maszyny pędziły. Znikały w oddali, a w ich miejscu pojawiały się nowe. Silny podmuch owiewał mi twarz za każdym razem, gdy mijał mnie kolejny pojazd. W zamyśleniu patrzyłem na pędzące pomniki cywilizacji.

Wystarczy jeden krok. Szybko podejmuj decyzję, bo za chwilę będzie za późno.

Następny samochód przejechał, ciągnąc za sobą tchnienie zimnego powietrza. Ruszyłem wzdłuż pobocza. Szedłem powoli, balansując ciałem, żeby nie stracić równowagi. Kręciło mi się w głowie. Serce waliło jak oszalałe, oddech przyśpieszył.

„Zenit nad nami, a nadir pod nami.”

Ciekawe dokąd pędzą wszyscy ci ludzie? Do czego tak im śpieszno?

Zatrzymałem się. Wzrok wlepiłem w asfalt. Ulica była szeroka, kilka pasów ruchu przedzielonych białymi liniami, farbą rozlaną

w regularny wzór – zwieńczenie wielkiego dzieła człowieka. Kolejne samochody przemykały kilkadziesiąt centymetrów ode mnie. Zaczął padać deszcz. Parę kropel zderzyło się z moim policzkiem. Spływały po nim.

Wystarczy jeden krok.

Podeszła i stanęła obok mnie. Jej kasztanowe włosy tańczyły w podmuchach wiatru. Wielkie oczy patrzyły na mnie z troską.

– Dlaczego wysiadłeś? Co się dzieje?

Zacisnąłem zęby. Żar zalał moje ciało. Pot obficie spływał po plecach. Wiedziałem, że to nie może się dobrze skończyć.

– Wróć do samochodu – powiedziałem najspokojniej, jak potrafiłem.

Nie usłuchała.

– Dobrze się czujesz? Nie wyglądasz najlepiej.

– Wróć do samochodu. Proszę.

Każda komórka ciała piekła, jakby ktoś wrzucił mnie w ogień. Serce chciało wyskoczyć z piersi. Wiedziałem, że dłużej tego nie powstrzymam. Impuls.

Położyła dłoń na moim czole.

– Jesteś rozpalony.

Głuchy dźwięk. Uderzenie. Zaraz potem przeszywający pisk opon. Pojazd znieruchomiał. Drzwi samochodu otworzyły się. Wysiadł mężczyzna.

„Co ci powiedział? Co ci powiedział? Co ci powiedział?”

– Co ci powiedział?

Brutalnie wyrwany ze snu, powoli otworzyłem oczy. Zobaczyłem majaczącą w ciemności postać. Ktoś siedział na pryczy i trzymając rękę na moim barku, mocno mną potrząsał. Powoli zaczynała wracać świadomość. W niewyraźnej dotąd postaci rozpoznałem rysy Anselma.

– Co ci powiedział? – przywódca powtórzył pytanie.

– Co? Kto? – zapytałem zdezorientowany.

– Nie udawaj kretyna. Widziałem, że z nim rozmawiałeś, gdy otwieraliśmy śluzę.

– Ach tak, o to ci chodzi. – Przetarłem oczy. – W sumie nie powiedział niczego konkretnego, tylko zaczął opowiadać o swoim życiu.

– O jakim, kurwa, życiu? Co ty pierdolisz?

– O życiu, które prowadził, dopóki go tu nie zamknęli. Mówił, że zabił swoją żonę i dwójkę nieletnich synów. Wstrzyknął im śmiertelną dawkę jakiegoś świństwa.

Anselmo na moment zamilkł.

– Czubek – rzucił po chwili. – Ale niby czemu nagle zebrało mu się na sentymenty?

– Nie wiem. Śmierć członka załogi, niezależnie o kogo chodzi, chyba każdego z nas skłania do osobistych przemyśleń.

Zobaczyłem w ciemności podejrzliwe spojrzenie Anselma.

– I on akurat postanowił podzielić się swoimi „osobistymi przemyśleniami” z tobą?

– Słuchaj, Anselmo! Mówię prawdę! Nie mam powodów, by cię okłamywać. Chyba o tym wiesz?

Anselmo nie odpowiedział, siedział jeszcze chwilę na skraju pryczy i wpatrywał się w brudne ściany kajuty. W końcu wstał i wyszedł.

Po tym incydencie nie potrafiłem zasnąć. Wziąłem prysznic i postanowiłem popracować trochę w sektorze zieleni. Joe tym razem się nie zjawił, co było mi na rękę. Mogłem spokojnie przemyśleć parę spraw. Podlałem pomidory, nazrywałem trochę porzeczek.

Mniej więcej po godzinie do ogrodu przyszedł Anselmo. Stanął obok mnie i zapytał:

– Kto był w Prezbiterium? Kto ma ten cholerny klucz?

– Nie wiem.

– To pomyśl.

Spojrzałem na niego niepewnie.

– Wydaje mi się, że nie był to Frank. Ktoś, kto skrywa sekret, stara się nie wzbudzać podejrzeń, wtapia się w tło. A Frank przez swoje dziwactwa za bardzo skupia na sobie uwagę.

– Więc jeśli nie Frank, to kto?

– Ktoś, kto zachowuje się, mówiąc oględnie, normalnie. Albo ktoś, kto udaje imbecyla. W ten sposób odsuwa od siebie podejrzenia. To najbardziej prawdopodobne.

– Czacha? – Anselmo nie umiał ukryć zdziwienia.

– Czacha nie udaje. On naprawdę jest imbecylem. Wątpię, by był aż tak świetnym aktorem.

Zaśmiałem się głośno.

– Więc Wisior – powiedział Anselmo do siebie.

Zmilczałem.

– Wisior – powtórzył raz jeszcze. Stał chwilę patrząc, jak pracuję, po czym wyszedł.

Kiedy zmęczyło mnie przekopywanie grządek i podlewanie drzewek, poszedłem do jadalni. Nazrywane porzeczki nie zaspokoiły na długo głodu, więc musiałem posilić się przydziałową porcją pożywnego gówna. W jadalni zastałem Gordona i Wisiora. Trzymali karty w dłoniach. Jak widać, Gordon nie wytrwał zbyt długo w swoim postanowieniu niegrania „z kimś, kto nie zna zasad”. A może lektura książki o bezwzględnym wodzu Hunów nie dostarczyła mu wystarczającej dawki emocji i musiał na powrót rzucić się w wir pasjonujących gier hazardowych, w których stawką były bezwartościowe papierki i oczywiście… honor.

– Czemu masz taki zjebany humor? – zagadnął go Wisior po swojemu.

– Jaki zjebany? Normalny mam.

– Nieprawda. Przecież widzę, że cały czas marudzisz.

– Marudzę? Niby kiedy?

– Pierdoła jesteś i tyle.

Gordon pokręcił głową; najwidoczniej nie miał ochoty kontynuować idiotycznej konwersacji. W tym momencie do jadalni wszedł Czacha.

– Czaszeczko! – zawołał Wisior. – Jak myślisz, czy Gordon ma dziś zjebany humor?

Osiłek spojrzał na Gordona ze zdziwieniem. Smok z Komodo na jego szyi również sprawiał wrażenie zbitego z tropu.

– Nie wiem. Skąd mam wiedzieć?

– Przecież to od razu widać. – Na twarzy Wisiora pojawił się szeroki uśmiech.

Czacha dokładniej przyjrzał się Gordonowi.

– Niby po czym?

– Każdy, kto ma zjebany humor, siedzi na krześle w taki właśnie sposób.

– Co? – Czacha był wyraźnie zaskoczony.

Wisior parsknął nieprzyjemnym rechotem.

– O, kurwa! Ty zawsze potrafisz mnie rozbawić.

– Ale ja nic nie zrobiłem.

– Opowiedz nam, za co cię wsadzili. – Z ust Wisiora nie schodził szeroki uśmiech.

– Daj spokój, to już nudne. – Gordon rzucił na stół wymięty kawałek papieru. – Sprawdzam! – dodał od niechcenia.

Faktycznie, historię Czachy słyszałem wiele razy. Musiałem jednak przyznać, że była naprawdę wyjątkowa. Zaczęło się od tego, że najlepszy kumpel Czachy, niejaki Gnat, wpadł na pomysł, który miał im obu pozwolić w krótkim czasie dorobić się niezłej sumki. Chodziło o porwanie syna burmistrza i zażądanie okupu. Czacha z oporami przystał na propozycję kolegi – łatwy zarobek był dla niego bardzo kuszący. Operacja uprowadzenia chłopca, o dziwo, została przeprowadzona sprawnie i bezproblemowo. Nastoletni syn burmistrza nie należał do osób nadmiernie ostrożnych, nie miał żadnej ochrony i uczęszczał do zwykłego, prywatnego liceum. Wystarczyło zajechać pod szkołę i wpakować chłopca do wozu siłą – sposób porwania nie był wyszukany, jak to na Czachę i Gnata przystało, ale okazał się zaskakująco skuteczny. Nastolatek został zamknięty w szczelnym, metalowym pudle z ekranami wytwarzającymi pole elektromagnetyczne, które zakłócało sygnał chipa wszczepionego w mózg chłopca. Dzięki temu policja nie mogła

zlokalizować uprowadzonego. Metalową trumnę kupił Gnat, wykorzystując swoje znajomości wśród handlarzy nielegalnym towarem. Porywacze zawieźli pudło do domu, w którym mieszkała matka Czachy. Nieprzypadkowo wybrali taką kryjówkę. Skromna, zaniedbana posiadłość znajdowała się na całkowitym odludziu, z dala od miasta, a jej właścicielka cierpiała na starczą demencję. Czacha i Gnat postawili pojemnik w malutkim salonie. Następnie Gnat wrócił do siebie, a Czacha został na miejscu, żeby pilnować porwanego. „Nowy mebel" zdecydowanie nie przypadł do gustu matce Czachy. Skrzynia nie dość, że była nieestetyczna, źle komponowała się z wystrojem wnętrza, to jeszcze zagradzała przejście do sypialni i, co najgorsze, była nieznośnie hałaśliwa – ofiara co jakiś czas wzywała pomocy lub waliła pięściami w pokrywę trumny. Nie chcąc wysłuchiwać ciągłych narzekań matki, która w nocy nie potrafiła zmrużyć oka, Czacha wyniósł pudło do ogrodu za domem. Tam trumna spędziła całą noc. Osiłek początkowo regularnie podawał porwanemu wodę przez specjalną słomkę, która wystawała z metalowego pojemnika, lecz następnego dnia, pochłonięty codziennymi zajęciami – czyli ćwiczeniem brzuszków i oglądaniem telewizji – zapomniał o tym obowiązku. Pudło spędziło kolejny dzień w ogrodzie, w pełnym słońcu. To było upalne lato, środek lipca. Wieczorem Czacha przypomniał sobie o konieczności wlania wody przez słomkę. Stanął obok trumny, jednak jego próby nawiązania kontaktu z chłopcem w środku zakończyły się fiaskiem. Aż ciarki przechodzą mnie na myśl o tym, w jakich męczarniach zmarł ów biedny młodzieniec – cały dzień bez wody, zamknięty w metalowej puszce, która rozgrzała się do kilkudziesięciu stopni. Czacha, zaniepokojony brakiem odpowiedzi ze strony porwanego, postanowił zajrzeć do wnętrza. Nastolatek oczywiście nie żył, ale otwarcie pokrywy – nawet na sekundę – wystarczyło, aby postawiona przez burmistrza na baczność policja zlokalizowała położenie chipa. Kilka minut później pod domem matki Czachy zjawiły się kordony policji.

Osiłek nie poddał się bez walki. Podczas strzelaniny zabił dwóch funkcjonariuszy. Następnie został trafiony pociskiem usypiającym.

Ta historia nigdy mnie nie bawiła, jednak musiałem przyznać, że głupota Czachy była porażająca.

– Ty, młody. – Wisior spojrzał na mnie. – Zjadłbym banana.

Każda małpa lubi banany – pomyślałem złośliwie.

– Następnym razem nazrywam.

– Nie następnym razem, tylko zaraz.

– Jestem zmęczony. Napracowałem się w ogrodzie i chciałbym teraz coś zjeść.

– Młody, nie obchodzi mnie to. Masz zapierdalać w podskokach i to j u ż!

Niechętnie wstałem i wyszedłem z jadalni. W korytarzu spotkałem Joego.

– Gdzie byłeś tyle czasu? – zagadnąłem go. – Nie pojawiłeś się w sektorze zieleni.

– Nie czułem się najlepiej. Wisior nie dawał mi żyć… Myślałem, że po śmierci Walta będę mieć odrobinę spokoju, ale niestety…

– Doskonale cię rozumiem – bąknąłem.

– Wisior to wyjątkowy skurwiel. Wyjątkowy…

Odwrócił się na pięcie i odszedł w kierunku swojej kajuty. Ja trwałem jeszcze jakiś czas bez ruchu. Mój wzrok przykuł obraz rozciągający się za iluminatorem. Biała gwiazda wypełniała niemal jedną czwartą malutkiego okienka, a jej tarcza świeciła ostrym światłem, oślepiając przy każdej próbie spojrzenia wprost na nią. Poszukałem wzrokiem jej szkarłatnej towarzyszki. Znajdowała się w innej pozycji niż poprzednio. Wcześniej wisiała zdecydowanie powyżej jasnej gwiazdy, teraz była niemal w tej samej linii. Znów nie wiedziałem, czy to faktycznie przez jej ruch obrotowy, czy Nadir zmienił pozycję w stosunku do obu gwiazd. W Kosmosie trudno objąć zmysłami perspektywę. Strasznie to wszystko skomplikowane.

– Patrzysz na gwiazdy? – Niespodziewane pytanie wyrwało mnie z zamyślenia.

Frank stał obok mnie i drapał się po kościstym przedramieniu.

– Są piękne, nieprawdaż? – dodał.

– Ciekawe, co to za układ? – zapytałem, jakby samego siebie. Nie liczyłem na odpowiedź.

– 55 Cancri, zwany też Copernicus.

Spojrzałem na niego ze zdumieniem. Jego oczy przesuwały się od lewej do prawej i z powrotem, wodząc wolno po szybie. Wyglądało to tak, jakby prześwietlał albo skanował obraz za oknem.

– Jaki? – zapytałem, wywnioskowawszy z jego miny, że nie żartuje.

– 55 Cancri, układ oddalony od Ziemi o jakieś czterdzieści jeden lat świetlnych.

– Skąd masz takie informacje?

Frank westchnął. Przeciągnął chudą ręką po potylicy.

– Obliczyłem to.

– W jaki sposób?

Obrzucił mnie tak wyniosłym spojrzeniem, że poczułem się jak zidiociały analfabeta.

– Wystarczy wiedzieć ile ziemskich lat upłynęło, odkąd wyruszyliśmy, i z jaką szybkością porusza się Nadir.

– A ty wiesz? – niedowierzałem. Musiałem wyglądać dosyć zabawnie. Byłem pewien, że nikt tutaj mnie nie zaskoczy… Życie jednak pełne jest niespodzianek.

Chudzielec znów westchnął.

– Wciąż liczę dni, miesiące i lata. Bez tego chyba bym zwariował. W sumie nie mam pojęcia, dlaczego to robię… To taka moja mała obsesja. Jedyna, jaka mi została. – Zaśmiał się szkaradnie. – Wszystkie inne zostawiłem na Ziemi.

– Ale w jaki sposób odmierzasz czas?

Popatrzył na mnie nieco podejrzliwie.

– Mam dwa zegarki. Starego typu, mechaniczne, nakręcane, bardzo dokładne. Słono za nie zapłaciłem na Ziemi. Nakręcam je regularnie i co jakiś czas synchronizuję ze sobą. Na pewno po tylu

latach nie pokazują poprawnej godziny, błąd wskazań może sięgać nawet doby. Ale takie przybliżenie w zupełności mi wystarczy.

– Jakim cudem wniosłeś na pokład dwa zegarki? Ja nie mogłem zabrać żadnych prywatnych rzeczy.

– Pozwolono mi zachować nawet trzy zegarki. – Uśmiechnął się. – Uzyskanie zgody faktycznie nie było łatwe. Musiałem napisać mnóstwo podań do naczelnika. Powoływałem się na paragrafy prawa karnego Federacji Ziemskiej. Potem pisałem listy nawet do samego burmistrza, przywołując Deklarację Praw Człowieka. Upierałem się, że te zegarki to ważne pamiątki rodzinne, że mają dla mnie ogromną wartość sentymentalną, że bez nich na pewno nie wytrzymam podróży i oszaleję. W końcu się zgodzili. Jeden zegarek oczywiście od razu zabrał mi Anselmo. Na szczęście pozostałe dwa udało mi się przed nim ukryć.

– A szybkość z jaką płynie Nadir? Skąd ją znasz?

– Wystarczyło trochę poczytać o silnikach tenebrisuncjalnych… A zresztą nawet ich budowa, ani działanie nie są istotne, liczy się tylko fakt, że nie wymagają transportowania zapasów paliwa. Działają dzięki…

– O tym wiem – wszedłem mu w słowo. Chciałem dodać coś od siebie, żeby nie wyjść na durnia. – Napędzane są tenebrisuncją, zwaną dawniej ciemną energią. Teoretycznie energię tę, odpowiedzialną za rozszerzanie się galaktyk, odkrył Einstein.

– Tak. – Frank był wyraźnie znudzony. – Uczą tego w szkołach.

O ciemnej energii czytałem dawno temu, jeszcze na Ziemi. Einstein natrafił na nią podczas pracy nad stałą kosmologiczną. Początkowo odrzucił otrzymane wyniki, uważając je za błędne. Nie mógł uwierzyć, że największy wpływ na zachowanie się Wszechświata ma energia skupiona w każdym fragmencie próżni. Brzmiało to dla niego jak szarlataneria. I w sumie trudno się dziwić. Pomysł, że próżnia zawiera w sobie ogromne zasoby energii, zdaje się być szalony. Na tyle szalony, że nie mógł zaakceptować go nawet człowiek, który nie bał się przyspieszyć lub spowolnić czasu. Dopiero

dużo później Krouf sformułował swoje prawo, traktujące ciemną energię jako olbrzymią masę, skupioną w ósmym i dziewiątym wymiarze, niedostrzegalną w naszej trójwymiarowej rzeczywistości. Tenebrisuncjalne silniki napędzane ciemną energią mogą pracować bez żadnych przerw i nie wymagają transportowania zapasów paliwa. Dzięki nim poruszamy się ze stałym przyśpieszeniem lub spowolnieniem równym mniej więcej przyśpieszeniu ziemskiemu i nie dokucza nam stan nieważkości. Oczywiście poza momentami, gdy Nadir wykonuje „manewr".

Zimny dreszcz przeszył mnie na myśl o „manewrze". Nie lubiłem tego cholerstwa. Nadir wyłączał wtedy silniki przyśpieszające i uruchamiał spowalniające lub odwrotnie. Wiązało się to z kilkominutową utratą ciążenia. Jednak nie stan nieważkości był najgorszy. Nadir obracał się wówczas wokół własnej osi o sto osiemdziesiąt stopni. Mówiąc oględnie, podłoga zamieniała się miejscami z sufitem – tak to przynajmniej wyglądało z perspektywy pasażerów. Sztuczna grawitacja na Nadirze związana była z nieustannym ciągiem silników, więc jej kierunek był zawsze przeciwny do wektora przyśpieszenia. Kiedy Nadir włączał silniki spowalniające, przyśpieszenie automatycznie zmieniało swój zwrot. Aby nie narażać pasażerów na chodzenie po suficie, konstruktorzy opracowali „manewr".

– Zastanawiałeś się kiedyś po co w ogóle Nadir na zmianę przyśpiesza i zwalnia? – zapytał Frank.

– Gdyby tylko przyśpieszał, w końcu osiągnąłby prędkość światła. Zgodnie ze szczególną teorią względności to niemożliwe.

– A wiesz, dlaczego niemożliwe?

– Masa obiektu poruszającego się z szybkością światła rośnie do nieskończoności, a jego wymiar liniowy, zgodny ze zwrotem ruchu, zmniejsza się do zera.

– Zgadza się. Trudno nawet powiedzieć, co działoby się w takich okolicznościach z człowiekiem. Nikt tego nie był w stanie sprawdzić. Główną przeszkodą jest samo rozpędzenie statku do szybkości

zbliżonej do prędkości światła. Wzrasta masa, więc potrzeba coraz więcej energii, aby nadal rozpędzać obiekt. Przy prędkości równej prędkości światła wymagane jest nieskończenie wiele energii. Moc silników Nadira pozwala na rozpędzenie statku maksymalnie do poziomu 80% prędkości światła.

– Aż tyle?

– Wzrost masy nie jest liniowy. Zaczyna szybować mocno w górę po przekroczeniu 95% prędkości światła. Nadir za każdym razem, gdy zbliża się do swojej prędkości granicznej wykonuje „manewr" i zaczyna hamować. Zwalnia do wartości 50% prędkości światła, a następnie znów powtarza „manewr" i przyśpiesza.

Frank przyglądał mi się uważnie.

– Obliczyłem to wszystko. Chcesz zobaczyć?

Skinąłem głową. Ruszyłem w ślad za nim. Kiedy weszliśmy do jego kajuty, zamknął za nami drzwi, przykładając kartę do czytnika. Anselmo nie zabrał mu klucza? – przemknęło mi przez myśl.

Wetknął dłoń pod materac pryczy, szukał czegoś chwilę, macając palcami i wreszcie wydobył wymiętą kartkę. Podał mi ją, spoglądając na mnie z ukosa. Kartka pokryta była wzorami, zapisanymi drobnym maczkiem.

– Możesz mi to objaśnić? – zapytałem.

Nie odpowiedział od razu. Zapatrzył się na ciągiem zapisane szlaczki, jakby jeszcze raz krytycznie sprawdzał obliczenia, szukając jakiegoś błędu.

– Najpierw trzeba określić, jakie mamy dane wyjściowe. Dzięki mojej skrupulatnej buchalterii wiem, że wyruszyliśmy w podróż mniej więcej 47 lat temu. Wystartowaliśmy z bazy na Księżycu, a następnie rozpędzaliśmy się nieustannie, aż do osiągnięcia osiemdziesięciu procent prędkości światła, czyli w przybliżeniu 240 000 km/s. Według moich zapisów pierwszy „manewr" nastąpił po dwustu osiemdziesięciu trzech dniach, co potwierdzają również obliczenia: czas uzyskany z przekształconego wzoru na przyśpieszenie, w którym za różnicę prędkości podstawiłem 240 000 km/s, a za przyśpieszenie

wartość równą g. Wzór masz tutaj. – Wskazał palcem cyfry zapisane na marginesie kartki. Spojrzałem w to miejsce i dostrzegłem, że po ostatnim znaku równości zapisana była liczba 283,45. – Po tym czasie – ciągnął – Nadir zaczął cyklicznie zwalniać i przyśpieszać. Jeżeli jego prędkość maksymalna wynosiła 80% prędkości światła, a minimalna 50%, przy stałym przyśpieszeniu, to dla uproszczenia dalszych obliczeń, można śmiało przyjąć, że jego średnia szybkość przybrała wartość 65% prędkości światła, czyli 195 000 km/s. Dodatkowo wiemy, że od czasu pierwszego „manewru" do teraz minęło 16872 dni (liczba uzyskana po odjęciu od czterdziestu siedmiu lat dwustu osiemdziesięciu trzech dni). Dalsze obliczenia są już bardzo proste: z przekształconego wzoru na prędkość obliczamy drogę i tym sposobem uzyskujemy… – Wydobył spod materaca kalkulator i zaczął szybko uderzać w klawisze, bełkocząc pod nosem: – Trzeba dni przeliczyć na sekundy, żeby zgadzały się jednostki, pomnożyć przez 195 000 i… – Kalkulator wyświetlił wynik. – Zgadza się! 2,84 x 1014 kilometrów. Teraz tylko musimy przeliczyć ile to lat świetlnych. Światło w ciągu roku pokonuje… 300 000 razy 3600, razy 24, razy 365, to się równa 9,46 x 1012. Podzielić. I wychodzi 30,02 lat świetlnych. Do tego jeszcze trzeba doliczyć odległość, jaką pokonaliśmy przez pierwsze 283 dni. Tu znowu musimy przekształcić wzór na przyśpieszenie. To w sumie prosta fizyka, na poziomie szkoły podstawowej, tylko liczby bardzo duże. Wychodzi 5,86 x 1012, czyli 0,62 roku świetlnego. Wartość pomijalna w dalszych rozważaniach. I tu dopiero zaczynają się schody. – Spojrzał na mnie. – Początkowo byłem pewien, że jesteśmy oddaleni trzydzieści lat świetlnych od Ziemi. Długo szukałem układu zlokalizowanego w tej odległości, systemu podwójnego, podobnego do tego, który widzimy za iluminatorem. Niestety, nie udało mi się. Następnie mnóstwo czasu poświęciłem na znalezienie błędu w obliczeniach. Również bezowocnie.

– Dylatacja czasu?

– Zgadza się! – Frank wyszczerzył zęby. – Na statku poruszającym się z taką prędkością czas płynie szybciej niż w układzie inercjalnym, pozostającym w spoczynku. Jest na to wzór, transformacja Lorentza. Dla ciała pędzącego z prędkością równą 65% szybkości światła współczynnik dylatacji wynosi tyle. – Wskazał palcem wynik: 1,316. – Oczywiście jest to wartość przybliżona, bo różnica czasu nie jest funkcją liniową względem prędkości, więc obliczanie jej dla średniej wartości prędkości nie jest do końca zgodne z prawdą. Niestety, na dokładniejsze obliczenia mnie nie stać. Jednego natomiast jestem pewien: ze wzoru Lorentza wynika, że Nadir aktualnie znajduje się mniej więcej czterdzieści lat świetlnych od Ziemi, a nie trzydzieści, jak myślałem wcześniej. W tej odległości natomiast zlokalizowany jest układ podwójny, pasujący opisem do tego, który widzimy za oknem. 55 Cancri, system złożony z żółtego karła i czerwonego karła, krążących wokół wspólnego środka masy.

– Żółtego karła? – zdziwiłem się. Gwiazda nie była żółta.

– Tak. To naukowe określenie. Słońce też jest żółtym karłem, choć tak naprawdę świeci na biało. Dopiero w ziemskiej atmosferze jego temperatura barwowa się zmienia.

Na moment zapadło milczenie.

– To cel naszej podróży? – zapytałem.

Nie odpowiedział. Usiadł na pryczy, przyglądając się wymiętej kartce pokrytej wzorami.

– Masz mnie, kurwa, za jasnowidza?! – wybuchnął po chwili.

O nic więcej nie miałem ochoty pytać. Przez to wszystko zapomniałem o celu mojej „przechadzki”. Ile czasu straciłem na rozmowę z Frankiem? Wisior będzie nieźle wkurzony. Nie zwlekając, poszedłem na górny pokład i zerwałem kilka dojrzałych bananów. Następnie czym prędzej dostarczyłem owoce Wisiorowi. Na szczęście zastałem go, o dziwo, w dobrym humorze. Poza tym w mesie nie było już Gordona, więc wobec braku najważniejszego widza gnębienie mnie straciło sens. Kiedy wszedłem, Wisior ćwiczył brzuszki razem z Czachą. Na mój widok rzucił oczywiście parę cierpkich słów, ale

obyło się bez większych ekscesów i mogłem spokojnie wrócić do kajuty.

***

Po rozmowie z Frankiem o wiele częściej zaglądałem w iluminator. Potrafiłem wpatrywać się weń godzinami, trwając przy tym w idealnym bezruchu. Obce gwiazdy niemal mnie hipnotyzowały: kończyny sztywniały, serce biło coraz wolniej, źrenice zwężały się, rażone intensywnym światłem. Towarzyszyło temu dziwne, mistyczne uczucie, jakbym zespalał się z otaczającą mnie przestrzenią. Miałem wrażenie, że wnikam w nią i płynę, nie czując własnego ciała, będąc częścią jakiejś potężnej, nieodgadnionej siły, czymś czego nie można wyrazić ani żadnym obrazem, ani tym bardziej słowami. Wsłuchiwałem się w idealną pustkę Kosmosu tak długo, aż wszechobecna próżnia, w której nie mogły zaistnieć żadne dźwięki, zaczynała dzwonić mi w uszach. Przejmująca nicość krzyczała niemym wrzaskiem miliardów galaktyk. Płynąłem coraz dalej i dalej. Unosiłem się. Nie miałem już ciała. Byłem tylko ciszą i czernią.

Poczytałem co nieco na temat 55 Cancri. Informacje znalazłem w jednej z książek popularnonaukowych, które były w biblioteczce statku. System ten został odkryty w dwudziestym stuleciu. Według oznaczeń astronomicznych białą gwiazdę opisuje się symbolem 55 Cancri A, natomiast jej czerwoną towarzyszkę 55 Cancri B. Nazewnictwo jest zgodne z ogólnie przyjętymi standardami, według których do oznaczania kolejnych gwiazd, tworzących układ wielokrotny, używa się wielkich liter alfabetu dodanych na końcu nazwy systemu. Planety natomiast opisuje się literami małymi. Dowiedziałem się również, że wokół żółtego karła krąży kilka globów. Niektóre z nich są bardzo intrygujące. Chociażby Janssen – 55 Cancri e – znajdująca się najbliżej rodzimej gwiazdy. Jej okres orbitalny trwa zaledwie osiemnaście godzin (Tak! 18 godzin! Rok na tym rozpędzonym szaleńczo świecie trwa mniej niż doba na Ziemi!) Planeta krąży w tak małej odległości od swojego słońca, że

temperatura na jej powierzchni osiąga wartość 2700 stopni Celsjusza. Istne piekło! Jednocześnie naukowcy twierdzą, że dzięki warunkom jakie tam panują, Janssen, o masie dwukrotnie większej niż Ziemia, w jednej trzeciej zbudowany jest z diamentu. Trudno nawet wyobrazić sobie takie miliardy ton bogactwa! Niejeden człowiek sprzedałby duszę za podobny majątek. Symbolizm tego miejsca staje się nad wyraz czytelny: trzeba trafić do piekieł, aby zdobyć fortunę. Inna sprawa, że gdyby tyle diamentów przetransportować na Ziemię, kamienie od razu straciłyby na wartości. Ludzie cenią tylko to, czego nie mają pod dostatkiem.

Kolejna planeta najbliższa żółtego karła to Galileo, gazowy olbrzym o masie zbliżonej do Jowisza, obiegający gwiazdę w zaledwie piętnaście dni. Niestety, planeta ta nie posiada stałego lądu i jest jedynie gazową bańką, gnającą w próżni. Fascynujący jednak jest fakt, że olbrzymia masa krąży wokół gwiazdy po niesamowicie ciasnej orbicie. Galileo zaliczany jest do grupy tak zwanych „gorących Jowiszy” – jak się okazuje astrofizycy znają wiele podobnych gazowych olbrzymów, nawet dużo większych niż Jowisz czy Galileo i krążących równie blisko swojego słońca.

Gwiazdę 55 Cancri A obiega jeszcze kilka gazowych planet, które poruszają się po znacznie dłuższych orbitach i przypominają gazowe kule znane z Układu Słonecznego, takie jak chociażby Jowisz czy Saturn. Naukowcy, niestety, wciąż niewiele wiedzą na ich temat. Nie udało się również odkryć żadnych globów krążących wokół czerwonego karła. Zastanawiałem się nawet, czy dokładniejsze zbadanie układu 55 Cancri nie jest celem naszej misji. Statek wejdzie na orbitę szkarłatnej gwiazdy i wypuści sondy, satelity, czy coś w tym stylu…

No a my – załoga skazańców – dalej będziemy tu tkwić bez celu.

Stałem na korytarzu obwodowym i wpatrywałem się z zapamiętaniem w iluminator. Powziąłem sobie za cel wypatrzenie któregoś z obcych światów. Marzyłem o ujrzeniu diamentowego Janssena, choć wiedziałem, że jest to raczej nierealne. Żółty karzeł

świecił na tyle intensywnie, że bardzo skutecznie mnie oślepiał i prócz niego samego oraz towarzyszącego mu czerwonego karła nie mogłem dostrzec nic, nawet innych, odległych gwiazd – malutkich jaśniejących punktów, których winno być tu w Kosmosie pełno. Moje starania można by porównać do prób ujrzenia na Ziemi gwiazd w samo południe – nawet dziecko wie, że to niemożliwe. Niestety, tutaj nie mogłem liczyć na nastanie nocy. Przez jakiś czas starałem się jeszcze wypatrzeć Galileo. Miałem nadzieję, że uda mi się to z uwagi na jego ogromne rozmiary. Niestety, również ta sztuka okazała się niemożliwa – z podobnym skutkiem mógłbym na Ziemi gołym okiem wypatrywać Jowisza w środku dnia.

Zniechęcony udałem się do mesy. Już w korytarzu usłyszałem niepokojące odgłosy: wrzaski, eksplozje, nieludzkie porykiwania. Gdy wszedłem do środka, potwierdziły się moje przypuszczenia: załoga oglądała film. Hernandez siedział w fotelu, trzymając nogi na stole, i z dłońmi splecionymi za głową głośno komentował sceny rozgrywające się na ekranie. Gordon zajął miejsce obok niego i z zapałem śmiał się z prostackich żartów. Był też Wisior, nieco na uboczu, trzymał w dłoni hantel i ćwiczył bicepsy. Usiadłem za nimi i również zacząłem śledzić wydarzenia na ekranie. Szybko zorientowałem się, że Hernandez wygrzebał jakieś stare dzieło science fiction wątpliwego sortu, najpewniej z dwudziestego albo dwudziestego pierwszego wieku. Lubili oglądać takie starocie, bo mieli przy tym niezły ubaw. W zasadzie oglądali na zmianę albo to, albo pornosy.

Na ekranie jakaś panienka ubrana w obcisły kombinezon eksponujący wszystkie krągłości jej kształtnego ciała, rozglądała się nerwowo, ciężko przy tym dysząc. W dłoniach dzierżyła sporych rozmiarów miotacz płomieni. Na końcu lufy w półmroku migotał mały ognik. Dziewczyna stąpała ostrożnie przed siebie. Niepokojąca muzyka potęgowała atmosferę grozy. Nie pozostało już nic innego jak tylko czekać, kiedy zza rogu korytarza, bądź z sufitu, wyskoczy oślizły potwór, szczerząc ostre zębiska.

– Niezłą ma dupcię – skomentował Hernandez. – Szkoda by było, gdyby ta poczwara ją zeżarła.

– Taa… – zawtórował Wisior. – Jak ją zeżre, dalej nie oglądam.

Głupie pieprzenie. Dobrze wiedzą, że dziewczynie nie stanie się krzywda. Przecież widzieli film chyba z tysiąc razy. Poza tym główna bohaterka nie może zostać uśmiercona w połowie akcji. Musiałem jednak przyznać, że babka w opinającym ciało stroju wyglądała naprawdę ponętnie. Teraz już wiedziałem, co skłoniło ich do ponownego obejrzenia tego starego dreszczowca. Swoją drogą, ciekawe skąd w dwudziestym wieku wzięły się takie wyobrażenia o strojach załóg statków kosmicznych? Przecież dopasowane, idealnie przylegające do ciała kombinezony nigdy nie mogły mieć racji bytu. Może po prostu ich zadaniem było zwiększanie oglądalności?

– Patrzcie, jak kręci tyłeczkiem – podniecał się Hernandez.

Powoli przestawałem zwracać uwagę na urodę bohaterki, a skupiłem się na akcji filmu. Jakiś obleśny maszkaron wychynął za plecami kobiety i zaczął gnać w jej stronę. Brunetka, zamiast użyć miotacza, rzuciła się z wrzaskiem do panicznej ucieczki. Zdołała wbiec do jakiegoś pomieszczenia i wcisnąć przycisk, zamykający drzwi. Zabrzmiał stłumiony syk pneumatyki i skrzydła drzwiowe zaczęły się zasuwać. Potwór jednak w ostatniej chwili zdążył wetknąć szponiaste łapsko w wąską szczelinę i wbić pazury w nadgarstek bohaterki. Szamotanina trwała dobre pół minuty, aż wreszcie kobieta zdołała dosięgnąć noża, który, dziwnym trafem, leżał akurat na podłodze nieopodal niej. Zanurzyła ostrze w oślizłym ramieniu. Powietrze rozdarł wrzask zranionego zwierza, szpony natychmiast ustąpiły, a drzwi zamknęły się z sykiem. Dziewczyna osunęła się na podłogę, dysząc z przestrachu. Wytarła dłonią pot z czoła.

– Ruchałbym – powiedział Hernandez, wpatrzony w spoconą i przerażoną bohaterkę.

Mnie zastanowiło co innego. Dlaczego w starych filmach statki kosmiczne wyposażone są zawsze w drzwi automatyczne, rozsuwane, otwierane przyciskiem? A może pytanie powinno brzmieć inaczej:

dlaczego nie ma takich na Nadirze? Koszty byłyby zbyt duże? Wątpię. W porównaniu z tenebrisuncjalnym silnikiem wydatek na drzwi byłby znikomy. Konstruktorzy obawiali się ich awaryjności? Też nie sądzę. Skoro potrafili skonstruować silnik, który pracuje bezawaryjnie od dziesiątek lat, daliby również radę zaprojektować niezawodne drzwi. Powód musiał być inny: zapewne chciano, byśmy czuli się tutaj jak w domu, jak na Ziemi. W domach na Ziemi automatyczne drzwi również nie są powszechne. Zrobiono to w trosce o naszą psychikę. Omiotłem wzrokiem brudne ściany mesy. Nie wszystko się udało. Efekt nie jest powalający. Brakuje okien, farba łuszcząca się na metalowych ścianach wygląda okropnie (oczywiście na swój sposób również pięknie!). Nie mogło być inaczej – okien siłą rzeczy nie można było tu umieścić, z farbą na ścianach w ciągu kilkudziesięciu lat musiało stać się to, co się stało, a same ściany nie mogły zostać pokryte tynkami. Jesteśmy na statku kosmicznym, co widać na pierwszy rzut oka, a wszystkie starania konstruktorów, aby ten fakt przed nami ukryć, okazały się nadaremne. Nawet taki imbecyl jak Czacha się nie nabierze.

Ujęcie na ekranie zmieniło się. Akcja wróciła do tonącego w mroku korytarza, tylko że zamiast atrakcyjnej brunetki z miotaczem ognia błądził tam teraz umięśniony murzyn. Jego twarz wyrażała przestrach, ale przestrach nienaturalny, wręcz karykaturalny – facet nie był wybitnym aktorem. Jak zwykle załoga musiała wcześniej się rozdzielić. Zawsze tak robią w durnych filmach. Każdy przemierza ciemne korytarze samotnie, żeby potwór łatwiej mógł wszystkich po kolei wykończyć.

Nastąpiło długie ujęcie zza pleców mężczyzny. Niepokojące dźwięki sączyły się z głośników. Przypomniałem sobie o dolnym pokładzie Nadira. Kto wie, co czai się w tajemniczych pomieszczeniach i korytarzach. Poczułem dziwny niepokój. Czyżbym naprawdę wierzył w to, że na naszym statku również ukrywa się jakaś krwiożercza bestia, która podróżuje z nami od samego początku i tylko czeka na odpowiedni moment, aby zaatakować? Dolny poziom

zawsze wzbudzał we mnie irracjonalny lęk, jednak przyczyną tego strachu tak naprawdę nie były żadne wyimaginowane potwory.

Podskoczyłem na krześle, kiedy monstrum dopadło czarnucha. Mężczyzna wybałuszył oczy i rozwarł szeroko usta, ukazując nienaturalnie białe zęby, które kontrastowały z ciemną skórą. Bestia w tym czasie wgryzała się mu w czaszkę. Facet wcisnął spust miotacza. Jęzor ognia liznął ścianę, nie dosięgnąwszy potwora. Murzyn umarł. Murzyni zawsze umierają w tych filmach. Jego rola statysty dobiegła końca i trzeba szczerze przyznać, że odegrał ją mizernie.

– Murzyn pewno miał za dużego kutasa, więc musiał zdechnąć – powiedział Hernandez.

Nastąpiło ujęcie pokazujące wahadłowiec, płynący pośród rozgwieżdżonej czerni. Z trudem powstrzymałem się od śmiechu. Nie bardzo przypominał współczesne statki kosmiczne, takie jak chociażby Nadir. Wydłużony, szpiczasty kształt przywodził raczej na myśl archaiczne rakiety, które startowały z powierzchni Ziemi i musiały osiągnąć prędkość ucieczki, przedzierając się przez ziemską atmosferę. Nadir wyglądał zupełnie inaczej. Miał kształt dysku i poruszał się prostopadle do płaszczyzny swojej tarczy. Taka konstrukcja była najbardziej optymalna – biorąc pod uwagę sztuczną grawitację, wywołaną nieustannym przyśpieszeniem, i fakt, że Nadir nigdy nie musiał pokonywać oporów powietrza, gdyż rozpoczynał lot z bazy na Księżycu. Ta myśl wywołała u mnie odległe wspomnienia. Najpierw te z lotu na Srebrny Glob: zobaczyłem nas wszystkich, skazańców, zakutych w kajdany, ubranych w nowiusieńkie uniformy i prowadzonych przez strażników do promu, który miał za chwilę wystartować, spalając tony paliwa w szaleńczym ciągu odrzutowych silników. Był to mój pierwszy lot w życiu. Bałem się jak diabli. Chyba każdy na moim miejscu by się bał, mając świadomość, że za chwilę zostanie wpakowany do bezzałogowej puszki, która w parę minut rozpędzi się do prędkości trzydziestu tysięcy kilometrów na godzinę. Tym bardziej, że do owej puszki ładowano taką szumowinę jak ja,

wyrzutka, którego życie dla nikogo nie przedstawiało żadnej wartości. Czy chcą w ten sposób wykonać na nas wyrok śmierci? – zachodziłem wtedy w głowę. Wahadłowiec z wielkim hukiem wystartował, buchając jęzorami spalanego tlenu i wodoru. Dobrze zniosłem przeciążenie w czasie startu. Wcześniej przechodziliśmy próby przeciążeniowe w symulatorach pod okiem lekarzy. Sztab nie wysyłałby w Kosmos więźniów w złym stanie zdrowia; chcieli mieć pewność, że nie rozpadniemy się już przy samym starcie.

Potem przypomniałem sobie łagodne lądowanie i pobyt na Księżycu. Ten czas był dla mnie zbawienny. Zniknęły kajdany, kraty w oknach, zaryglowane, pancerne drzwi, a strażnicy nie pilnowali nas tak rygorystycznie jak wcześniej na Ziemi. Nie mieliśmy dokąd uciec. Za oknami rozpościerał się szary, księżycowy krajobraz, urozmaicony jedynie łagodnymi wzniesieniami i kraterami powstałymi po uderzeniach tysięcy asteroid. Na czarnym niebie widać było niebiesko-zieloną planetę, przysłoniętą gdzieniegdzie postrzępionymi, białymi obłokami. Przepiękny widok. Baza na Księżycu zbudowana została z myślą o załogach badawczych, więc warunki, jakie tutaj panowały, były o niebo lepsze niż te, do których przywykliśmy, przebywając w zakładzie karnym. Czułem się, jakbym trafił do raju. Ów błogi stan dodatkowo potęgowało mniejsze niż na Ziemi ciążenie, które sprawiało, że moje ciało było beztrosko lekkie, zupełnie jakbym razem z kajdanami pozbył się również jakiegoś przytłaczającego brzemienia, ciążącego od narodzin. Trzeciego dnia ubrali nas w skafandry i zaprowadzili do księżycowego łazika, żeby przewieźć na miejsce startu. Pamiętam, co myślałem, kiedy po raz pierwszy ujrzałem Nadira. Ukazał się w oknie pojazdu. Początkowo nie potrafiłem dokładnie mu się przyjrzeć, bo łazik nieustannie podskakiwał na wybojach, przez co statek na zmianę pojawiał się i znikał za wzniesieniami terenu. Dopiero gdy pojazd zatrzymał się w odległości mniej więcej pięćdziesięciu metrów od płyty startowej i wysiedliśmy z niego, stając na szarej, księżycowej powierzchni, mogłem podziwiać piękno Nadira w całej okazałości. Widziałem

wcześniej podobne statki w telewizji oraz na zdjęciach i planszach, które pokazywano nam podczas krótkiego pobytu na Księżycu. Mimo to wrażenie, jakie wywierał na żywo, było naprawdę piorunujące. Przede wszystkim nie spodziewałem się tak dużych rozmiarów. W pierwszej chwili pomyślałem, że zaszło nieporozumienie; jakiś znudzony urzędas za biurkiem nie dopatrzył procedury, ktoś inny na przygotowanych przez niego dokumentach bezmyślnie przybił pieczątkę, jeszcze ktoś inny w roztargnieniu podpisał wszystkie te bzdety i przez fatalny zbieg okoliczności do statku, który mógł pomieścić tysiące więźniów, wysłali zaledwie dwunastu. Dopiero później, kiedy już stanęliśmy na pokładzie, zorientowałem się, że większość olbrzymiej przestrzeni zajmuje sektor zieleni zlokalizowany na górnym poziomie. Poza tym wiele miejsca zarezerwowano dla ogromnych tenebrisuncjalnych silników, umieszczonych na najniższej kondygnacji. Miejsca dla załogi było naprawdę niewiele: zaledwie część środkowego pokładu z kwaterami, mesą, jadalnią i korytarzem obwodowym.

Na ekranie ponętna kobietka rozmawiała z umięśnionym przystojniakiem. Facet akurat zapragnął wyznać jej miłość. Twierdził, że od dawna kocha ją szaleńczo, a w obliczu nadchodzącego nieuchronnego końca nie potrafi myśleć o niczym innym jak tylko o skonsumowaniu ich krótkiego związku. Widać było, że babka za chwilę ulegnie argumentom. Przecież nie miała nic do stracenia – ostatnie chwile lepiej spędzić przyjemnie.

– Zaraz będą się pierdolić – rzucił Wisior, wykazując się wrodzoną subtelnością.

– Ja też chętnie bym ją puknął – zawtórował Gordon.

Po tych słowach wstał.

– Idę walnąć się w wyro – rzucił od niechcenia i wyszedł.

– Pewnie polazł się brandzlować – zażartował Wisior, gdy Gordon zniknął za drzwiami. – Młody – zwrócił się do mnie (chyba dopiero teraz mnie zauważył, wychylając się z fotela) – przynieś mi trochę gówna.

Westchnąłem głośno. Zdanie „Przynieś mi trochę gówna” znaczyło mniej więcej tyle, że będę musiał odstąpić mu część własnych racji żywnościowych. Przecież nie mogłem powiedzieć automatowi, że wysłał mnie Wisior. Może i nie był to wielki problem, bo głód mogłem zaspokoić owocami z sektora zieleni, ale arogancja Wisiora była coraz bardziej irytująca.

Moja mina musiała wyrażać niezadowolenie. W półmroku zauważyłem, jak oczy Wisiora zapłonęły złością.

– Coś się, kurwa, nie podoba?

Nie odpowiedziałem, ale też nie ruszyłem się z miejsca. Rozważałem różne opcje. Nie zamierzałem zawsze bez słowa spełniać wszystkich jego zachcianek. Tak właśnie postępował Joe i do niczego dobrego to nie prowadziło.

Wisior spojrzał na mnie z jeszcze większą nienawiścią.

– Chcesz wyjść na solo?

Dalej milczałem.

– W każdej chwili mogę przyjebać ci w ryj. – Nieco podniósł głos.

Wstałem nieśpiesznie. Facet zaczynał mnie coraz bardziej złościć. W bezpośrednim starciu raczej nie miałbym z nim szans. Innym rozwiązaniem byłoby unikanie go, przesiadywanie całymi dniami w sektorze zieleni, może nawet ukrywanie się tam, życie pośród tropikalnych roślin i jedzenie owoców zerwanych z drzew. Lecz to na dłuższą metę też by się nie sprawdziło. Tacy jak Wisior i Gordon potrzebowali ludzi, którymi mogliby nieustannie pomiatać, udowadniając swoją wyższość. Gdyby zabrakło mnie, ćwiczyliby Joego, a obawiam się, że on długo by tego nie wytrzymał. W końcu stałby się bezużyteczny i wtedy urządziliby polowanie na mnie. Sektor zieleni nie był na tyle duży, żeby skutecznie się w nim zaszyć, więc moje szanse byłyby raczej marne.

Po dostarczeniu Wisiorowi miski z czerwoną mazią, postanowiłem wrócić do swojej kajuty. W korytarzu zauważyłem Anselma stojącego przy jednym z iluminatorów. Przyglądał się białej gwieździe, mrużąc oczy i osłaniając je dłonią.

– Rozmawiałeś o tym z Frankiem – powiedział, kiedy stanąłem obok niego.

Nie było to pytanie, jednak poczułem, że jestem zobowiązany odpowiedzieć.

– Tak.

– Co to za gwiazda? – Spojrzał na mnie. Oczy mu łzawiły.

– 55 Cancri A.

– Będziemy tu lądować? – Jego wzrok przeszywał mnie na wskroś. Popatrzyłem w okienko iluminatora, chcąc uniknąć tego spojrzenia.

– Nie wiem.

– A Frank wie?

– Nie.

Po chwili dodałem:

– Przynajmniej tak twierdzi.

Anselmo znów przeniósł wzrok na 55 Cancri A. Zapytał:

– Jesteś pewien, że to Wisior?

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Nie byłem pewien. W ogóle niczego nie byłem pewien.

– Jestem niemal pewien.

Sam nie mogłem uwierzyć, że wypowiedziałem te słowa.

***

Wróciłem do swojej kajuty. Miałem zamiar trochę się zdrzemnąć, niestety niespokojne myśli nie pozwoliły mi nawet zmrużyć oka. Obawiałem się następnego kroku Anselma. Jeżeli jakimś cudem zdoła dowieść, że Wisior nie jest szpiclem, może być na mnie wściekły za podsunięcie fałszywego tropu… Aż ciarki przeszły mi po plecach na myśl o gniewie Anselma. Z drugiej strony nie zmyśliłem żadnych faktów, nie podałem żadnych konkretów, wszystko, co usłyszał, oparte było na niepewnych poszlakach i daleko idącej dedukcji – takich wniosków przecież nikt nie mógł potraktować poważnie. Mimo to obawiałem się porywczej natury przywódcy.

Myśli dręczyły mnie, nie pozwalając ani na moment zasnąć. W końcu, mając już dość przewracania się z boku na bok, postanowiłem pójść do sektora zieleni. Żywiłem nadzieję, że dzięki ciężkiej pracy zdołam zapomnieć o trapiących mnie problemach. W ogrodzie natrafiłem na Joego. Przekopywał zawzięcie grządki z pomidorami. Rude włosy były jak zwykle w nieładzie, z czoła obficie ściekał pot. Wycierał go nerwowo rękawem, nie przerywając ani na chwilę pracy. Najwidoczniej też w ten sposób zabijał niespokojne myśli. Wyminąłem go, chcąc udać się do sektora drzewek owocowych.

– Gdzie idziesz? – zapytał nerwowo, gdy mnie zauważył.

Spojrzałem na niego niepewnie. Znów zbiera mu się na zwierzenia – pomyślałem. Z jednej strony nie miałem ochoty wysłuchiwać jego wynurzeń, a z drugiej… Może to być okazja, aby dowiedzieć się czegoś istotnego. Ta nagła myśl nieco mnie ożywiła. Niewykluczone, że Joe wie coś na temat gościa w Prezbiterium. Nie sądzę, by ktoś cokolwiek opowiedział mu celowo, jednak rudzielec wciąż kręci się tu i tam, więc jakieś istotne drobiazgi mogły obić mu się o uszy. Już zacząłem nawet zastanawiać się, jak dyskretnie go podejść, jakim sposobem sprytnie sprowadzić pozornie niewinną rozmowę na temat przeze mnie pożądany. Dlaczego nie pomyślałem o tym wcześniej?

Przystanąłem.

– W zasadzie chciałem zająć się drzewkami i trochę…

Nie zdążyłem dokończyć; Joe nagle wypalił:

– Po co Anselmo wezwał cię na dolny pokład?

Zatkało mnie. Przecież nie mogłem wyłożyć wszystkich kart na stół. Nie taki był plan. Nie miałem pojęcia, jaką bajeczkę na szybko wymyślić. Stałem chwilę z durną miną, a w głowie miałem totalną pustkę. Joe zauważył moje zmieszanie. Patrzył wyczekująco.

Postanowiłem być w pewnym sensie szczery:

– Nie mogę ci powiedzieć. Anselmo zabiłby mnie, gdyby coś przeciekło.

We wzroku rudzielca pojawiła się jeszcze większa podejrzliwość.

– Nie ufasz mi? – rzucił z żalem.

– Tu nie chodzi o zaufanie… – Urwałem. – Nie wątpię, że starałbyś się zachować wszystko w tajemnicy, ale szczerze mówiąc, nie uwierzę, że nie wyznałbyś treści rozmowy na przykład na torturach. Jeśli ktoś cię przyciśnie, zaczniesz śpiewać. A ja nie mogę pozwolić sobie na takie ryzyko. To zbyt poważna sprawa.

Zakląłem w myślach, bo dotarło do mnie, że przesadziłem. Niepotrzebnie pobudziłem jego ciekawość. Może lepiej byłoby sprawę jakoś zbagatelizować, przedstawić ją jako coś zwyczajnego, nudnego i mało interesującego. Niestety, w taką wersję raczej też by nie uwierzył. Każda wizyta na dolnym pokładzie była sama w sobie czymś wyjątkowym.

Joe westchnął ciężko i na powrót zaczął kopać w grządce.

– Po co Anselmo i Hernandez w ogóle tam schodzili? – zapytał po chwili.

Nie odpowiedziałem. To w sumie bardzo ciekawe pytanie. Po jaką cholerę łazili po dolnym pokładzie? Może kryła się w tym jakaś tajemnica… A może po prostu znudziło im się granie w karty i oglądanie pornosów, więc postanowili urozmaicić sobie życie. Lecz wydaje się to mało prawdopodobne. Zeszli tam, dajmy na to, pierwszy raz od dziesięciu lat i od razu natrafili na taką sensację? Ślady nie musiały być wcale świeże. Może ktoś był w Prezbiterium kilkanaście lub nawet kilkadziesiąt lat temu. Przecież po dolnym pokładzie zazwyczaj nikt się nie kręcił, więc nikt nie miał prawa wcześniej zauważyć śladów. A może Anselmo regularnie patrolował najniższy poziom. Tylko po co?

Sprawa zaczynała być coraz bardziej intrygująca. Czyżby Anselmo chciał mnie podpuścić? Wykorzystać do jakichś swoich wyrafinowanych gierek? Zabawić się mną?

– To samobójstwo Walta… – podjął znów Joe. – To wszystko dla mnie jakieś podejrzane… Nie trzymające się kupy. Walt nie był charakterem ze skłonnościami samobójczymi.

Zmilczałem. Również tym sekretem nie miałem ochoty się dzielić. Rozmowa z rudzielcem była jakaś dziwna. Przestałem mu ufać. Chyba nigdy mu nie ufałem.

– Czy twoja wizyta na dolnym pokładzie miała jakiś związek ze śmiercią Walta? – nie odpuszczał.

Dlaczego tak uparcie drążył temat?

Moje poirytowanie narastało.

– Zgłodniałem – powiedziałem. – Idę coś zjeść.

Odwróciłem się na pięcie i bezceremonialnie odszedłem. Tylko na tyle było mnie stać.

***

Czacha prężył muskuły i mocno zaciskał zęby.

– Trzy jeden, trzy dwa, trzy trzy, trzy cztery… – odliczał jednostajnie pod nosem, za każdym razem, kiedy hantel wędrował w górę.

Wisior w tym czasie pracował nad mięśniami ud. Metalowe krążki unosiły się miarowo w rytm ruchów jego nóg.

Usiadłem na fotelu z miską żółtego gówna w dłoni. Nie zachwycało mnie towarzystwo tych dwóch typków, jednak moje zainteresowanie wzbudził obraz na ekranie telewizora. Rozświetlona kula jednostajnie kręciła się wokół własnej osi, zatopiona w czerni, i w regularnych odstępach czasu strzelała snopem intensywnego, niebieskiego światła.

– Gwiazda neutronowa otoczona potężnym polem magnetycznym – mówił lektor – wyrzuca z siebie silną wiązkę promieniowania gamma. Gdyby ów strumień trafił w Ziemię, oznaczałoby to definitywną zagładę życia na naszej planecie…

Ciekawe, kto włączył ten film? Nie podejrzewałem Wisiora i Czachy o podobne zainteresowania. Spojrzałem na nich z niepokojem. Nie patrzyli na ekran ani na mnie. Gdy ćwiczą, cały świat przestaje dla nich istnieć. Dzięki temu mogłem liczyć na chwilę spokoju.

Rozsiadłem się wygodniej w fotelu.

– Migotanie pulsara jest pozorne – ciągnął aksamitny głos. – Wirujący glob wysyła energię wąską wiązką w kierunku pola magnetycznego, które nie pokrywa się z jego osią obrotu. Impuls pojawia się, kiedy strumień energii skierowany jest ku nam. Pulsary to osobliwe pozostałości supernowych, czyli masywnych, wybuchających gwiazd. Wirująca gwiazda neutronowa to wielki, naturalny generator elektryczny. Prąd indukuje potężne pole magnetyczne, które porywa elektrony i inne naładowane cząstki, by wyrzucić je z ogromną prędkością w Kosmos. Przyśpieszane cząstki zawsze wytwarzają promieniowanie elektromagnetyczne, które formuje skupione wiązki.

– Straszna była cipa z tego Walta – rzucił Wisior, wycierając spocony kark w ręcznik.

Skończył trening. Najwyższa pora się stąd ulotnić.

– Dlaczego cipa? – zapytał swoim zwyczajem Czacha.

– Powiesił się jak jakiś zaszczuty cwel. – W głosie Wisiora słychać było pogardę. – Jebana ciotka. Nie lubię takich pedziów.

Postanowiłem chwilę poczekać i wysłuchać dalszego ciągu rozmowy.

– Ale przecież Walt nie był pedziem. Lubił laseczki. Nieraz oglądaliśmy razem pornole.

– W pierdlu każdy pedzio udaje, że lubi laseczki. Każdy homoś kryje się ze swoimi ciągotami. Gdyby lubił laseczki, nie posuwałby facetów. Przecież co chwilę zabawiał się z Joem.

– Ale mówił, że robi to, bo brakuje mu baby.

– Wszystkim nam, kurwa, brakuje baby! Ale nie pchamy kutasów w dupsko Joego!

Czacha nic więcej nie powiedział. Ponownie złapał ciężarek, a jego usta zaczęły poruszać się bezdźwięcznie, odliczając kolejne podnoszenia.

Wisior splunął ze złością.

– Nie lubię takich zakamuflowanych, jebanych homosiów.

Wymknąłem się z mesy, bo sytuacja stawała się napięta. W jadalni odłożyłem miskę do zmywarki i wyszedłem na korytarz. Może powinienem porozmawiać z Frankiem? Dawno go nie widziałem. Czy moja misja śledzenia go wciąż jest aktualna?

Pokręciłem z niedowierzaniem głową – że też przypomniało mi się o Franku. Przeklęty chudzielec wciąż przyprawiał mnie o dreszcze. Ale może wie coś więcej na temat 55 Cancri. Albo na temat celu naszej misji. Program o pulsarach pobudził moją ciekawość. Postanowiłem sprawdzić, czy Frank jest u siebie.

Zatopiony w rozważaniach, przeszedłem obok lekko uchylonych drzwi kajuty Gordona. Z wnętrza dobiegły mnie niespokojne szepty. Wyrwany z zamyślenia, przystanąłem, nastawiając ucha.

– A co konkretnie powiedział? – zapytał nieprzyjemnie piskliwy głos, który bez problemu rozpoznałem. Nie było to trudne, ponieważ należał do właściciela kajuty.

– Że miał jakiś sen – odburknął drugi głos, zdecydowanie niższy i silniejszy. Musiałem chwilę się zastanowić, do kogo należy. – Śniło mu się, że chodził po dolnym pokładzie. Pierdolił o jakichś przeczuciach… Zresztą chuj z tym, co powiedział. Ten facet zaczyna świrować. Pojebało go kompletnie.

Teraz byłem już pewien, że to głos Hernandeza.

– Ja nie wiem. Nie wiem…

– Uparł się, żeby pójść na dolny pokład – ciągnął Hernandez. – Mówiłem mu, że moim zdaniem to kompletny idiotyzm. Nie chciał słuchać. Zwariował. Zaczął wierzyć w sny.

– Ale… ale co chcesz zrobić?

– Nie rozumiesz, czy wolisz udawać, że nie rozumiesz? Ten facet oszalał. Nie każdy jest w stanie znieść kilkadziesiąt lat izolacji. Życie w zamknięciu, z dala od domu, bez wódy, prochów i panienek odbiło się na jego psychice. Po jaką cholerę zaczął szwendać się po dolnym pokładzie? I po kiego mnie też tam zaciągnął?

– No, ale widzisz… – Gordon był wyraźnie zmieszany.

– Kurwa, po co mnie tam ciągnął? Po co?

– Trzeba przeczekać… To minie…

– Ale z ciebie cipa. Całe życie na kolanach. Dobrze ci z tym?

– Co ty, kurwa?

– Nie przeszkadza ci płaszczenie się przed Anselmem? Jebane zaciskanie zębów?

– No, niby tak.

– Bo ja mam szczerze dość stania na baczność i srania w gacie. Nie zamierzam dłużej znosić poniżeń. Kiedyś w końcu trzeba powiedzieć: „stop”.

– Poczekajmy jeszcze…

– Nie po to chwyciłem się tego fachu. Gdybym zamierzał komuś usługiwać, smażyłbym frytki w jebanym fast foodzie.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł. Co chcesz zrobić? – Gordon coraz bardziej tracił pewność siebie.

Waha się, po czyjej stronie stanąć – pomyślałem z satysfakcją. – Zły wybór może kosztować go bardzo wiele. Ciekawe czy bierze pod uwagę fakt, że ta rozmowa może być zainscenizowana przez samego Anselma. Szef chce wystawić go na próbę?

– Gdzie masz swój nóż? – Głos Hernandeza nagle się zmienił. Przybrał bardziej zasadniczy ton.

Gordon się zawahał.

– Pod materacem – odparł po chwili.

– Nierozsądnie. Ja swój zawsze noszę przy sobie.

– Kuchenny nóż? Taki duży nóż? Gdzie go chowasz?

Hernandez zaśmiał się z wyższością.

– Patrz.

Targany ciekawością postanowiłem zajrzeć do wnętrza pomieszczenia przez szparę w drzwiach. Taka informacja mogła kiedyś okazać się cenna. Niechcący lekko pchnąłem drzwi. Zawiasy skrzypnęły nieprzyjemnie.

– Kurwa! – powietrze rozdarł krzyk Hernandeza. – Nie zamknąłeś!

Zerwałem się do panicznej ucieczki. Gnałem co sił w nogach, nie oglądając się za siebie. Serce waliło jak młot. Wbiegłem po schodach

na górny pokład. Słyszałem za plecami pościg: ciężkie kroki, dudniące na metalowych stopniach. Na szczęście zdołałem utrzymać goniących na bezpieczny dystans. Na moją korzyść zadziałała krzywizna korytarza obwodowego, dzięki której Hernandez i Gordon nie mogli mnie zobaczyć. W końcu dotarłem do centralnej części sektora zieleni – najlepszej kryjówki na Nadirze. Wiedziałem, że tutaj mnie nie dopadną. Zgodnie z moimi przypuszczeniami pośród mahoniowców, palm olejowych i rozłożystych liści filodendronów bez trudu zmyliłem pościg. Nikt prócz Joego nie znał tego miejsca równie dobrze jak ja. Następnie wróciłem na środkowy pokład, korzystając z drugich schodów zlokalizowanych daleko od strefy kwater, w pobliżu windy towarowej. Do tej części statku rzadko ktokolwiek zaglądał. Musiałem pokonać spory dystans korytarzem obwodowym, żeby dotrzeć do swojej kajuty, lecz nie stanowiło to dla mnie większego problemu. Oczywiście już dawno opuściła mnie ochota na rozmowę z Frankiem. Miałem teraz ważniejsze problemy na głowie. To, co usłyszałem pod drzwiami kwatery Gordona, kompletnie zbiło mnie z tropu. Nie wiedziałem, w jaką grę grają Anselmo i Hernandez. Historyjkę ze snem uznałem za mało prawdopodobną. Nie sądzę, by ktoś tak twardo stąpający po ziemi jak Anselmo nagle zaczął kierować się snami. Pierwsze wytłumaczenie, które przyszło mi do głowy, brzmiało następująco: to Anselmo był w Prezbiterium, a jego zachowanie – chęć szukania szpicla itd. – miało tylko na celu oddalenie podejrzeń od niego samego. Jednak po głębszym zastanowieniu taka wersja wydarzeń również nie trzymała się kupy. Przecież gdyby Anselmo nie zaciągnął Hernandeza na dolny pokład, a potem nie wezwał tam także mnie, nikt nie miałby pojęcia o śladach pod drzwiami Prezbiterium. W taki sposób nie postępuje człowiek, który zamierza coś ukryć. Ta konkluzja skłoniła mnie z kolei ku przypuszczeniu, że historyjka o śnie była zmyślona i miała na celu jedynie wystawienie na próbę lojalności Gordona. To by wiele tłumaczyło – Anselmo mógł szukać szpicla na różne sposoby, nie tylko czekać na moje sugestie na temat Franka i Wisiora. Niestety, przyjęcie takiej wersji nie udzielało

odpowiedzi na podstawowe pytanie: po co Anselmo schodził na dolny pokład? Może faktycznie coś mu się przyśniło. Ale to musiałby być naprawdę niesamowity sen, jedyny w swoim rodzaju – i, co najbardziej zastanawiające, ów sen okazał się proroczy. Ślady przed Prezbiterium były faktem. Coś tu mocno śmierdziało. Poza tym musiałem przyznać, że Hernandez bardzo dobrze odegrał swoją rolę. Sposób, w jaki mówił o szefie, był bardzo przekonujący. Gdyby to, co powiedział, zostało zmyślone przez samego Anselma, Hernandez okazałby się niesamowicie dobrym aktorem. Jego słowa brzmiały zaskakująco autentycznie. Głos mu drżał, niemal słyszałem zdenerwowanie, czułem desperację, rozżalenie. To, co mówił, musiało być prawdą. Z drugiej strony nigdy nie spodziewałbym się podobnych knowań po Hernandezie, najbardziej zaufanym człowieku Anselma, jego najwierniejszym pomocniku. Anselmo i Hernandez znali się od bardzo dawna. Na wolności, dziesiątki lat temu, należeli do tego samego gangu i trudnili się głównie handlem prochami na masową skalę. Imali się również wielu innych podejrzanych zajęć: sutenerstwa, wymuszeń, stręczycielstwa oraz wszelkich zabronionych przez prawo interesów, przynoszących szybki i łatwy zysk. Ich sprawa swego czasu była bardzo głośna. Byli jedną z największych zorganizowanych grup przestępczych w południowoamerykańskiej części Federacji. Nie wiem jak wysoko w hierarchii byli Anselmo i Hernandez, ale sądząc po wyrokach, na jakie ich skazano, nie byli płotkami. Niektórzy uważali, że Anselmo stał na czele całej grupy, choć prokuratura nie była w stanie tego udowodnić. Media szeroko komentowały ich proces, który zyskał jeszcze większy rozgłos, kiedy dwóch koronnych świadków popełniło samobójstwo, a trzech kolejnych w ostatniej chwili, tuż przed rozprawą, zmieniło zeznania, wycofując wszystkie oskarżenia. Ci trzej również później zaginęli w tajemniczych okolicznościach.

***

Kolejne ciało. Znaleźliśmy je w mesie… Hernandez. W jego lewym oku tkwił wielki kuchenny nóż, wbity po samą rękojeść. Twarz pokryta była grubą warstwą skrzepłej krwi, sczerniałej i zastygłej w nieregularną plamę. Zwłoki leżały w ciemnoczerwonej kałuży. Ściany również przyozdobione były licznymi, krwawymi odciskami dłoni, rozsianymi przypadkowo na porowatej powierzchni. Przed śmiercią musiał strasznie cierpieć. Pewnie wił się i czołgał, zostawiając wszędzie czerwone ślady. W jaki piękny wzór się ułożyły… W połączeniu z odrapanymi ścianami stworzyły najprawdziwsze dzieło sztuki.

Wszyscy stanęliśmy zasępieni wokół ciała. Anselmo pochylił się i zaczął uważnie, z bliska oglądać twarz zmarłego, wyglądało to trochę jakby go obwąchiwał. Czyżby również dostrzegł piękno w zniekształconych rysach? – przeszło mi przez myśl. Po chwili jednak zrozumiałem, że powodem jego zachowania było zgoła co innego: oglądał nóż. Chciał przekonać się, do kogo należało narzędzie zbrodni.

– To kosa Hernandeza – powiedział Gordon, uprzedzając pytanie.

Anselmo spojrzał na niego surowo, po czym wyprostował się i rzekł:

– To raczej nie było samobójstwo, a jeśli tak, to wybrał bardzo nietypowy sposób.

Wszystkich nas kolejno obrzucił ponurym spojrzeniem, jakby oczekiwał z naszej strony jakiejś reakcji. Zapadła cisza. Wiedzieliśmy, że Hernandez był jego prawą ręką i jednocześnie najlepszym przyjacielem, więc nikt nie śmiał przerwać milczenia. Chyba tylko ja i Gordon znaliśmy plany Hernandeza. Choć nie miałem pojęcia, co tak naprawdę knuje Gordon. Może zdążył już donieść Anselmowi o wszystkim?

– Wisior, co robiłeś wczoraj z Hernandezem po moim wyjściu z mesy? – Anselmo wciąż nie odrywał wzroku od martwego ciała.

W jednej chwili wszystkie oczy zwróciły się w stronę Wisiora. Osiłek podrapał się po karku.

– Chy… Chyba nie… nie sądzisz, że ja… – Sprawiał wrażenie totalnie zbitego z tropu.

– Odpowiedz, kurwa, na pytanie! – wrzasnął niepodziewanie Anselmo, spoglądając na niego ze złością.

Wisior otworzył szeroko usta. Cofnął się dwa kroki w stronę drzwi jadalni.

– Po… po… podejrzewasz mnie? – zapytał niepewnie.

– Odpowiedz, kurwa, na pytanie, bo tracę cierpliwość!

– No wiesz… no jak zwykle… no, oglądaliśmy film, trochę świntuszyliśmy. Potem poszedłem do swojej kajuty, bo zachciało mi się spać. On został i oglądał jakiś gniot i… i to wszystko.

Twarz Wisiora stała się w jednej chwili blada jak kreda.

– Wszystko? Na pewno wszystko?

– Chy… chyba tak.

– To chyba, czy na pewno?

– Chyba na… na… pewno…

– Przestań się, kurwa, jąkać! – Anselmo ryknął tak, iż przysiągłbym, że Nadir drgnął i zboczył z kursu.

Wisior zwiesił głowę i milczał.

– Jesteś ciotą? – wypalił Anselmo.

– Co?

– Słyszałeś, kurwa. Jesteś jebanym pedziem. – Tym razem nie było to pytanie. Anselmo wypowiedział te słowa nad wyraz spokojnie, ale widać było, że z trudem panuje nad emocjami. Podbródek drżał mu w szaleńczym tańcu, szczęka zaciskała się, mięśnie szyi były napięte do szczytów możliwości, a oczy płonęły nienawiścią. – Co jeszcze robiłeś? Zostaliście z Hernandezem w mesie sami. A teraz znajdujemy go martwego z pieprzonym nożem w oku. I powiedz mi, kurwa, co byś sobie pomyślał na moim miejscu?

– Ja… nie jestem…

– Zauważyłem, że się do niego dostawiasz.

– Ja?

– Dostawiałeś się wczoraj do niego?

– Skąd…!

– A potem go zabiłeś! – Anselmo zawył wściekle, po czym bez ostrzeżenia uderzył Wisiora otwartą dłonią w twarz.

Wisior z impetem walnął w ścianę i przywarł do niej plecami. Złapał się za bolący policzek, spoglądając z wyrzutem na oprawcę.

– No, czemu milczysz, cioto? – zapytał Anselmo.

Wisior się nie odzywał.

– Mów, chuju! – Kolejny potężny cios spadł na drugi policzek.

– Nie zabiłem go! – Wisior zawołał przez łzy.

Wtedy Anselmo rąbnął go w brzuch. Osiłek skurczył się niczym zbity pies, a twarz wykrzywił mu grymas bólu. Przywódca uderzył znowu, tym razem w nieosłoniętą szczękę. Wisior zachwiał się na nogach. Z nosa chlusnęła jasnoczerwona posoka. Po chwili osiłek osunął się bezwładnie na podłogę. Oczy zaszły mu mgłą. Jego głowa wylądowała na progu pomiędzy mesą a jadalnią. Anselmo wymierzył jeszcze kilka kopniaków, po czym złapał za klamkę i z całej siły wymachnął drzwiami. Wisior najwidoczniej nie stracił przytomności, bo wrzasnął wniebogłosy. Anselmo kopnął go kilka razy w brzuch, po czym znów złapał za drzwi, zaparł się mocno na nogach i zaczął miażdżyć czaszkę uwięzioną pomiędzy skrzydłem a framugą. Osiłek zawył z bólu. Wszyscy obecni stali i w milczeniu obserwowali wyczyny Przywódcy. Nikt nie miał odwagi zaprotestować.

– Przyznaj się, że go zabiłeś! – ryczał wściekle Anselmo. – Przyznaj się, że to ty! Pedale! Cioto! Przyznaj się, kurwa! Ja tu rządzę, kurwa! Rozumiesz? Ja! I nikt nie będzie robił niczego bez mojej zgody! A tym bardziej nikt nie będzie zabijał bez mojej zgody!

Głowa Wisiora najpierw zaszła intensywnym szkarłatem, następnie przybrała barwę fioletową, aż w końcu przemieniła się w siną, bezkształtną pulpę. Anselmo rąbał drzwiami coraz mocniej. Każdy bezlitosny cios miażdżył czaszkę. W końcu Wisior przestał krzyczeć. Ciałem zaczęły targać konwulsje. Po chwili już nie oddychał. Anselmo uderzał dalej. I dalej.

Wreszcie, dysząc ciężko, opadł na podłogę. Twarz skrył w dłoniach i siedział tak dłuższą chwilę. Wszyscy obecni milczeli. Ocknął się mniej więcej po minucie i zaczął przeszukiwać zwłoki Wisiora. Sprawdzał po kolei kieszenie. Były puste. Wstał i spojrzał na swój podkoszulek poplamiony ciepłą jeszcze krwią.

– Niech to szlag – zaklął pod nosem, a potem głośniej zwrócił się do reszty załogi: – No to macie dwa ciała do wyniesienia. Lepiej dwóch truposzy wyrzucić za jednym razem; wystarczy jedno otwarcie śluzy.

Twarz wykrzywił mu kwaśny uśmiech, który w połączeniu z zakrwawionym podkoszulkiem wyglądał dość makabrycznie. Wyszedł na korytarz. Po chwili usłyszeliśmy trzask drzwi kajuty. Joe podszedł do ciała Hernandeza, spojrzał na mnie i powiedział:

– Pomóż mi go wynieść.

Chwyciłem Hernandeza, a raczej to co z niego zostało, za prawą rękę, Joe złapał za lewą i zaczęliśmy go ciągnąć w stronę korytarza. Czacha i Frank postąpili analogicznie z drugimi zwłokami. Gordon szedł za nami z rękami w kieszeniach. Nie mogłem oderwać wzroku od zmasakrowanej twarzy Hernandeza. Nóż wystający z oka… i ten cudowny grymas… ów wyraz, który pozostał po ostatnim tchnieniu, gdy resztki powietrza ulatywały z płuc, a ciało zastygło, uwalniając się na zawsze od cierpień. Nawet Giger nie wymyśliłby czegoś równie wspaniałego. Śmierć maluje lepsze obrazy niż jakikolwiek artysta.

– To nie do wiary – powiedział Czacha. – Wisior... przed chwilą jeszcze rozmawiał z nami. A teraz... – na moment urwał – teraz się nie porusza. Odszedł na zawsze.

– To cud śmierci – bąknął od niechcenia Frank.

– Co?

– Cud śmierci.

– Jaki cud? Co ty chrzanisz?

– Nie rozumiesz?

Czacha pokręcił głową.

– Kiedy rodzi się dziecko, wszyscy mówią o cudzie narodzin. Mówią: „Czyż to nie wspaniałe? To najprawdziwszy cud! Pojawił się człowiek, którego przedtem nie nosiła ta ziemia”. Takie sformułowania nikogo nie dziwią. Ja natomiast zastanawiam się, dlaczego nikt nie wspomina o cudzie, gdy ktoś umiera. Dlaczego nie mówią: „Czyż to nie wspaniałe? To cud! Cud śmierci! Przed chwilą jeszcze był tu z nami człowiek, a teraz nagle przestał istnieć. Stał się tylko pustym ciałem, mętnym wspomnieniem. Jedyne, co po nim zostało, to odrażające zwłoki, które stopniowo ulegną rozkładowi, znikając z tego świata.” Czyż to nie taki sam cud jak cud narodzin? Czyż to nie wspaniałe, że człowiek, fenomenalna istota myśląca, najważniejszy ze wszystkich podmiotów, stał się zwykłym przedmiotem!? Tylko rzeczą? Możemy z jego ciałem zrobić, co zechcemy. Czyż to nie cudowne? To najprawdziwszy cud! Cud śmierci! Dziękujmy za niego Bogu miłościwemu.

Frank zaśmiał się szkaradnie.

***

Po wyrzuceniu nieboszczyków przez śluzę, wszyscy, prócz Anselma, zasiedliśmy przy stole w jadalni. Była to jedna z nielicznych chwil, kiedy odczuwałem potrzebę porozmawiania z pozostałymi towarzyszami podróży. Mogłem sobie tylko wyobrażać, co czuł Joe. W niedługim odstępie czasu odeszli obaj jego najwięksi oprawcy. Rudzielec jednak nie tryskał radością, na jego twarzy nie było widać ulgi. Najwyraźniej potrzebował czasu, by odzyskać równowagę psychiczną. Siedział na wygodnym, dobrze zachowanym krześle, a to z rozdartą tapicerką i pociętą gąbką, które było jego miejscem przez długie lata, stało puste. Poza tym jadalnia zyskała na przestronności. Nie była już ciasna i zatłoczona jak niegdyś; nikt nie musiał rozpychać się łokciami, miejsca było dosyć.

– Myślicie, że naprawdę to Wisior zabił Hernandeza? – zagadnął wreszcie Czacha.

Chyba każdy chciał zadać to pytanie, ale nikt nie zamierzał na nie odpowiadać. Panującą ciszę zakłócał tylko jednostajny szum silników Nadira.

– Bo ja jakoś w to nie wierzę – dodał po chwili osiłek.

– Ja też nie – bąknął pod nosem Gordon. Patrzył przed siebie, na brudną ścianę jadalni. Minę miał nietęgą. Krzaczaste brwi nienaturalnie się ściągnęły, czoło zmarszczyło, dzięki czemu twarz straciła nieco na dawnej chytrości.

– Więc kto? – Czacha rzucił mu nerwowe spojrzenie.

– Tego właśnie musimy się dowiedzieć.

– Ale jak?

Pytanie oczywiście zostało zbyte milczeniem. Z prostej przyczyny: nikt, z Gordonem włącznie, nie miał pojęcia, jak ustalić, kto naprawdę jest mordercą.

– Może powinniśmy zdjąć odciski palców z noża? – zaproponował osiłek.

– Zgłupiałeś do reszty? – Gordon pokręcił głową, wyrażając w ten sposób wątpliwość co do poziomu inteligencji Czachy. – W jaki sposób niby mamy to zrobić? I kto z nas w ogóle jest w stanie porównać odciski palców?

Czacha wzruszył ramionami. Smok z Komodo na jego szyi także wydawał się być zakłopotany głupotą własnego pana.

– A czy zidentyfikowanie sprawcy w ogóle jest potrzebne? – wypalił nagle Frank.

Wszystkie oczy zwróciły się na niego, lecz nikt nie kwapił się z odpowiedzią. Musiałem przyznać, że tak postawione pytanie dawało do myślenia.

– Co niby zamierzacie zrobić, kiedy ustalicie, kto naprawdę zabił Hernandeza? – drążył temat.

– Winny powinien zostać ukarany. – Czacha podrapał się po łysinie.

– Ty również tak uważasz? – Frank spojrzał na Gordona.

Ten wzruszył ramionami.

– Nikt nie może bezkarnie szlachtować ludzi. Tak nie powinno być.

Na wychudłej twarzy Franka pojawił się szeroki uśmiech.

– Cóż za moralność – powiedział z udawanym podziwem. – A Anselmo? Czyżby jego to nie dotyczyło? Dosłownie przed momentem na oczach nas wszystkich brutalnie zamordował Wisiora, który rzeczywiście wcale nie musiał być winowajcą. Anselmo zatłukł go gołymi rękami, bez sądu, nie dając mu nawet szansy na merytoryczną obronę. Zastanówcie się zatem, czy, biorąc pod uwagę zaistniałe okoliczności, nie należałoby najpierw wymierzyć stosownej kary Anselmowi? Jeżeli tego nie uczynimy, bardzo prawdopodobne, że pozabija nas wszystkich. Sami widzieliście, w jaki szał potrafi wpaść, jaka dzika furia może nim zawładnąć, gdy straci nad sobą panowanie. Należy karać, albo wszystkich, albo nikogo, inaczej nie ma to sensu. Tak właśnie działa prawo.

Gordon rzucił mu nienawistne spojrzenie.

– Pierdolisz – syknął.

– No to spójrzmy na problem jeszcze inaczej – ciągnął chudzielec. – Załóżmy hipotetyczną sytuację: ktoś zamordował Joego. Czy w takim przypadku też chcielibyście ukarać sprawcę?

Spojrzałem na Joego. Na twarzy rudzielca momentalnie odmalowało się przerażenie. Czyżby tym razem Frank zamierzał się nad nim poznęcać?

– Zaczynasz działać mi na nerwy – zaskrzeczał Gordon. Widać było, że pytania Franka nie przypadły mu do gustu.

– To się nazywa wybiórcza moralność. – Usta chudzielca znów wykrzywił nieszczery uśmiech. – Występuje bardzo często u przestępców…

– Stul wreszcie mordę! – Gordon był coraz bardziej poirytowany.

– Już dobrze, dobrze – wycofał się Frank. – Chciałbym jeszcze tylko wiedzieć, w jaki sposób zabójca Hernandeza zostanie ukarany i kto go osądzi?

– Chuj ci do tego! – Gordon tracił resztki cierpliwości.

– Pojawiła się agresja w naszej zgranej dotąd paczce. – Chudzielec za to sprawiał wrażenie kogoś, kto znakomicie się bawi. – Pamiętajcie tylko o tym, że Nadir, jako statek międzygwiezdny trzeciej kategorii, mający status eksterytorialnej bazy wojskowej Sztabu Badań Międzyplanetarnych Federacji Ziemskiej, jest oficjalnie częścią Federacji Ziemskiej. Na jego pokładzie obowiązują zatem przepisy prawa karnego oraz wszelkie regulacje prawne sił zbrojnych. Zgodnie z tymi przepisami zostaliśmy już wcześniej skazani na najwyższy wymiar kary. Wniosek z tego jest jeden: prawo nie jest w stanie dosięgnąć nas swoimi paragrafami. Wolno nam gwałcić (co miało miejsce wiele razy na pokładzie Nadira), wolno nam również odbierać komuś jego własność (co też wielokrotnie się tu przydarzało) i wreszcie wolno nam także odbierać komuś życie. Sprawcy innych zbrodni nie zostali ukarani, więc czemu akurat zabójcę Hernandeza miałaby spotkać kara?

Prawo to minimum moralności – pomyślałem, lecz nie powiedziałem tego na głos. – Ale czy samosąd nie jest taką samą zbrodnią jak morderstwo?

W jadalni ponownie można było usłyszeć tylko jednostajny szum silników. Postawa Franka po raz kolejny mnie zaskoczyła. I chyba nie tylko mnie. Milkliwy dotąd odludek nagle przeistoczył się w najaktywniejszego dyskutanta. Metamorfoza co najmniej zdumiewająca. Ten człowiek był coraz większą zagadką. Ciekawe, co jeszcze trzyma w zanadrzu.

Wreszcie głos zabrał Gordon:

– Takie pieprzenie w tej chwili nie ma sensu. – Zajrzał Frankowi prosto w oczy. Widać było, że trochę odzyskał spokój. – Najpierw musimy ustalić, kto jest mordercą i jednoznacznie to udowodnić. Nad resztą pomyślimy później, razem z Anselmem.

– Z Anselmem? – Chudzielec się zaśmiał. – Tym, który bez powodu zatłukł na śmierć jednego z członków załogi? Chcesz z nim omawiać szczegóły kary dla mordercy? Przecież on już wykonał wyrok.

– Pierdolisz – rzucił Gordon. Po dawnej chytrości na jego twarzy nie pozostał nawet ślad; widać było, że jemu również zachowanie Anselma nie przypadło do gustu. Najpewniej bił się z własnymi myślami. Był bardzo przywiązany do panującej hierarchii. Zawsze posłusznie wypełniał polecenia Anselma, uważając go za niekwestionowanego lidera. Ale teraz sprawy wyglądały tak, jakby samozwańczy przywódca naprawdę postradał rozum. Czyżby Gordon przez to poczuł, że osuwa mu się grunt pod stopami? Czyżby nie wiedział, po czyjej stronie tym razem stanąć? A może wręcz przeciwnie: zwęszył dla siebie szansę na przejęcie władzy. Może o to właśnie chodziło? Perspektywa buntu i zmiany przywódcy była wciąż odległa, ale Anselmo bez swojego najwierniejszego pomocnika stracił jeden z największych atutów. Ta demonstracja siły, gdy zatłukł na śmierć Wisiora, nie była bezcelowa. On też zdawał sobie sprawę z osłabienia własnej pozycji.

– Naprawdę uważasz, że zidentyfikowanie mordercy nie jest potrzebne? – zapytałem Franka.

Spojrzał na mnie z sardonicznym uśmieszkiem.

– Zależy, z której strony na to popatrzymy.

– To znaczy?

– Jeśli ktoś boi się o własne życie, złapanie mordercy powinno być dla niego kluczowe.

– Nie rozumiem – wtrącił się Czacha.

– Nie dziwi mnie to – zaśmiał się chudzielec. – Nie możesz zrozumieć, bo nie wiesz o wszystkim. Podobnie jak większość z was.

– Co ty znowu chrzanisz?! – napadł na niego Gordon. – O czym nie wiemy?

Frank długo zwlekał z odpowiedzią. Sprawiało mu to przyjemność.

Cyniczny dupek – pomyślałem.

– Walt również został zamordowany – oznajmił wreszcie. – To nie było samobójstwo i jestem tego pewien.

Po tych słowach znów na długo zapadło milczenie. Gordon gapił się na brudną ścianę jadalni, Czacha obgryzał nerwowo paznokcie, Joe drżał jak w febrze, a Frank z wyższością przyglądał się zgromadzonym.

– Skąd wiesz? – zapytał w końcu Gordon.

– Ano właśnie. – Frank przeciągnął się i splótł kościste dłonie za głową. – Pewnie nie zwróciliście uwagi na to, że Walt miał złamaną kość prawego przedramienia.

Popatrzył z zadowoleniem na Gordona. Potem na Czachę. Mnie rzucił krótkie, porozumiewawcze spojrzenie, lekko unosząc brew.

W co on gra?

– Trudno przypuszczać – ciągnął – że sam uszkodził sobie w ten sposób rękę, wieszając się na kablu. Najprawdopodobniej ktoś bardzo mocno mu ją wykręcił. Poza tym na szyi miał sine ślady palców.

Frank znów przyjrzał się uważnie każdemu po kolei, jakby chciał wywnioskować, jakie wrażenie zrobiły na nas te słowa. Do mnie puścił oczko. Po co on to robi? Jego zachowanie coraz bardziej mnie irytowało. Przez lata trzymał się na uboczu, prawie z nikim nie rozmawiał, a teraz nagle stał się nad wyraz wylewny. Co w niego wstąpiło?

– Myślisz, że będą kolejne morderstwa? – zapytał drżącym głosem Joe. – Myślisz, że naprawdę ktoś jeszcze zginie?

– Jeżeli morderca jest aspołecznym psychopatą – powiedział Frank – a takich tu nie brakuje, na pewno będzie chciał popełnić następną zbrodnię. Teraz, gdy poczuł żądzę mordu… Kiedy dwa zabójstwa uszły mu na sucho…

– Znowu mnie wkurwiasz! – zapiszczał Gordon.

– Ale kto to zrobił? – Czacha był przerażony. – Jak dowiedzieć się kto?

– Seryjnego mordercę można zidentyfikować bardzo łatwo. – Arogancki ton Franka także mnie zaczynał złościć.

– Niby jak? – zapytał osiłek.

– Wystarczy poczekać, aż wszystkich pozabija. – Chudzielec obrzucił go pogardliwym spojrzeniem. – Ten, który zostanie tu jako ostatni, będzie mordercą. Proste, nieprawdaż?

– Zaraz naprawdę ci przypierdolę! – Głos Gordona ponownie wszedł na wysokie, nieznośne dla ucha rejestry. Gordon wziął głęboki wdech, chwilę milczał, po czym wypuścił powietrze i powiedział, już znacznie spokojniej: – Wróćmy do meritum. Zastanówmy się najpierw, czy faktycznie ta sama osoba zabiła Walta i Hernandeza?

– Tak trzeba założyć – powiedział od razu Frank.

– Dlaczego? – zapytał Joe.

– Lepiej szukać jednego mordercy niż dwóch. Zgodnie z Brzytwą Ockhama: nie należy mnożyć bytów. Najprostsze rozwiązania są zazwyczaj najlepsze i właściwe.

Musiałem przyznać, że to mocny argument. Trudno z nim dyskutować.

– Kto zatem miał motyw, by pozbyć się Walta i Hernandeza? – zapytał Gordon.

Cisza. Szum silników. Gordon wpatrujący się w ścianę, Czacha obgryzający paznokcie, Joe drżący jak w febrze i Frank przypatrujący się bezczelnie każdemu z osobna. I nic poza tym, żadnych pomysłów.

– W przypadku Walta morderca upozorował samobójstwo – podjął wreszcie Frank. – Natomiast zabójstwo Hernandeza było jawne, jakby sprawca chciał żebyśmy znaleźli zwłoki jak najszybciej. Zbrodni dokonał w mesie. Może zabójca wiedział, że podejrzenie padnie na Wisiora. Może specjalnie chciał zrzucić na niego winę…

– Ktoś chciał pozbyć się Wisiora – podłapał myśl Gordon, ale nawet nie spojrzał w stronę Franka. Jego oczy wciąż nieruchomo wpatrywały się w ścianę jadalni. – Wisiora i Walta…

– Joe! – ryknął Czacha, jakby nagle rozwiązał jakąś odwieczną zagadkę ludzkości. – Joe mógł chcieć ich wykończyć!

Chciał wstać i rzucić się na Joego, jednak w ostatniej chwili powstrzymał go Gordon.

– Siedź! – warknął.

Joe skulił się i spoglądał niepewnie, to na Czachę, to na Gordona. Cały drżał.

Miałem ochotę wyjść, uciec jak najszybciej, zaszyć się w centralnej części sektora zieleni, ukryć się pośród mahoniowców oraz rozłożystych liści filodendronów – i nigdy stamtąd nie wychodzić. Teraz byłem już pewien, że w następnej kolejności podejrzenie padnie na mnie. Czułem, jak zaczynają drżeć mi ręce, a krew napływa do mózgu. Mimo to opanowałem strach, bo doszedłem do wniosku, że muszę wytrwać, stawić czoła oskarżeniom, bronić się dzielnie, kiedy wytkną mnie palcami. Gdybym teraz odszedł, bez wątpienia byłbym w ich oczach winny.

– Czemu? – zdziwił się Czacha.

– Jesteś głupszy niż myślałem. – Gordon pokręcił głową. – Myślisz, że ta ciotka byłaby w stanie kogoś zabić?

Czacha spojrzał niepewnie na Joego, który trząsł się jak galareta, nie wiedząc, gdzie schować wzrok.

– Tym bardziej kogoś takiego jak Hernandez – ciągnął Gordon – i to w tak brutalny sposób. Ten oślizły typek to klasyczny pedofil. Jedyne na co go stać, to pchanie lepkich łapsk pod sukienki małych dziewczynek.

Gordon chciał wymierzyć Joemu siarczysty policzek, wychylając się przez stół. Rudzielec jednak zdążył wykonać unik i cios spadł na ramię. Gordon powtórzył uderzenie kilka razy, tak długo aż dosięgnęło celu.

– Osz… ty… kurwa… – wyrzucał z siebie urywane słowa, zadając kolejne cięgi.

Po tym akcie agresji opadł z powrotem na krzesło.

– Za każdym razem, gdy o tym pomyślę, mam ochotę mu przypierdolić – wysapał. – I popatrz na niego – zwrócił się do Czachy. – Myślisz, że on byłby w stanie wykończyć zdrowego, silnego mężczyznę?

– Nie byłby – potwierdził osiłek, przyglądając się wystraszonemu rudzielcowi. – Masz rację.

– Ten trop nie ma sensu – rzekł Gordon. – Intryga wydaje się zbyt zawiła. Czemu ktoś miałby zabijać Hernandeza, tylko po to, by pozbyć się Wisiora? Równie dobrze mógł od razu zająć się tym drugim. Nie widzę, kurwa, żadnej logiki w takim postępowaniu. Poza tym morderca nie miałby gwarancji, że Anselmo zachowa się tak, a nie inaczej. To wszystko jest grubymi nićmi szyte.

– Więc kto mógł chcieć zabić Walta i Hernandeza? – zapytał Czacha.

Gordon westchnął.

– Anselmo – powiedział spokojnie Frank.

– Kto? – zdziwił się Czacha.

– A n s e l m o – Frank powtórzył znacznie głośniej i wyraźniej. Każdą głoskę wymawiał z wielkim namaszczeniem, starając się, by wybrzmiała należycie. Przypominało to nieco występ teatralny.

Ma odwagę – pomyślałem.

– A może ty! – zaskrzeczał Gordon i spojrzał na Franka wyzywająco.

Frank uśmiechnął się szeroko.

– Ciekawa zabawa – powiedział ze spokojem. – To znacznie lepsze niż gra w karty. Będziemy teraz siedzieć i wrzeszczeć na siebie: „A może to ty. Nie, to ty.” Tym sposobem na pewno zidentyfikujemy sprawcę.

– Jeśli masz lepszy pomysł, podziel się nim z nami. – W głosie Gordona dało się wyczuć ironię.

– Mam dużo dobrych pomysłów i mogę wymyślić wiele fascynujących zabaw. Natomiast moim zdaniem Anselmo jest jednym z głównych podejrzanych.

Naprawdę ma odwagę. Nie przestawał mnie zadziwiać.

– Po co Anselmo miałby to zrobić? – zapytał Czacha. – Hernandez był jego najlepszym kumplem. Zawsze trzymali się razem. Walt też był jednym z jego zaufanych ludzi.

Postanowiłem nie wspominać o rozmowie, którą podsłuchałem pod drzwiami kajuty Gordona. Przecież Gordon wciąż nie wiedział,

kto stał wtedy za drzwiami.

– Wiesz coś, o czym i my powinniśmy wiedzieć? – zaskrzeczał Gordon i spojrzał na Franka zaczepnie. – Chcesz nam o czymś powiedzieć?

Zimny, paraliżujący dreszcz przeszył mi plecy. Najwyraźniej Gordon podejrzewał teraz Franka o podsłuchanie tamtej konwersacji. Lada chwila prawda może wyjść na jaw.

– Słyszałem, jak się kłócili – wybełkotał nagle Joe, ratując sytuację.

– Co? – Gordon rzucił mu pogardliwe spojrzenie.

– Anselmo i Hernandez kłócili się. – Widać było, że zabranie głosu wiele go kosztowało.

– Kiedy to słyszałeś? – zainteresował się Gordon.

– Ja też słyszałem – potwierdził niepewnie Czacha.

– Co?! – Gordon aż podskoczył na krześle.

– Słyszałem wrzaski w kajucie Anselma – powtórzył osiłek.

– Czemu, kurwa, nie powiedziałeś wcześniej?! – Oczy Gordona zapłonęły furią, a piskliwy głos niemal rozsadzał bębenki.

– Nie wiedziałem, że to ważne…

– Nie wiedziałeś?! – Gordon był bliski obłędu. – Ktoś zabił Hernandeza, a ty nie wiedziałeś, że jego kłótnia z Anselmem jest ważna?!

– Może wreszcie przestałbyś się mnie czepiać? – Osiłek zmarszczył brwi.

– O co się sprzeczali? – zapytał Frank.

– Nie wiem – wychrypiał Czacha. – Głosy były niewyraźne. Mówili coś o jakimś kluczu…

– Kluczu? – zdziwił się Frank.

Teraz dopiero uświadomiłem sobie, że nikt, prócz mnie i Gordona, nie wie o śladach przed Prezbiterium. Nie miałem ochoty ich uświadamiać. Postanowiłem szybko opuścić jadalnię.

Przystanąłem przy iluminatorze w korytarzu. Światło było ostre, ale mimo to przez jakiś czas ze zmrużonymi oczami wpatrywałem się

w 55 Cancri A. Na jej białej tarczy widniała czarna plama w kształcie regularnego koła. Planeta! To musi być planeta! Chwilę łudziłem się, że patrzę na diamentową Janssen, lecz szybko odrzuciłem tę myśl. Pewnie to któryś z gazowych olbrzymów – ich rozmiary są znacznie większe, więc dostrzeżenie jednego z nich jest zdecydowanie bardziej prawdopodobne. Możliwe, że to Galileo, obiegający gwiazdę w piętnaście dni. Chciałem przyjrzeć się czarnej plamie i pochwycić jej ruch, jednak światło było zbyt ostre, z oczu ciekły mi łzy i musiałem odwrócić wzrok.

Wówczas usłyszałem dziwne odgłosy dochodzące z kajuty Wisiora. Szybko wytarłem łzy rękawem uniformu i postąpiłem parę kroków w stronę lekko uchylonych drzwi. Pchnąłem je i zajrzałem do środka. Anselmo klęczał na podłodze, głowę wtykając pod pryczę. Zawiasy skrzypnęły.

– Czego? – zapytał, nie patrząc w moją stronę.

– Szukasz klucza? – odpowiedziałem pytaniem na pytanie.

– Bystry jesteś.

– Nie wysilaj się. Niczego nie znajdziesz.

Anselmo wstał gwałtownie i zajrzał mi prosto w oczy.

– Jak to, kurwa? Najpierw sugerujesz, że to Wisior był w Prezbiterium, a teraz mówisz, że niczego tu nie znajdę?

Już pożałowałem, że w ogóle otworzyłem usta. Co mnie opętało? Na chwilę zamilkłem. Pomyślałem o klawiaturze na dolnym pokładzie. Anselmo może szukać karty dostępu, która w ogóle nie istnieje. Bardzo prawdopodobne, że wprowadzenie odpowiedniego kodu odblokowuje drzwi na najniższym poziomie.

Anselmo lustrował mnie uważnie wzrokiem. Odezwałem się ostrożnie:

– Wisior musiałby być skończonym debilem, żeby ukryć klucz we własnej kajucie. Jeśli rzeczywiście on był w Prezbiterium, klucza nigdy nie znajdziesz, bo tajemnicę zabrał ze sobą do grobu.

Wolałem nie wspominać o moich przypuszczeniach. Strach pomyśleć, co Anselmowi strzeliłoby do głowy, gdyby wiedział, że

szpicel musi znać jakieś tajne hasło.

– Do jakiego, kurwa, grobu?! – wrzasnął Anselmo. – Widziałeś, żeby ktoś pochował go w grobie?!

– To była przenośnia – powiedziałem cicho.

– Koniec żartów.

Chwycił mnie mocno za przedramię i zaczął ciągnąć w stronę drzwi.

– Co robisz? – zapytałem zaskoczony.

– Idziemy do jadalni.

– Właśnie stamtąd wróciłem…

– Nie dyskutuj.

Ruszyliśmy korytarzem. W połowie drogi usłyszałem wrzaski dobiegające z jadalni. Nietrudno było rozpoznać piskliwy głos Gordona.

– Kurwa! Jebaj się, mądralo! – krzyczał nieznośnym falsetem. – Ja ci, kurwa, dam, chuju!

Anselmo przyśpieszył kroku.

Kiedy weszliśmy do środka, naszym oczom ukazał się niecodzienny widok. Frank leżał bezradnie na podłodze, osłaniając twarz łokciami i blokując w ten sposób kolejne cięgi Gordona, który siedział okrakiem na jego brzuchu. Joe skulił się w przeciwległym kącie, patrząc na to z przestrachem. W pobliżu szamoczących się mężczyzn stał osłupiały Czacha, który nie bardzo wiedział, co począć – jak zwykle zresztą.

– Dosyć! – wrzasnął Anselmo i jednym szybkim ruchem odciągnął Gordona od leżącego na podłodze Franka. Gordon upadł i spojrzał na Anselma ze złością. Jego twarz była czerwona, oczy pałały furią.

– Zabiję tego chudego chuja! – wrzeszczał, próbując wstać.

Anselmo błyskawicznie przygniótł go własnym ciałem. Gordon spróbował jeszcze kilka razy kopnąć leżącego Franka, ale gdy i to nie poskutkowało, wreszcie się uspokoił. Sapał ciężko.

– Słuchać mnie wszyscy! – ryknął Anselmo, podnosząc się z podłogi. – Wiem, że ktoś z was był w Prezbiterium! Wiem, że ktoś

z was ma kartę dostępu do wszystkich drzwi na dole! Ktoś jest szpiclem federalnych! I dowiem się, kto! Już moja w tym głowa! Nie mam zamiaru się z wami dłużej cackać! Zarządzam rewizję wszystkich kajut! Każda kajuta będzie dokładnie przeszukana! Każda! A kiedy znajdę klucz, bez wahania zabiję jego właściciela!

Przywódca obrzucił wszystkich lodowatym spojrzeniem. Podał rękę Gordonowi i pomógł mu wstać.

– Ty i ty, idziecie ze mną – rzucił rozkazująco, wskazując Gordona i Czachę. – Wam nie wolno opuszczać jadalni. – Popatrzył na mnie, Franka i Joego.

Wyszli. Drzwi trzasnęły. Spojrzałem na Franka. Siedział na podłodze, oparty o ścianę. Z łuku brwiowego ciekła strużka krwi, prawa powieka zaczynała puchnąć, posoka lała się także z dolnej wargi. Chyba trochę przesadził – pomyślałem.

– Docieramy do celu – wypalił niespodziewanie.

– Co? – zapytałem zdziwiony.

– Pytałeś mnie kiedyś czy 55 Cancri jest celem naszej podróży. Więc odpowiadam: tak.

Joe siedział wciąż w kącie i patrzył zdezorientowany raz na niego, raz na mnie.

– Skąd ta pewność? – zapytałem.

– Kiedy ostatnio Nadir wykonał „manewr”? – Frank dotknął rozbitego łuku brwiowego. Szybko cofnął rękę, krzywiąc się z bólu.

– Nie wiem, nie pamiętam. Chyba dawno.

– Ano właśnie. Dawno. A konkretnie sto osiemdziesiąt dwa dni temu. Wiesz, co to oznacza?

– Zwalniamy?

– Zgadza się. Normalnie Nadir wykonywał „manewr” dokładnie co sto sześć dni, bo tyle właśnie czasu potrzeba na przyśpieszenie z 50% szybkości światła do 80% lub na zwolnienie z 80 do 50. Teraz wytracamy prędkość już od stu osiemdziesięciu dwóch dni, co oznacza, że w tej chwili poruszamy się z szybkością około 85 000 km/s, czyli mniej więcej 28% prędkości światła.

Faktycznie od dawna nie było „manewru” i nie potrafiłem pojąć, jak to możliwe, że sam wcześniej nie zwróciłem na to uwagi. Tym bardziej, że każdy „manewr” wiązał się dla mnie z dodatkowymi obowiązkami. Tydzień przed nim rozpoczynało się odliczanie: na wielkim ekranie w mesie wyświetlane były czerwone cyfry i równocześnie z głośników rozmieszczonych w każdym miejscu statku regularnie wybrzmiewały komunikaty, wypowiadane przez automat. Zawsze otrzymywaliśmy również dokładne instrukcje, jak przygotować się do „manewru” oraz jak postępować w czasie jego trwania. Najpoważniejszym niebezpieczeństwem był stan nieważkości, który miał miejsce podczas trwającego mniej więcej dziesięć minut obrotu Nadira. Instrukcje nakazywały wyraźnie: „Przed »manewrem« wszystkie przedmioty na pokładzie statku winny zostać starannie ułożone w szafkach lub skrzyniach, które należy dokładnie zabezpieczyć przed otwarciem. W czasie operacji wszyscy członkowie załogi muszą przebywać w swoich kajutach przypięci pasami bezpieczeństwa do prycz.” Przed pierwszym „manewrem” lekceważyliśmy wskazówki komputera. „Pierdol się” – mawiał za każdym razem Anselmo w odpowiedzi na jednostajny ton automatu, wzbudzając śmiech Gordona. Jednak już pierwszy „manewr” przekonał nas, że wytyczne komputera wcale nie są pozbawione sensu. Rozgardiasz jaki powstał w jadalni, mesie i kajutach, był trudny do ogarnięcia: wszystkie przedmioty porozrzucane, szafki pootwierane, owoce i resztki gówna z nieumytych naczyń rozmazane na ścianach. Nie wspominając o wielu siniakach i potłuczeniach członków załogi, którzy podczas zaniku ciążenia – kiedy podłoga zamieniała się miejscami z sufitem – stracili orientację i obijali się bezwładnie o meble. Niektórzy doznali także bolesnego zetknięcia z podłogą, gdy Nadir na powrót uruchomił silniki. Od tego czasu Anselmo diametralnie zmienił swoje nastawienie i nakazał skrupulatnie wypełniać wszystkie instrukcje automatu. Oczywiście obowiązek segregowania i chowania wszystkiego do szafek przypadł

Joemu i mnie. Jakim więc cudem mogłem nie zauważyć, że „manewru” nie było od tak dawna?

Frank bacznie przyglądał mi się nieuszkodzonym okiem – drugie zapewne w tej chwili niewiele mogło zobaczyć, bo powieka spuchła do tego stopnia, że źrenica była skryta za wąziutką szparką.

– Zbliżamy się do celu – powiedziałem do siebie. – I co teraz będzie? Wysłali w Kosmos skazańców zamiast załogi z prawdziwego zdarzenia. Czy to w ogóle ma jakikolwiek sens? Przecież Nadir równie dobrze mógł przylecieć tu bez nas.

Nie potrafiłem odpowiedzieć na żadne z tych pytań. Miałem mętlik w głowie. Frank zasnął – szamotanina z Gordonem najwyraźniej go wyczerpała. Jego oddech stał się głęboki i miarowy. Joe z ponurą miną usiadł przy stole. Nie odezwał się ani słowem, miał rozbiegany wzrok, a na czoło wyszły mu krople potu. Sytuacja go przerosła. Ja również nie miałem ochoty na pogawędki i w głębi duszy cieszyłem się, że mogę spędzić ten czas w milczeniu.

***

Przeszukiwanie kajut trwało długo, jednak, zgodnie z moimi oczekiwaniami, nie przyniosło większych rezultatów. Po kilku godzinach Anselmo z ponurą miną otworzył drzwi jadalni. W jego oczach dostrzegłem obłęd.

– Pobudka – powiedział, wymierzając śpiącemu Frankowi kopniaka prosto w żebra.

Do jadalni weszli także Gordon i Czacha. Chudzielec powoli otworzył zdrowe oko. Drugie było fioletowozielone.

– Co to, kurwa, jest? – zapytał Anselmo, machając mu przed nosem zapisaną kartką.

– Moje obliczenia.

– To, kurwa, widzę. Więcej konkretów.

– Obliczyłem dystans, który Nadir pokonał od momentu startu.

– I?

– I co?

– I co z tego wynika?

– Znajdujemy się mniej więcej czterdzieści lat świetlnych od Ziemi.

– I?

– Układ, który widzimy za iluminatorami to 55 Cancri.

– I?

– Nie ma więcej „i”.

– Po chuj to liczyłeś?

– Nie wiem. Chyba żeby zająć czymś myśli.

– Będziemy tu lądować?

– Nadir wytraca prędkość, więc…

Anselmo wyszedł, zabierając ze sobą notatki Franka. Odetchnąłem z ulgą. Ujawnienie prawdy o lokalizacji Nadira było mi na rękę. Konkluzja mogła być tylko jedna: Frank nie jest szpiclem. W innym przypadku wiedziałby, dokąd zmierza statek i nie musiałby niczego obliczać. Zatem oddalając od niego podejrzenia, nie podsunąłem Anselmowi fałszywego tropu. Mogłem być spokojny. Przynajmniej przez jakiś czas.

Jak najszybciej wróciłem do swojej kwatery. Na miejscu zastałem straszliwy bałagan. Materac oraz prześcieradło walały się po podłodze, szafka była otwarta na oścież, a wszystkie rzeczy, które miałem w niej schowane, porozrzucano dokoła. Ogarnąłem trochę ten rozgardiasz i położyłem się do łóżka. Tym razem spałem jak zabity przez kilka godzin i po raz pierwszy od dłuższego czasu obudziłem się wypoczęty. Po kąpieli w łaźni postanowiłem zajrzeć do Franka. Świadomość, że Nadir niebawem dotrze do celu, była naprawdę fascynująca i chciałem o tym jak najszybciej porozmawiać. Zapukałem do drzwi jego kajuty – kurtuazja na pokładzie Nadira niespotykana.

– Czego? – usłyszałem pytanie zza drzwi.

– Chciałem zamienić słowo…

Głośne westchnienie.

– Wejdź.

Frank leżał na pryczy. Wyglądał okropnie. Obite oko było jeszcze bardziej fioletowe, a dolna warga mocno spuchnięta, z wielkim strupem pośrodku. Wychudła twarz i zapadnięte policzki stanowiły makabryczne zwieńczenie tego widoku. Istny obraz nędzy i rozpaczy. Na swój sposób piękny.

– Jak się czujesz? – zapytałem.

– Bywało lepiej – rzucił na odczepnego.

Usiadłem na skraju łóżka.

– Masz jakieś przypuszczenia, co wydarzy się, kiedy Nadir dotrze do celu?

Długo milczał.

– Nie mam cholernego pojęcia – wypalił w końcu. – Może szpicel wie? Zapytaj szpicla.

– Myślisz, że jego misją jest zabicie wszystkich członków załogi, żeby potem samotnie realizować jakiś program badawczy w układzie 55 Cancri?

– To brzmi kurewsko niewiarygodnie. – Chuda twarz Franka wykrzywiła się w szkaradnym uśmiechu.

– Dlaczego?

– Po co wysyłać w Kosmos kilkunastu ludzi, skoro wystarczy jeden człowiek? Po co kazać jednemu likwidować pozostałych i narażać misję na niepotrzebne ryzyko?

– A może nie wystarczy jedna, tylko kilka osób. Szpicel w czasie podróży dobiera sobie pozostałych towarzyszy. Zbędnych likwiduje. Tych, których pozostawia przy życiu, wtajemnicza.

– Dalej to nie ma sensu. Czy nie lepiej byłoby dobrać odpowiednich „towarzyszy” przed startem? Testy psychologiczne nie wystarczą?

– Nie wiem. Może mieli jakieś inne powody. Może wśród więźniów w ogóle nie da się znaleźć odpowiednich osób, więc decyzję pozostawili szpiclowi. Może żadne testy psychologiczne nie są w stanie przewidzieć, jak naprawdę człowiek zniesie

kilkudziesięcioletnią podróż? Wysłali więcej więźniów, żeby mieć ludzi w zapasie. Samobójstwa są pewnie powszechne wśród skazańców.

– No, niech będzie. Ale i tak wciąż brzmi to absurdalnie. Chodzi o tego „szpicla”. – Skrzywił się, gdy wypowiadał to słowo. – Wyobraź sobie, że facet dobrowolnie zdecydował się na spędzenie kilkudziesięciu lat w towarzystwie szurniętych kryminalistów. Byłby to, załóżmy, dobrze wyszkolony komandos i równocześnie naukowiec – co już brzmi niedorzecznie. I ten wszechstronny koleś postanowił z własnej woli zmarnować sobie życie.

– Są różni ludzie. A może to nie żaden komandos, tylko jeden z więźniów? Został skazany na dożywocie, więc i tak nie ma nic do stracenia. A w ten sposób może przysłużyć się dobru nauki.

– Skazaniec i morderca, który poświęca się ku chwale nauki. – Frank zaśmiał się głośno. – Pokaż mi takiego.

– Dlaczego uważasz, że wszyscy więźniowie są przesiąknięci złem do szpiku kości? Ludzie się zmieniają. Zapewne są tacy, którzy żałują popełnionych zbrodni i chcieliby w jakiś sposób odkupić swoje winy.

– Jasne…

– Z góry zakładasz, że ludzie z natury są źli?

– Źli? – Pokręcił głową i spojrzał mi prosto w oczy. – Nigdy tego nie powiedziałem. Ludzie nie są źli. Tak samo jak nie są dobrzy. Ludzie są po prostu zwierzętami, ssakami z rzędu naczelnych. Nic więcej. I nie wiem, po jaką cholerę wbrew naturze starają się okiełznać zwierzęce instynkty.

– To, że człowiek chce być lepszy od zwierząt, twoim zdaniem nie ma sensu?

– Lepszy? Skąd wiesz, co jest lepsze, a co gorsze? Czyżby jakieś idiotyczne doktryny wyprały ci mózg?

– Nie jestem osobą wierzącą, jeśli o to pytasz. Ale sądzę, że istnieje jakaś siła stwórcza…

– Więc powinieneś wiedzieć, że dobro i zło to tylko teoretyczne pojęcia wymyślone przez religijnych pseudofilozofów. Nie ma czegoś takiego jak pierwotne zło lub pierwotne dobro. Nawet jeżeli założymy,

że „siła stwórcza”, jak ją nazwałeś, posiada własną świadomość, na pewno nie jest dobra. Tak samo jak nie jest zła. Wbrew temu co sądzi większość osób, kryteria moralne w ogóle jej nie obowiązują. Wystarczy przyjrzeć się bezwzględnemu królestwu zwierząt. Drapieżniki zabijają i pożerają przedstawicieli słabszych, bezbronnych gatunków roślinożernych. Ofiarą najczęściej padają osobniki bardzo młode, stare, chore lub ranne. Ból, cierpienie, lęk, śmierć. Tak wspaniale zaprojektował świat ów wszechmocny Stwórca. Czy to jest dobre? Czy Bóg, który stworzył tak okrutną rzeczywistość, może być dobry?

– Człowiek może być lepszy. Nie musi krzywdzić innych.

– Lepszy od Boga? – Znów zaśmiał się głośno. – Czy to wypada?

Wzruszyłem ramionami.

– Imperatyw kategoryczny Kanta – powiedziałem. – Postępuj tylko według takiej maksymy, co do której chciałbyś, żeby stała się powszechnym prawem. Czy jakoś tak.

– Imperatyw kategoryczny to kolejna bzdura. Każdy ma swoją moralność, na którą wpływa głównie wychowanie. Upierasz się, że krzywdzenie innych stworzeń jest złe, bo tak wpajano ci od dziecka. Tymczasem jedyne boskie prawo, jedyne prawdziwe przykazanie brzmi: silny przetrwa, słaby zostanie zjedzony. Jeśli założymy, że hipotetyczny Bóg w jakiś sposób ingeruje w nasze życie, robi to tylko w celu zachowania równowagi w przyrodzie. Żaden gatunek nie może nazbyt zdominować innych. A człowiek stał się ogromnym zagrożeniem dla równowagi. Dlatego Bóg od czasu do czasu zsyła zarazy i plagi. Na jego nieszczęście *Homo sapiens* nauczył się skutecznie stawiać im opór. Dzięki rozwojowi medycyny pokonał większość chorób, dzięki kwarantannie i odpowiednim procedurom bezpieczeństwa potrafi zdusić w zarodku wybuchy epidemii. To zupełnie tak, jakby pokazywał Stwórcy środkowy palec. – Znów wyszczerzył zęby w trupim uśmiechu. – Na szczęście Bóg ma też inne sposoby pozwalające skutecznie przetrzebić populację ludzi. Co jakiś czas zsyła bezwzględnych tyranów, okrutnych przywódców, którzy

rozpętują potężne wojny. Aleksander Wielki, Juliusz Cezar, Attyla, Czyngis-chan, Napoleon, Hitler, Stalin – to właśnie prawdziwi boży wysłannicy, wybrańcy, ulubieńcy Stwórcy, jego pupilki. Świetnie się spisali, wypełniając wolę Wszechmogącego.

– Jeżeli zabijesz człowieka, jesteś mordercą. Jeżeli zabijesz miliony, jesteś zdobywcą i wielkim wodzem. Jeżeli zabijesz wszystkich, jesteś Bogiem.

– Dobra sentencja – zaśmiał się Frank.

– Dlatego zostałeś lekarzem? – Nie mogłem się powstrzymać. Musiałem zadać to pytanie. – Żeby pokazywać Bogu środkowy palec?

– Myślałeś, że każdy lekarz ma poczucie misji? Powołanie? Że każdego cechuje chęć niesienia pomocy innym?

– Myślałem, że dla wielu główną motywacją jest status społeczny, prestiż, pieniądze, chęć spełnienia oczekiwań rodziców. Ale nie sądziłem również, żebyś zaliczał się do tej grupy.

– I masz rację – ucieszył się Frank. – Leczenie jest niczym innym, jak graniem Stwórcy na nosie, robieniem mu na złość. Bóg chce, żeby człowiek cierpiał, a lekarz podaje środki uśmierzające ból. Bóg chce, żeby człowiek umarł w mękach, a lekarz diagnozuje chorobę, podaje lekarstwa, operuje i przedłuża życie. To jest właśnie pokazywanie Stwórcy środkowego palca.

– Będąc patomorfologiem nie miałeś chyba zbyt wielu okazji, by pokazać Stwórcy środkowy palec. Poza tym myślałem, że jesteś ateistą.

– Nie masz pojęcia o pracy patomorfologa. Sposobności jest więcej niż myślisz. Poza tym nigdy nie powiedziałem, że jestem ateistą. Ateizm to nic innego jak wiara w to, że Boga nie ma. U jednych jest silna, u innych słaba, połączona z wątpliwościami. Ja zawsze wątpię we wszystko. Taka moja natura.

***

Bardzo długo szukaliśmy Anselma. Sprawdziliśmy wszystkie kajuty i dokładnie przeczesaliśmy środkowy pokład. Odwiedziliśmy również

sektor zieleni, zajrzeliśmy pod każdy liść w tropikalnej dżungli. Niestety, niczego nie znaleźliśmy; nigdzie nie było nawet najdrobniejszego śladu, mogącego świadczyć o obecności Anselma. Na poszukiwania poświęciliśmy mnóstwo czasu, ale tak naprawdę chyba nikomu, prócz Gordona, nie zależało na odnalezieniu zaginionego przywódcy. Joe i Czacha obawiali się widoku kolejnego zmasakrowanego ciała, natomiast Frank uważał poszukiwania za stratę czasu, o czym nie omieszkał wielokrotnie głośno wspomnieć. Jedynie Gordon przez cały czas motywował, a wręcz zmuszał resztę załogi do dalszych wysiłków. Trudno uwierzyć, że odnalezienie przywódcy było dla niego aż tak ważne.

W końcu, kiedy wielogodzinne poszukiwania i staranne zaglądanie w każdy kąt nie przyniosły żadnych rezultatów, zdecydowaliśmy się zabrać latarki i zejść na dolny pokład. Było to ostatnie miejsce, którego jeszcze nie odwiedziliśmy, a przecież Anselmo nie mógł wyparować. Na zewnątrz raczej też się nie wydostał, bo wtedy słyszelibyśmy nieprzyjemny dźwięk, który towarzyszy otwieraniu śluzy.

Przemierzaliśmy ciemne korytarze najniższego poziomu, trzymając się w zwartej grupie. Wcześniej ustaliliśmy, że nikomu nie wolno oddalać się od reszty – i prawdę mówiąc chyba nikt nie miał na to ochoty. Perspektywa samotnego wędrowania zatopionymi w mroku labiryntami raczej nie napawała entuzjazmem. Dolny pokład u wszystkich wzbudzał takie samo uczucie: lęk. Ja również poczułem, jak nagły niepokój chwyta mnie za gardło. Za każdym rogiem wypatrywałem skrytego w mroku zagrożenia. Zacząłem nawet wyobrażać sobie, jak jakieś oślizłe monstrum wypełza ze swej nory i atakuje z zaskoczenia. Wbija we mnie długie szpony, zanurza ostre zębiska, a następnie wysysa krew do ostatniej kropli.

Dłonie zaczęły mi drżeć.

– Weź się w garść – szepnąłem do siebie.

Nie mogłem przecież obawiać się potworów, które straszyły mnie z ekranu telewizora w dzieciństwie. Obejrzałem zdecydowanie za

dużo tanich horrorów. Samotna załoga daleko od domu, pusty statek przemierzający odległe galaktyki, cisza Kosmosu.

Po przeszukaniu dolnego pokładu wróciliśmy w pobliże schodów na wyższy poziom.

– Może Anselmo zabawia się z nami w ciuciubabkę? – zasugerował Gordon.

– Zbyt długo nikt go nie widział – odrzekłem. – Myślisz, że byłby w stanie tyle czasu żywić się tylko bananami, owocami hurmy i porzeczkami?

– Jakiś czas można na tym pociągnąć – powiedział Gordon. – I to wcale nie tak krótki.

– Ale po co miałby się ukrywać? – zapytałem. – Nie widzę w tym celu.

Gordon wzruszył ramionami.

– Co teraz zrobimy? – wymamrotał Joe. – Nie mam zamiaru w nieskończoność krążyć po tych ciemnych korytarzach.

Frank zaśmiał się głośno.

– Szyb windy towarowej – powiedział. – Tam jeszcze nie byliśmy.

– Racja – zawtórował Gordon.

Trudno było się z tym nie zgodzić. Od dawna nie używaliśmy windy. Co najmniej kilkanaście lat stała zepsuta, unieruchomiona na górnym pokładzie. Przeczesując najwyższy poziom zajrzeliśmy do jej wnętrza, sprawdziliśmy również sektor statku w pobliżu windy na środkowym pokładzie, ale nikt nie wpadł na to, by otworzyć drzwi szybu.

W milczeniu ruszyliśmy w ich stronę. Gdy stanęliśmy przed wejściem, Czacha wcisnął wielki, czerwony guzik.

Nic.

– Tak to sobie możesz, kurwa, wciskać – zbeształ go Gordon.

– Chcesz czekać, aż winda przyjedzie? – zadrwił Frank. – Przecież spieprzyła się wieki temu.

– Masz. – Gordon podał Czasze kuchenny nóż.

Czacha wsunął go w szczelinę drzwi, zaparł się i zaczął pchać mocno w bok.

– Kurwa, złamie się – jęknął.

Gordon bez słowa oddał mi swoją latarkę, wydobył zza pasa drugie ostrze i włożył w szczelinę poniżej. Natarli na drzwi równocześnie.

Puściły – głuchy dźwięk, a potem poszło jak z płatka.

Dno szybu znajdowało się jakiś metr poniżej poziomu pokładu. Wiązki światła latarek błądziły po mechanizmach dźwigowych i stalowych prowadnicach. Po chwili wszystkie jasnożółte snopy skupiły się w środkowej części szybu. Widok był przerażający.

– Patrzcie, jaką ma wielką dziurę w brzuchu! – wrzasnął Czacha.

Odwróciłem głowę. W tym momencie w moje nozdrza uderzył nieznośny odór. Zwłoki były już w stanie rozkładu. Odruchowo osłoniłem nos dłonią.

– Kurwa, ale smród! – zaskrzeczał Gordon. Minę miał nietęgą. Pewnie do samego końca liczył na to, że Anselmo wciąż żyje; sprytnie ukrywa się przed nami, upatrując w tym jakiś sobie tylko znany cel lub obmyślając chytry plan, który pozwoli mu szybko zidentyfikować szpiega. Teraz resztki tej nadziei prysły, a grunt pod stopami Gordona wraz z pozycją, którą wypracował sobie przez dziesiątki lat, w jednej chwili rozpłynęły się w powietrzu.

Frank zeskoczył do szybu i przyklęknął nad zwłokami. Zdawało się, że odrażający fetor nie robi na nim żadnego wrażenia. Z racji profesji, jaką niegdyś wykonywał, musiał przywyknąć do podobnych zapachów.

– Nie widzę organów wewnętrznych – powiedział. – Jest pusty w środku i to dosłownie. Nie ma żołądka, trzustki, wątroby, jelita… Ktoś wypatroszył go jak świąteczną kaczkę. Ciekawe…

– Nie udawaj, że to cię tak bardzo dziwi – warknął na niego Czacha.

– A ciebie nie dziwi? – Frank zuchwale skierował promień latarki wprost na jego twarz.

– Pierdol się – odburknął osiłek, osłaniając oczy dłonią.

Omiotłem latarką wnętrze szybu. Zastygła krew, która pokrywała matowe ściany nieregularnymi plamami, w słabej wiązce światła była niemal czarna jak smoła. Gdzieniegdzie promień latarki napotykał na wypukłe, krwawe placki, rozrzucone na dnie szybu pośród mechanizmów windy – najpewniej zaginione narządy Anselma.

– Spójrzcie do góry! – wrzasnął Czacha.

Momentalnie wszyscy skierowaliśmy latarki pionowo w górę.

– Co to? – zapytał Joe.

– Jakaś zerwana lina – odparł Gordon.

– Lina? – zdziwił się Czacha.

– Raczej nie lina – powiedział cicho Joe.

Frank zaśmiał się głośno.

– Z czego znowu rżysz? – Czacha obrzucił go karcącym spojrzeniem. Waran z Komodo także zdawał się być oburzony.

– Oto, drodzy koledzy, znaleźliśmy brakujące części naszego druha.

– Co? – Osiłek nie zrozumiał.

– To, na co patrzycie, to jego jelito. Musimy iść na środkowy pokład, aby lepiej to zobaczyć. Stamtąd zabójca zrzucił wypatroszoną ofiarę.

– Ale po co zawiesił jelito w szybie? – indagował dalej Czacha.

– Jak zwykle niczego nie pojmujesz – ofuknął go Gordon. – Morderca rozciął mu brzuch, flaki przywiązał do haka holowniczego, po czym pchnął go w szyb windy.

– Brawo, Sherlocku – pochwalił Frank. – Bardzo pomysłowy morderca. Cóż za finezja. Chciał chyba, żeby ofiara zawisła na własnych trzewiach. Jelito jednak nie wytrzymało próby i zerwało się pod naporem bezwładnie spadającego ciała.

– Ciekawe, czy Anselmo jeszcze żył, kiedy spadał? – zapytał Joe.

– Wątpię – odparł Frank. – Jego czaszka jest pęknięta. Sprawca najpierw uderzył go w głowę jakimś tępym narzędziem. Zgon najprawdopodobniej nastąpił już wtedy. Zresztą nie mogło być

inaczej. Anselmo nie pozwoliłby wypatroszyć się żywcem. Poza tym usłyszelibyśmy wtedy jakieś krzyki. Wypruwanie flaków musi boleć, jak jasna cholera. – Frank wstał i pokiwał głową z uznaniem. – Morderca spisał się na medal. Cóż za pomysłowość…

– Przestań pieprzyć, jebany sadysto! – zapiał Gordon.

– Lepiej przyznaj się, że ty to zrobiłeś – dodał Czacha.

– Może i chciałbym móc pochwalić się takim artystycznym mordem, ale niestety to nie moje dzieło.

***

Choć w jadalni siedzieli wszyscy żyjący członkowie załogi, panowało tu nieznośne wręcz milczenie. Po usunięciu ciała Anselma z pokładu definitywnie uświadomiliśmy sobie, że zostaliśmy bez przywódcy. Oczywiste było, że jego miejsce zajmie Gordon, który w zasadzie był jedynym kandydatem na to stanowisko. Ale czy na pewno będzie w stanie podporządkować sobie resztę załogi równie skutecznie, jak zrobił to jego poprzednik? Największy opór bez wątpienia napotka ze strony Franka. Temu chudzielcowi zupełnie odbiło – sprawiał wrażenie, jakby nie obawiał się nikogo i niczego. Trudno będzie go zastraszyć. A może ja również nie powinienem teraz pozostać biernym? Może właśnie nadszedł odpowiedni moment, aby wybić Gordonowi szefowanie z głowy? Od zawsze uważałem, że przywódca nie jest tutaj potrzebny.

Czacha zaczął nerwowo stukać paznokciami w metalowy stół. Najpierw uderzał miarowo i rytmicznie, potem trochę przyśpieszył, a następnie dał upust swojej nerwowości i walił w blat bez żadnego ładu, najszybciej jak potrafił. Trwało to dobrych kilka minut. Pierwszy cierpliwość stracił Gordon.

– Skończ! – syknął.

Czacha spojrzał na niego ze zdziwieniem.

– Przepraszam, nie wiedziałem nawet, że to robię. To chyba jakiś odruch nerwowy, czy coś?

Znów zapadło to samo nieznośne milczenie. Waran z Komodo na szyi Czachy zerkał na mnie z nienawiścią. Starałem się nie patrzeć w jego kierunku.

W końcu odezwał się Gordon:

– Wygląda na to, że nadal mamy mordercę na pokładzie…

– I szpicla – dodał osiłek. – Anselmo powiedział, że ktoś był w Prezbiterium.

– Nie możemy mieć pewności, że to jedna i ta sama osoba – zauważyłem.

– Ktoś z nas na pewno jest mordercą – podjął po chwili Gordon, ignorując nasze uwagi. – Uważam zatem…

Nie zdążył dokończyć zdania, bo w słowo wszedł mu Frank:

– Wszyscy jesteśmy mordercami. Przecież za to właśnie zostaliśmy skazani na pobyt tutaj.

Gordon spojrzał na niego z irytacją. W jego chytrych oczach pojawiło się coś, czego nie dostrzegłem nigdy wcześniej: zwątpienie.

– Ktoś zabił Anselma, Hernandeza i Walta – powiedział. – Postanowiłem więc podjąć odpowiednie kroki, by… – Urwał. Nie patrzył na nikogo, tylko na brudną ścianę jadalni, gdzieś powyżej naszych głów. Długo szukał właściwego słowa.

– By chronić własne dupsko – dokończył za niego Frank.

– Niech będzie: by chronić własne dupsko.

– Cóż zatem postanowiłeś? – zapytałem z zaciekawieniem.

– Jedyne wyjście to izolacja.

– Chcesz się odizolować?

– Nie się! Ciebie – rzucił mi prosto w twarz. Odczekał chwilę, po czym dodał: – Joego i Franka również.

– Zamierzasz nas więzić? – zdziwił się Joe.

– Zostaniecie zamknięci w swoich kajutach. Ja i Czacha będziemy was wyprowadzać na posiłki do jadalni.

– Nie możesz tego zrobić! – ryknął opętańczo Joe. – Ja zwariuję! Nie wytrzymam tyle czasu sam!

– Jeśli tak łakniecie swojego towarzystwa – powiedział Gordon, a na twarz wróciła mu dawna chytrość – możecie zostać zamknięci w tej samej kajucie.

– Nie chcę siedzieć razem z nimi – rzucił bezceremonialnie Frank.

Ja zmilczałem. Wahałem się chwilę, czy wolę samotność, czy wspólną celę z Joem. W sumie było mi to obojętne.

– Zatem ustalone – powiedział Gordon. – Wy siedzicie razem. Frank sam.

– Świetna koncepcja – rzekł Frank. – Pięknie to sobie obmyśliłeś. Powiedz mi tylko, co będzie, jeśli szpiclem lub mordercą okaże się Czacha?

– Nie mów tak, bo ci przypierdolę! – Osiłek zerwał się z miejsca.

– Siedź, Czaszeczko – uspokoił go Gordon.

– Ale ten chuj mnie oskarża – bronił się Czacha.

– Dlaczego tak cię to irytuje? – brnął dalej Frank, patrząc na niego wyzywająco. – Pocisz się? Czyżbyś miał coś do ukrycia?

Czy ten człowiek naprawdę nie czuje strachu? Nie boi się siniaków? Złamań? Przecież Czacha za chwilę rozniesie go na strzępy. Gdzie podział się jego instynkt samozachowawczy? Tym bardziej, że wciąż jeszcze nie zagoiła się jego dolna warga, a na brwi nadal tkwi strup.

– Siedź! – powtórzył Gordon, wykonując uspokajający gest ręką.

– Dlaczego nie mogę mu przypierdolić?

– To nic nie da.

– Nic nie da? Przecież ktoś musi wreszcie uciszyć tego kutasa.

– Nie widzisz, że kpi sobie z nas? – Gordon patrzył uważnie na Franka. – Myśli skurwiel, że jest dowcipny. Jednak ja obiecałem sobie, że już nie dam się wciągnąć w jego gierki. Nie dopuszczę, by po raz kolejny mnie sprowokował.

– Ja was wszystkich pierdolę – rzucił Czacha, po czym odwrócił się na pięcie i wyszedł z jadalni. Po chwili usłyszałem przyśpieszony oddech, dobiegający z mesy. Łysol najpewniej złapał sztangę i zaczął wyciskać.

– Nie mam pewności, kto za tym wszystkim stoi – podjął po chwili Gordon. – Nie wiem, skąd morderca wziął kosę. Wszystkie kosy z kajuty Anselma przeniosłem od razu do mojej i zamknąłem na klucz.

Frank zaśmiał się lekceważąco. Powiedział:

– Istnieją dwie możliwości. Pierwsza to taka, że morderca był w kajucie Anselma przed tobą i zabrał nóż wcześniej. Wiesz ile noży miał Anselmo? Były tam wszystkie?

– Nie mam ochoty z tobą o tym dyskutować.

– Czyli nie wiesz.

– A druga możliwość? – zapytałem, nie kryjąc zainteresowania.

– Morderca i szpicel to ta sama osoba i posiada kartę dostępu do wszystkich kajut, co daje mu nieograniczone wręcz możliwości.

Na chwilę zapadło milczenie, zakłócane tylko cichym szumem silników i jednostajnym sapaniem Czachy. Wreszcie odezwał się Frank:

– Naprawdę jesteś pewien, że mordercą nie jest Czacha?

– Coś się tak, kurwa, uparł?! – zapiszczał Gordon. Widać było, że traci panowanie nad sobą i za chwilę jego postanowienie zachowania stoickiego spokoju może spalić na panewce.

– Nie oglądałeś nigdy żadnego kryminału? – ciągnął Frank. – Nie czytałeś książek? Nie wiesz, że mordercą zawsze okazuje się osoba najmniej o to podejrzewana? Taka, która pozornie nie byłaby w stanie popełnić zbrodni?

– Świetna koncepcja, Sherlocku – odparował Gordon, wchodząc nagle w retorykę oponenta. – Nakreśliłeś piękny portret psychologiczny mordercy. Niejeden psycholog by pozazdrościł. Tylko musisz wziąć pod uwagę jeszcze jeden aspekt: to jest prawdziwe życie, a nie jakaś pieprzona książka, czy kiczowaty film. A w życiu najprostsze rozwiązania są zazwyczaj prawdziwe. Brzytwa Ockhama. Pamiętasz?

Osłupiałem. Gordon podjął rękawicę i trzeba było przyznać, że potrafił dyskutować z Frankiem jak równy z równym. Samego Franka także to zaskoczyło. Na chwilę zamilkł. Chuda twarz wyrażała

niemałą konsternację. Szybko jednak odzyskał rezon i postanowił podejść rozmówcę z innej strony:

– A czy pomyślałeś, kto będzie zajmował się sektorem zieleni, kiedy tych dwóch zamkniesz w celi? Może zamierzasz zagonić Czachę do pracy w ogrodzie?

– Szczerze mówiąc – odparł Gordon – nie zastanawiałem się nad tym, ale skoro już podjąłeś ten temat, zostajesz wyznaczony na ochotnika. Czacha będzie cię pilnował.

Wstałem. Nie miałem ochoty dłużej uczestniczyć w tej dyskusji. Zaczęła mnie zwyczajnie męczyć. Teraz dopiero uświadomiłem sobie, jak bardzo jestem wyczerpany. Od wielu godzin nie zaznałem snu.

– Dokąd to? – zapytał Gordon. – Myślisz, że puszczę cię samego?

– Muszę odpocząć – odparłem. – Chciałbym wrócić do swojej kajuty.

Gordon jakiś czas przyglądał mi się uważnie.

– Dobrze – powiedział w końcu. – Idziemy wszyscy.

– Po co? – sprzeciwił się Frank.

– Nie pytaj, tylko wstawaj, jeżeli chcesz jeszcze trochę pożyć. – Gordon spojrzał na niego ze złością.

Joe wstał od razu i skrył się za moimi plecami. Frank długo milczał. W końcu także podniósł się z krzesła.

Wyszliśmy z jadalni i ruszyliśmy korytarzem obwodowym. Patrzyłem na mijane po drodze iluminatory, usiłując dostrzec jak najwięcej z tego, co działo się na zewnątrz. Gazowy glob przysłaniał znaczną część białej tarczy, dzięki czemu światło gwiazdy nie raziło tak bardzo jak niegdyś. Sceneria była przepiękna. Ciemne chmury kłębiły się na rdzawej powierzchni gazowej kuli. Gdzieniegdzie burzowe obłoki, każdy wielkości ziemskiego kontynentu, podrygiwały w obłąkańczym tańcu. Ogromne nawałnice szalały na obszarze dorównującym ziemskim oceanom. Czy to naprawdę cel naszej podróży? Przecież nie ma tutaj nawet krzty stałego lądu, żeby posadzić statek. A może wcale nie będziemy się tu zatrzymywać, tylko wejdziemy na orbitę, wykorzystamy grawitację 55 Cancri b, aby

nabrać rozpędu, wykonamy pół obrotu i wystrzelimy z powrotem w przestrzeń kosmiczną?

Nie, to nie miałoby sensu. Takie manewry praktykowano w zamierzchłej przeszłości. Odkąd wynaleziono tenebrisuncjalne silniki, są bezcelowe.

Jaka tutaj panuje temperatura? – przeszło mi przez myśl. Nadir musiał włączyć dodatkowe chłodzenie. W innym razie już dawno ugotowalibyśmy się w tej puszce. Straszne, jak mało wiem o możliwościach naszego statku.

Dotarliśmy do kajuty Franka. Gordon wepchnął chudzielca do środka, zamknął za nim drzwi i zabrał klucz. Ku mojemu zaskoczeniu Frank nie protestował. Oczywiście nie był tym faktem zachwycony, co można było wywnioskować z jego miny, jednak zachował spokój. A myślałem, że nie obejdzie się bez ekscesów. Może dopiero teraz zacznie obmyślać nowy plan, jak do reszty uprzykrzyć Gordonowi życie.

Następnym celem przechadzki była moja kajuta. Joe i ja weszliśmy do środka. Gordon został na korytarzu.

– Dawaj klucz – powiedział do mnie rozkazującym tonem.

– Nie mam.

Spojrzał na mnie podejrzliwie.

– Nigdy nie miałem. Anselmo zabrał mi go wieki temu.

– To idziemy do kajuty Joego.

– Ja też nie mam klucza – powiedział Joe.

Gordon chwilę się zastanawiał.

– Więc na razie będziecie zamknięci razem z Frankiem – powiedział. – Wychodzić.

Miałem tego dosyć. Ostatnie chwile wolności – pomyślałem. – Za moment ów wredny typ zniewoli nas, skutecznie odseparuje od reszty statku, zmniejszy naszą przestrzeń życiową do pojedynczej kajuty. Drzwi zatrzasną się, odbierając dostęp do iluminatorów w korytarzu i nie będę mógł więcej podziwiać gazowego olbrzyma. Wcześniej o tym nie pomyślałem, ale teraz…

Nie mogłem na to pozwolić.

Pchnąłem Gordona. Nie spodziewał się tego. Z impetem uderzył w ścianę korytarza. Szybko zamknąłem drzwi.

– Co robisz?! – ryknął opętańczo Joe. – Zwariowałeś?!

Zaparłem się, trzymając drzwi. Byłem pewien, że za moment Gordon na nie natrze.

– Daj spokój! – Joe szarpał mnie za rękę. – Odpuść!

Spojrzałem na niego gniewnie. Całe życie tylko by odpuszczał. Całe życie na kolanach. Ku mojemu zaskoczeniu Gordon nie usiłował sforsować drzwi. Po drugiej stronie panowała cisza. Musiałem zastanowić się, co dalej. Joe pociągnął mnie w stronę pryczy. Usiedliśmy na niej.

– O co ci chodzi? – zapytałem.

– Nie warto tak ryzykować. Trochę nas tu potrzyma i mu się znudzi. Przynajmniej nie zrobi nam krzywdy.

– A więzienie w kajucie nie jest krzywdą?

Rudzielec skrył twarz w dłoniach.

– Proszę, odpuść – wyszeptał.

Wciąż z niepokojem obserwowałem drzwi. Zaraz Gordon wróci z Czachą, będą uzbrojeni w noże. A my zamiast uciec lub przygotować się na ich przybycie, trwonimy czas.

– Nie wiem, jak to powiedzieć… – ciągnął Joe. Głos mu się łamał. – To wszystko... to… mnie przerasta. Nie… nie wytrzymuję tego! Rozumiesz?

Sytuacja stawała się coraz bardziej niedorzeczna. Miałem tego szczerze dość. Chciałem wstać, ale Joe mnie przytrzymał. Nie zamierzałem się z nim szarpać.

– Od dawna nie mogę zasnąć – bełkotał dalej. – Wciąż boję się, że w czasie snu ktoś mnie zabije. Teraz, kiedy widziałem zwłoki Anselma, już w ogóle… nie wiem co robić, ciągle oglądam się za siebie, boję się, że morderca wbije mi nóż w plecy, a co jeśli… na dolnym pokładzie czai się ktoś obcy? Ktoś, o czyim istnieniu nie mieliśmy pojęcia przez te wszystkie lata?

Spojrzał na mnie ze łzami w oczach.

Dłonie mi drżały. Serce chciało wyrwać się z piersi; wyraźnie słyszałem tętno w uszach. Ciepły pot spływał po moich plecach. Muszę jak najlepiej wykorzystać ostatni moment wolności. Zasiać chaos… Błysnął metalowy nóż. Usłyszałem charakterystyczny cichy dźwięk, który wydaje przebijana skóra. Krew! Zobaczyłem krew wypływającą z rany.

Impuls. Sygnał do działania. Silna żądza, nad którą nie potrafiłem zapanować. Demon, krzyczący z głębi umysłu. Krótka chwila obnażająca moją prawdziwą naturę. Przyzwyczaiłem się już do impulsów. Niemal je polubiłem. I pomyśleć, że niegdyś, na Ziemi, nienawidziłem siebie za to, co robiłem pod ich wpływem.

***

Od dziecka gardziłem ludźmi i światem, moje dzieciństwo trudno nazwać udanym. Nigdy nie poznałem ojca, nie dowiedziałem się nawet, kto nim był. Przypuszczalnie sama matka również tego nie wiedziała – albo wolała udawać, że nie wie. Zarabiała na ulicy, przebywała głównie w towarzystwie podejrzanych typów różnej maści z przestępczego półświatka, sypiała z wieloma mężczyznami, ale żaden z nich nie nadawał się na troskliwego rodzica. Zresztą, podobnie jak ona. Zapewne przyszedłem na świat tylko dlatego, że nie miała wystarczająco dużo pieniędzy na skrobankę. Została zatrzymana przez policję, gdy miałem niespełna pięć lat – i chyba dobrze się stało, ponieważ życie z nią mogło być jeszcze większym koszmarem niż to, co spotkało mnie w domu dziecka. Sąd szybko orzekł odebranie praw rodzicielskich. Po aresztowaniu nigdy więcej nie zobaczyłem matki. W głowie utkwił mi jedynie obraz, który zapamiętało pięcioletnie dziecko: młoda kobieta z rozmierzwionymi włosami i wyzywającym makijażem, zakuta w kajdanki, prowadzona do radiowozu przez dwóch funkcjonariuszy. Umieszczono mnie w państwowym ośrodku opiekuńczym i pewnie skończyłbym jak tysiące innych dzieci wychowywanych przez tę bezduszną instytucję,

gdyby nie jeden dzień, który odmienił moje życie. Pamiętam to, zupełnie jakby wydarzyło się wczoraj. Miałem wówczas trzynaście lat. W domu dziecka zjawiło się dwóch mężczyzn ubranych w białe kitle. Mieli ze sobą dziwaczną aparaturę, którą od razu wnieśli do gabinetu dyrektorki. Następnie do niewielkiego pokoiku wzywano kolejno każde dziecko. Przyszedł czas i na mnie. Kiedy wszedłem do środka, mężczyźni w kitlach usadowili mnie wygodnie w fotelu, a na głowę założyli wymyślny hełm najeżony skomplikowaną elektroniką. Odczytywali dziesiątki wskaźników ze swoich tajemniczych przyrządów. Obserwowałem narastające zdziwienie malujące się na ich twarzach. „To niebywałe – powiedział jeden z nich. – Jeszcze nigdy nie widziałem niczego podobnego”. Zaraz potem zwinęli sprzęt i wyszli. Kilka dni później w domu dziecka zjawił się starszy człowiek z łysiną i siwą brodą. Zostałem wezwany do gabinetu dyrektorki. „Synu, ofiarujemy ci nowe życie – powiedział starzec. – Masz niesamowity dar. Kiedyś mógłbyś zostać jasnowidzem lub szarlatanem, teraz nauka potrafi inaczej spożytkować twoje zdolności.” Tego samego dnia opuściłem dom dziecka i trafiłem do Instytutu Badań Interferencji Telesynchrastycznej. Pierwszy raz w życiu poczułem, że jestem kimś wyjątkowym – naukowcy w białych fartuchach patrzyli na mnie z nieukrywanym podziwem. Dwa dni później zawieziono mnie na salę operacyjną. Obudziłem się z obandażowaną głową. Zaraz potem zaczęły się utraty świadomości i luki w pamięci. Na długie godziny, czasem nawet dni, traciłem poczucie czasu i przestrzeni. Budziłem się w różnych miejscach, pozycjach, i nie miałem pojęcia, co się ze mną działo, a w umyśle panowała całkowita pustka. Po kilku latach wypuszczono mnie z Instytutu i podarowano nowe życie. Eleganckie mieszkanie w centrum miasta, dożywotnią rentę, możliwość darmowego kształcenia się na niemal wszystkich uczelniach Federacji Ziemskiej. Utraty świadomości występowały jeszcze przez jakiś czas, na szczęście coraz rzadziej. Jednak potem zaczęły się impulsy. Próbowałem ułożyć sobie życie z kobietą, usiłowałem ze wszystkich

sił hamować żądze, niestety skończyło się tragicznie. W końcu trafiłem na pokład Nadira jako napiętnowany zwyrodnialec i morderca. Jestem pewien, że gdyby nie mężczyźni w białych kitlach i dobrotliwy, łysy staruszek, moje życie potoczyłoby się inaczej.

Lewą ręką zakrywałem usta Joego, tak by nie mógł krzyczeć, i równocześnie uderzałem prawą, w której trzymałem kuchenny nóż. Raz za razem, bezlitośnie wbijałem ostrze w brzuch ofiary. Działałem szybko i zdecydowanie. Kiedy z ust zaczęła wypływać krew, sącząc się pomiędzy moimi palcami, przestałem. Podniosłem się i popatrzyłem na swoje dzieło. Ciałem targały konwulsje. Pościel zabarwiła się na krwistoczerwono. Co za piękny widok – pomyślałem. – Jakże cudnie ta czerwień komponuje się z rudymi włosami. Stworzyłem kolejne dzieło godne mistrza Gigera. Może nie jest aż tak udane jak to, które wykonałem za pomocą Hernandeza (nóż wbity w oko wyglądał fenomenalnie), ale mimo wszystko znów mogę być dumny z efektów swej pracy. Jestem prawdziwym artystą. Szkoda tylko, że nikt poza mną nie potrafi docenić mojego geniuszu. Walt też wyglądał przepięknie. Anselmo miał być moim największym dokonaniem, niestety nie wszystko poszło tak, jak chciałem. Szkoda. Trochę nie doceniłem grawitacji działającej na Nadirze. Każdy artysta ponosi czasem klęski. Na pewno i sam Giger namalował mnóstwo nieudanych obrazów, które od razu wylądowały w koszu. Ja nie mogłem tak postąpić z moją twórczością, bo tu, na Nadirze, nie było wystarczająco dużego śmietnika.

Ta myśl mnie rozbawiła. Definitywnie przestałem wypierać się swych dzieł, jak to czyniłem przez długie lata na Ziemi. Poczułem kolejny impuls i musiałem przyznać, że polubiłem to uczucie.

Pierwszy od wielu lat impuls nadszedł, kiedy leżałem w łóżku i rozmyślałem o piekle, które Walt zgotował Joemu. Wówczas poczułem żądzę – była nie do opanowania. Nawet nie próbowałem jej zwalczyć. Nienawiść wypełniła mnie całego od stóp do głów. Zakradłem się do kajuty Walta. Drzwi były otwarte. Spał na brzuchu. Bez zbędnego zastanowienia rzuciłem się na niego, wskoczyłem mu

na plecy i zacząłem dusić. Gdy się obudził, był bezradny. Nie mógł nawet krzyknąć. Aby upozorować samobójstwo, wyrwałem kabel ze ściany i owinąłem wokół jego szyi. Walt wreszcie wyglądał pięknie. Te oczy... Nawet nie wiedziałem, że złamałem mu rękę. Dopiero Frank mi to uświadomił.

Hernandeza zastałem przypadkiem w mesie, śpiącego z nogami wyciągniętymi na stole. Telewizor był włączony, a na ekranie rozgrywała się scena pościgu. Wtedy znów nadszedł impuls. Wiedziałem, gdzie Hernandez trzyma nóż; zobaczyłem to przez szparę w drzwiach, gdy podsłuchiwałem jego rozmowę z Gordonem. Miejsce nie było wyszukane: zrobioną ręcznie pochwę przywiązał do łydki. Pozwalało to na szybkie dobycie noża. Nie zastanawiałem się długo. Działałem błyskawicznie. Nim zdążył się ocknąć, ostrze tkwiło w oku. Wrzasnął przeraźliwie, lecz mnie nie było już wtedy w mesie.

Anselmo przyszedł do sektora zieleni. Szukał mnie. Chciał o czymś porozmawiać. Jednak ja tym razem nie miałem ochoty na „jałowe pogaduszki”. Skryłem się wśród krzewów malin. Długo nie potrafił mnie znaleźć. Impuls. Zaszedłem go od tyłu i uderzyłem z całej siły motyką w głowę. Przewrócił się na twarz. Wymierzyłem mu jeszcze kilka kopniaków w tył głowy, żeby mieć pewność, że już nie wstanie. Przeszukałem jego uniform. On też nosił przy sobie nóż. O tym nożu nie wiedział nikt poza nim samym.

Kto ma kosę, ten ma władzę – pomyślałem i spojrzałem na ostrze, które trzymałem w dłoni. Ściekała z niego krew. Świeża, ciepła krew.

Impuls. Chęć stworzenia pięknego, niepowtarzalnego dzieła. Zawlokłem ciało Anselma do szybu windy towarowej na środkowym pokładzie. Użyłem schodów w części statku, do której nikt nigdy nie zaglądał. Nie musiałem obawiać się, że spotkam kogoś po drodze. Namęczyłem się straszliwie, ciągnąc zwłoki po schodach, ale równocześnie odczuwałem duże podniecenie na myśl o tym, czego niebawem dokonam. Z otwarciem drzwi windy poradziłem sobie, dzięki motyce, której używałem do przekopywania grządek.

Wystarczyło wcisnąć ostrze w szparę i kilka razy mocno naprzeć na trzonek.

Teraz już zrozumiałem i jestem pewien, iż moja sztuka jest najpiękniejszą ze sztuk, bo ja… nie maluję ludzi. Ja maluję ludźmi! Moje obrazy to najprawdziwszy realizm. Utrwalam w nich piękno ludzkiego ciała, piękno, które zazwyczaj skrywane jest gdzieś głęboko. Maluję śmierć, maluję prawdziwą śmierć, maluję prawdziwymi ludźmi, a nie pędzlem.

Po wrzuceniu ciała Anselma do szybu, zamknąłem drzwi. Została w nich większa niż przedtem szczelina, poza tym pneumatyczne siłowniki puściły i wystarczyło lekko pchnąć, by drzwi się rozsunęły. Jednak, kiedy zajrzeliśmy w to miejsce, szukając Anselma, nikt nie zwrócił na to uwagi. Zmyłem też dokładnie ślady krwi przed drzwiami. Sam nie wiem, po co to zrobiłem. Czyżby kierowała mną jakaś perwersyjna przyjemność, mająca wyniknąć z dłuższych poszukiwań ciała? Chęć poznęcania się nad pozostałymi członkami załogi? Utrzymania ich dłużej w niepewności? Wiedziałem, że będą mieli duży problem ze znalezieniem zwłok. Może gdyby Anselmo zawisnął na własnym jelicie, tak jak chciałem, a ja byłbym w pełni zadowolony ze swego dzieła, nie zamknąłbym wejścia do szybu? Może wtedy czułbym chęć pochwalenia się swoją twórczością?

Nareszcie uświadomiłem sobie, że mimo otaczającego mnie więzienia mogę być wolny. Wszystko dzięki sile charakteru. Nabrałem pewności siebie, której dotąd mi brakowało. Pozbyłem się najgorszych despotów, jakich nosił Nadir. Został Gordon. Lecz z nim także sobie poradzę. Nadszedł mój czas. Dość krycia się po kątach i zaciskania zębów. Dość! Najwyższa pora pokazać, kto tu rządzi. A jeżeli nie będą słuchać, stracą życie. Mam nóż, mam władzę. Na myśl o tym zacisnąłem mocniej dłoń na trzonku. Wyszedłem z kajuty i stanąłem przy iluminatorze w korytarzu. Spojrzałem na tajemniczą planetę. Nie wiem dlaczego, ale gdy na nią patrzyłem, czułem się jeszcze wspanialej. Nieznany ląd czeka na mnie. Będę tu nowym panem. Pionierem, pierwszym, który…

Nagły, ostry ból w dole pleców.

Cholera – zakląłem w myślach – ktoś zaszedł mnie od tyłu. Jak mogłem na to pozwolić? Wystarczyła chwila nieuwagi.

Nogi odmówiły posłuszeństwa, nie chcąc dłużej podtrzymywać ciała. Kolana stały się miękkie jak z waty. Upadłem na plecy i zobaczyłem Gordona. Stał nade mną z triumfalnym wyrazem twarzy, a w dłoni dzierżył ociekający krwią nóż.

Przechytrzył mnie jak dziecko – pomyślałem resztkami gasnącej świadomości i ta myśl była bardziej bolesna niż ukłucie noża.

– Mam cię, skurwysynu – syknął Gordon. Pochylił się i wbił ostrze raz jeszcze. W brzuch. – Od dawna podejrzewałem, że to ty. Chciałem tylko mieć pewność. – Usta wykrzywił mu makabryczny uśmiech. – Ukryłem się w kajucie Walta i tylko czekałem na twój błąd. A ty byłeś wystarczająco głupi…

***

Krople deszczu uderzały w asfaltową nawierzchnię niczym miliony pocisków ciskanych z rozwścieczonego nieba. Nieznajomy mężczyzna wysiadł z pojazdu i ruszył w moją stronę. Nie zwracałem na niego uwagi; stałem na poboczu i obserwowałem zwłoki leżące kilkanaście metrów dalej. Deszcz zmywał krew. Czerwień spływała do rowu przy drodze. Ciało tkwiło w nienaturalnej pozie. Nie była to już kobieta, którą niegdyś kochałem. Kasztanowe włosy dotykały zimnego, mokrego asfaltu. Wyglądały jeszcze piękniej niż dawniej.

Kolejne samochody zatrzymywały się nieopodal miejsca wypadku. Ludzie masowo przerywali swoją gonitwę donikąd.

Dłonie wciąż mi drżały, lecz pot na plecach stawał się coraz zimniejszy. Czułem chłód na całym ciele. Serce zwolniło. Nieznajomy stanął naprzeciwko mnie. Inni, kobiety i mężczyźni, wychodzili ze swych lśniących maszyn, nie zważając na ulewę. Po chwili otoczył mnie krąg oczu, które patrzyły z niemym oskarżeniem. Wyrok został wydany. Takie spojrzenia będą towarzyszyć mi do końca życia.

– Popchnąłeś ją – powiedział pierwszy mężczyzna. – Dlaczego to zrobiłeś?

Nie odpowiedziałem. Nie było sensu tłumaczyć.

– Ja też widziałam, że ją popchnął – zabrzmiał kobiecy głos.

– I ja.

– Co z nią?

– Nie żyje.

– Policja już została wezwana. Przytrzymajcie tego skurwiela.

– Skurwiel.

– Morderca.

– Skurwysyn.

– Dobrze tak skurwielowi – rozpoznałem piskliwy głos Gordona.

Przebłysk świadomości…

Ktoś uderzył mnie otwartą dłonią w twarz.

– Słyszysz mnie? – znów głos Gordona.

Nie miałem siły odpowiedzieć.

Kolejny cios spadł na policzek.

Świadomość wróciła. Leżałem na plecach z rękami ułożonymi wzdłuż tułowia. Spróbowałem otworzyć oczy. Powieki były ciężkie jak z ołowiu. Ciało odmówiło posłuszeństwa. Opadłem z sił. Poczułem nieznośny ból w klatce piersiowej. Każdy oddech kłuł tysiącami igieł.

– Kto by pomyślał? – Głos Czachy.

– Rozprułem go całego. – Znów nieprzyjemny głos Gordona. – Rozbebeszyłem w chuj, a on wciąż żyje. Już dawno skurwiel powinien zdechnąć.

– Czegoś takiego jeszcze nie widziałem. – To bez wątpienia powiedział Frank. – Popatrzcie na jego wnętrzności. Same syntetyki. W tym człowieku nie ma prawie niczego organicznego. Sztab dołożył wielu starań, by Logan mógł długo cieszyć się życiem.

– Czy to robot? – zapytał Czacha.

– Niezupełnie – zaprzeczył Frank. – Obejrzałem go dokładnie i zauważyłem mnóstwo interesujących szczegółów. Popatrzcie tutaj. – Poczułem dotyk na skroni. – Wyraźna blizna po trepanacji czaszki.

– Pewnie wszczepili mu inplamt do mózgu – rzekł Czacha. – Słyszałem, że tak robią. Podobno dzięki temu potrafią sterować człowiekiem na odległość.

– Sterować na odległość – powtórzył Frank z kpiną w głosie. – To zbytnie uproszczenie. Czytałem o tych implantach w *National Science.* Wcale nie trzeba wykonywać trepanacji czaszki, by je wszczepić. To znaczy kiedyś była taka konieczność, lecz później technologię implantacji mózgowej znacznie udoskonalono…

– No tak, tak – przerwał mu Czacha. – Podobno wszczepiają takie inplamty psom i te psy potem potrafią szpiegować dla rządu. Wysyłają takiego, żeby szwendał się po okolicy, bo na zwykłego psa nikt nie zwraca uwagi. A potem okazuje się, że to nie był pies tylko tajny agent, który przekazywał informacje federalnym. Mówiłem mojej mamie, żeby uważała na podejrzane, bezpańskie psy, które kręcą się obok domu, ale ona nie chciała słuchać.

Nie mogłem tego zobaczyć, jednak wyobraziłem sobie pełne politowania spojrzenia Franka i Gordona.

Klatka piersiowa paliła żywym ogniem. Ból promieniował na całe ciało. Spróbowałem poruszyć ustami. Bez rezultatu.

– Ale pierdolisz – skwitował Gordon.

– Co ja znowu pierdolę? – obruszył się Czacha.

– Czytałem o tych implantach w *National Science* – podjął Frank. – Wzmacniają interferencję telesynchrastyczną emitowaną przez mózg człowieka. Poniekąd Czacha ma rację, bo ostatecznym celem badań było zdalne przejmowanie kontroli nad autonomicznymi źródłami fal interferencyjnych, czyli między innymi nad ludzkimi umysłami. Jednak, kiedy Nadir wyruszał w podróż, technologię tę dopiero testowano. Czytałem, że naukowcy natrafili na wiele problemów. Pojawiły się liczne skutki uboczne. Najgorsze było to, że mózg szybko wypracowywał mechanizm obronny i uczył się skutecznie blokować przekaz interferencyjny, a wówczas kolejne próby przejęcia wyzwalały jedynie tak zwane syntetyczne instynkty, nad którymi obiekt badań nie potrafił zapanować. Implant uaktywniał

się, powodując u nosiciela silną żądzę o charakterze uzależnionym od jego indywidualnych aberracji.

– Nie rozumiem – powiedział Czacha.

Frank westchnął.

– Wyobraź sobie, że chce ci się srać. Potrafisz?

– Potrafię.

– Więc jeśli bardzo chce ci się srać, musisz się wysrać, bo inaczej nie wytrzymasz.

– No tak.

– A implant powoduje, że inne potrzeby, mniej konieczne i mniej silne niż potrzeba wypróżniania się, stają się dla ciebie jak sranie: musisz to zrobić, bo inaczej nie wytrzymasz. Teraz rozumiesz?

– Mniej więcej.

– No to mamy naszego szpicla – powiedział Gordon. – Bez wątpienia on był w Prezbiterium. Działanie implantu zmusiło go do tego. Szpicel i morderca w jednej osobie. Tak jak podejrzewałem.

– Tak – zgodził się Frank – tylko czemu poszedł do Prezbiterium?

– Jak to czemu? – zdziwił się Czacha. – Inplamt zmusił go do tego.

– Kurwa! – zaskrzeczał Gordon. – Mówi się implant, a nie inplamt!

– Ale chodziło mi o to, kto kierował nim poprzez implant – wyjaśnił spokojnie Frank. – I co takiego jest w Prezbiterium, że kazano mu tam pójść? Domyślam się, że ma to jakiś związek z planetą, do której zbliża się Nadir.

– Zapytamy go o to grzecznie, kiedy odzyska przytomność. – W głosie Gordona słychać było nienawiść.

– Jeśli w ogóle odzyska – zaśmiał się Frank. – Nie musiałeś wypruwać mu od razu flaków. Wątpię, że przeżyje. Jest bardzo słaby, stracił mnóstwo krwi.

Chciałem coś powiedzieć. Długo zbierałem się w sobie, ale zdołałem tylko nieznacznie poruszyć ustami. Nie wydobył się żaden dźwięk.

Odpłynąłem. Nie wiem, jak długo mnie nie było.

Z oddali usłyszałem głos Franka:

– Ciekawy problem poruszyłeś. Jak mówiłem wcześniej, w czasach, gdy Nadir startował z Księżyca, medycyna znała o wiele lepsze i mniej inwazyjne sposoby wprowadzania chipów do mózgu. Zatem jeśliby założyć, że trepanację czaszki faktycznie wykonano w celu wszczepienia implantu, operacja musiała mieć miejsce bardzo dawno temu, najprawdopodobniej, kiedy Logan był dzieckiem. Możliwe więc, że to właśnie implant pchnął go do popełnienia przestępstw, za które odsiaduje wyrok. Zabił kogoś, bo nie potrafił zapanować nad instynktami, pobudzanymi przez urządzenie. To mało prawdopodobne, ale ciekawe.

– Więc... – powiedział Czacha – on nie zasłużył na odsiadkę, bo zwyczajnie nie potrafił zapanować nad instynktami.

– A niby za co ty tu jesteś? – zaatakował go Frank. – Ty również nie potrafiłeś zapanować nad instynktami. Czyż nie mam racji? Idąc tym tropem, nikt z nas nie znalazł się tutaj z własnej winy. Popełniliśmy zbrodnie przez słabość, uległość wobec żądz...

– Nie rozumiem – rzekł po chwili Czacha.

– Taa, spodziewałem się tego. – W głosie chudzielca słychać było drwinę. – Słyszałeś o takim pojęciu jak człowieczeństwo?

– No, tak. Słyszałem kiedyś. Dawno temu.

– Czymże zatem jest człowieczeństwo? – Frank odczekał chwilę i gdy nie uzyskał odpowiedzi, zadał kolejne pytanie: – Co różni człowieka od zwierząt? – Tym razem nie czekał na odpowiedź, tylko mówił od razu: – Otóż człowiek potrafi okiełznać instynkty. Jego rozum jest w stanie przezwyciężyć zwierzęce żądze. Właśnie dlatego często mówi się, że człowiek posiada wolną wolę. I ta cecha różni go od zwierząt. Jednak u niektórych ludzi owe zwierzęce popędy są niesłychanie silne. O wiele silniejsze niż u większości społeczeństwa. Takie osoby zazwyczaj zostają kryminalistami. Ale czy to ich wina? Na przykład, kiedy ktoś zabija, bo nie potrafi zwalczyć w sobie potrzeby zabijania. Wtedy zwyczajnie zwierzęcy instynkt myśliwego zwycięża z rozumem. To samo ma miejsce, gdy ktoś gwałci: robi to, bo nie potrafi zapanować nad swym wynaturzonym libido.

– A jeśli ktoś zabija dla pieniędzy? – zapytał Gordon.

– Wówczas także nie potrafi zwalczyć zewu natury. – Frank zapewne się uśmiechnął. Chociaż tego nie widziałem, byłem pewien. – Ten zew nazywa się chciwością. Tak, koledzy! Chciwość to jeden z najbardziej pierwotnych instynktów, który nierozerwalnie wiąże się z egoizmem. A egoizm to podstawowe prawo rządzące królestwem zwierząt. Silny osobnik przetrwa, słaby padnie ofiarą. Silny odbierze słabemu najlepszą część pożywienia i zapłodni wszystkie samice. U zwierząt drapieżnych zawsze najpierw pożywia się samiec alfa, a dopiero na samym końcu najsłabsze osobniki w stadzie. Jeżeli dla nich nie wystarczy mięsa? Czy któregoś z silniejszych kolegów to w ogóle obejdzie?

Udało mi się otworzyć oczy. Otaczała mnie gęsta mgła. Po chwili zamajaczyły w niej trzy niewyraźne sylwetki.

– Patrzcie! – wrzasnął Czacha. – Obudził się!

– No proszę. – Poczułem oddech Gordona na twarzy. – Słyszysz mnie, gnoju?

Jego oblicze wyłoniło się z mgły i wypełniło niemal całe pole widzenia. Chciałem odpowiedzieć, lecz nie byłem w stanie poruszyć ustami.

– Kim jesteś? – Gordon mną potrząsnął. – Odezwij się, kurwa! Po co byłeś w Prezbiterium? Kto cię tam wysłał?

Traciłem świadomość. Gordon wymierzył mi policzek.

– Nie odpływaj, chuju! Mów! Co jest w Prezbiterium?!

– Daj spokój. – Głos Franka. – Nic ci nie powie. Jest zbyt słaby.

– Podaj hasło otwierające drzwi! – Gordon znów mną potrząsnął. – Hasło! – Kolejny policzek.

– Odpuść. Nie widzisz, że ledwo żyje?

Twarz Gordona zniknęła pośród mgły. W jej miejscu pojawiło się wychudzone oblicze Franka.

– Wiem, że mnie słyszysz – powiedział chudzielec. – Wiele o tobie myślałem. I o pytaniu, które kiedyś mi zadałeś. Odpowiem ci na nie. Powiem ci, dlaczego nie uwolniłem samego siebie od uciążliwego

brzemienia, którym jest życie. – Westchnął. – Nie zrobiłem tego, ponieważ byłoby to wbrew prawom natury. Pamiętasz? Silniejszy musi przetrwać. A ja jestem tylko zwierzęciem, zwykłym ssakiem. Odbieranie sobie życia byłoby wbrew instynktom. Zwierzę walczy o przetrwanie do upadłego, nawet jeśli jego egzystencja pozbawiona jest sensu.

Byłem coraz słabszy. Powieki zamykały się same, bez udziału mojej woli.

– Przenieśmy go na prycz – powiedział Gordon. – Może dojdzie do siebie.

– Wątpię – rzucił Frank. – Stracił mnóstwo krwi.

– Spróbujmy. Nie mamy nic do stracenia. Najwyżej zdechnie.

Gdy mnie podnosili, ostatkiem sił otworzyłem oczy. Mgła na moment ustąpiła. Resztkami świadomości rozpoznałem, że wciąż znajduję się w korytarzu obwodowym. Ostatni raz spojrzałem w iluminator. Mój wzrok spoczął na gazowej planecie. Nie będzie mi dane zobaczyć jej z bliska.

I tylko ostatnia myśl uderzyła mi do głowy – Ja nie znam żadnego hasła. Ja nie jestem szpiclem. My… my wszyscy jesteśmy tylko marionetkami. Ktoś nami steruje. Wysłali nas tu, byśmy wypełnili ich misję. Nic nie jest dziełem przypadku. Wszystko zamierzone. Te implanty wszczepiono wszystkim.

W uszach znów zadźwięczały mi jej słowa: „Zenit nad nami, a nadir pod nami.”

CZĘŚĆ DRUGA

WOJNA INSTYNKTÓW

Bernard westchnął z niecierpliwością. Krople potu spływały mu po karku, następnie, połączywszy się w cienką strużkę, pędziły wzdłuż pleców, powodując niemiłe łaskotanie. Wykonał kilka nerwowych ruchów wewnątrz skafandra, aby złagodzić to nieprzyjemne uczucie, po czym wyprężył wszystkie mięśnie i na powrót zastygł w pełnej napięcia pozie. Z uwagą obserwował właz lądownika. Tylko kilkadziesiąt centymetrów pokrytej srebrzystą farbą blachy dzieliło go od miejsca, będącego spełnieniem dziecięcych marzeń. Żadne z ziemskich wykopalisk archeologicznych, w których miał okazję kiedykolwiek uczestniczyć, nie mogło równać się z tym, co czekało go na zewnątrz. Na Ziemi wszystko było znajome, ludzkie. Kwestią czasu było zdemaskowanie tych samych, powtarzających się uparcie mechanizmów sterujących rozwojem lub upadkiem poszczególnych cywilizacji. Fascynującą i godną zbadania różnicę pomiędzy odrębnymi kulturami stanowiła jedynie oprawa. Pod nią zawsze skrywała się uniwersalna historia wojen i intryg klas rządzących, okupiona cierpieniem milionów poddanych. Bernard pokładał wielkie nadzieje w owym, oddalonym o ponad czterdzieści lat świetlnych od Błękitnej Planety, globie. Choć w wyniku wieloletniej pracy naukowej zrodziła się w nim ogromna wręcz niechęć do elit i rozczarowanie gatunkiem ludzkim jako takim, najgłębsze pokłady jego duszy wciąż zachowały resztki idealizmu. Wierzył, że jeśli nie na Ziemi, to w jakimś innym miejscu w Kosmosie musiała powstać cywilizacja, która nie została zbudowana na podwalinach okrucieństwa, bezwzględności i tyranii pojedynczych jednostek. Na myśl o tym wstrząsnął nim przyjemny dreszcz ekscytacji. Pogrążony w rozmyślaniach, zerkał od czasu do czasu na towarzyszącego mu

astrobiologa. Na twarzy Edgara także malował się pełen napięcia wyraz.

Z odrętwienia wyrwał ich szorstki głos kapitana Jenkinsa, dobiegający z interkomu. Dowódca najwyraźniej postanowił udzielić im kolejnych „bezcennych” rad.

– Do moich obowiązków należy przypomnienie panom raz jeszcze o przestrzeganiu ustalonego na ostatniej naradzie porządku prac eksploracyjnych. Proszę poruszać się po obszarze objętym badaniami zgodnie z omówionymi szczegółowo planami działań. W razie zaistnienia sytuacji wyjątkowej należy bezwzględnie postępować według procedur bezpieczeństwa, zatwierdzonych przez Sztab Badań Międzyplanetarnych Federacji Ziemskiej. Instrukcje mają zastosowanie zwłaszcza w przypadku zaobserwowania materii organicznej. Należy wówczas niezwłocznie wrócić do lądownika, a jeżeli nie będzie to możliwe, pozostać w ukryciu, unikając bezpośredniego kontaktu, i czekać na dogodną okazję do odwrotu.

– Tak jest, szefie – odparował Bernard. – Jeśli na naszej drodze staną autochtoni, przeprosimy ich po dżentelmeńsku i powiemy, że wpadniemy trochę później, bo najpierw musimy porozmawiać z kierownictwem.

Drażnienie Jenkinsa sprawiało mu przyjemność. Dobrze wiedział, że dowódca nie znosi, gdy ktoś zwraca się do niego „szefie”.

– Doktorze Trentmann – wycedził Jenkins – dlaczego zawsze pan wszystko utrudnia? Dla własnego bezpieczeństwa powinien pan postępować zgodnie z procedurami.

Ostatnie zdanie wypowiedział z typową dla siebie zajadłością, wyraźnie akcentując słowo „procedury”.

Głupie pieprzenie – pomyślał Trentmann. Oczywistą sprawą było, że na Sargonie od dawna nie ma żadnych form życia. Przez prawie pół roku uważnie obserwowali całą powierzchnię księżyca za pośrednictwem trzech satelitów, a płaskowyż Nannar, gdzie wylądowali, był od pięciu miesięcy sondowany przez bezzałogowy łazik planetarny B-3. Po co więc to bezsensowne gadanie?

Po krótkiej pauzie, która potrzebna była Jenkinsowi na ostudzenie emocji, dodał już ze spokojem w głosie:

– Wystarczająco dużo ludzi straciliśmy. Wiem, że z wiadomych przyczyn śmierć tutaj nie wydaje się być tak przerażającą wizją jak na Ziemi, lecz pomyślcie panowie: jeszcze jeden, dwa trupy i możemy zwijać interes. A chyba tego nie chcecie. Proszę zatem o rozsądek i zachowanie ostrożności. Nie zapominajcie o tym, że na księżycu znajdują się wciąż działające urządzenia, skonstruowane przez obcy gatunek, o czym świadczy przekaz interferencji telesynchrastycznej. Należy zatem mieć się na baczności. Zrozumiano? Doktorze Trentmann? Doktorze Mole?

– Tak jest! – przytaknął bez chwili zawahania Edgar.

Bernard zaśmiał się w duchu, ponieważ był pewien, że Mole zrobił to na odczepnego, nie chcąc przedłużać w nieskończoność dyskusji, która do niczego nie prowadziła. Znał Edgara nie od dziś i doskonale wiedział, że jeżeli na przykład znaleźliby tutaj sargonańskiego, przerośniętego kuzyna *Antirrhinum majus* – potocznie zwanego lwią paszczą – Ed byłby pierwszym, który włożyłby głowę do kielicha rośliny, żeby zobaczyć z bliska jej wnętrze. Przypomniały mu się wykopaliska w jakiejś dziurze w Meksyku, gdzie pracowali razem kilkanaście lat temu. Edgar wspólnie ze swoją sekcją badał okoliczną florę, usiłując odtworzyć wygląd tego miejsca w czasach świetności, zanim działalność człowieka i zmiany klimatu przemieniły je w półpustynię. Naukowcy odkryli wówczas podziemny labirynt, który – zgodnie z inskrypcjami na ścianach – stanowił przejście do krainy umarłych. Sam ów fakt nie byłby niczym nadzwyczajnym, gdyby nie drobny szczegół: według wyrytych sentencji, drogę do podziemnego świata można było odnaleźć tylko po wypiciu wywaru z pewnego gatunku kaktusa, dość powszechnego w tamtej okolicy. Działanie mikstury miało polegać na wyostrzeniu zmysłu wzroku i zaadaptowaniu go do ciemności, a także na umożliwieniu duchowego połączenia z przodkami. Edgar, nastawiony do legendy bardzo optymistycznie, opił się tajemniczej substancji

i ruszył dziarsko przed siebie, ciągnąc za rękaw dużo bardziej sceptycznego Bernarda. Twierdził, że musi na własnej skórze zaznać tego, co odczuwali ludzie, wchodzący do owych czeluści setki lat wcześniej, i że jego moralnym wręcz obowiązkiem, jako naukowca, jest sformułowanie racjonalnego wytłumaczenia dla opisanych w inskrypcjach mitów. Niestety, dalszy ciąg nie był już tak ekscytujący, jak się zapowiadał. Przetrząsanie ciemnych korytarzy zajęło im wiele godzin. Ed był przy tym całkowicie nieprzydatny, a momentami nawet kłopotliwy. Na przemian wybuchał śmiechem lub krzyczał przeraźliwie. Wykazywał także skłonności do autoagresji, uderzając głową w ścianę tunelu. Na szczęście w porę do akcji wkroczyła ekipa ratunkowa, która namierzyła obu naukowców dzięki ich geolokalizatorom. Ktoś, kto czuwał przy aparaturze monitorującej na górze, zauważył, że dwie kropki poruszają się po ekranie monitora całkowicie chaotycznie. Taki był właśnie Ed. Pełen pasji, jednak trochę nieodpowiedzialny.

– Skoro dogadaliśmy się w kwestii podstawowych zasad bezpieczeństwa – ciągnął Jenkins – przypominam także o konieczności udania się do obszaru o współrzędnych 324-859, gdzie czeka bezzałogowy pojazd planetarny B-3. Urządzenie należy przetransportować do lądownika i zabrać z powrotem na statek. Informuję również, że od chwili obecnej do końca zaćmienia pozostały cztery godziny. Po tym czasie temperatura na powierzchni księżyca wzrośnie do poziomu krytycznego i kontynuowanie prac nie będzie możliwe. Do lądownika proszę wrócić najpóźniej za trzy godziny i dwadzieścia minut. Wyznaczonej godziny należy przestrzegać bezwzględnie. Zwłoka grozi śmiercią.

Znów te truizmy – pomyślał Trentmann. – Czy kiedyś mu się znudzi?

Na szczęście kapitan w końcu zamilkł, a w kabinie lądownika zapanowała cisza. Po chwili, monotonny głos komputera pokładowego rozpoczął odliczanie. Kiedy zakończył, właz lądownika zaskrzypiał metalicznie. Nieprzyjemny dźwięk oznaczał zwolnienie blokad.

Trentmann przekręcił pokrętło i pchnął klapę. Obaj pasażerowie z niemałym trudem wydostali się przez wąski, owalny otwór i stanęli na powierzchni księżyca. Byli pierwszymi ludźmi na Sargonie. To naprawdę wielka chwila dla ludzkości. Niestety poza nimi samymi chyba nikogo ten fakt nie obchodził.

Krajobraz, który ukazał się ich oczom, zapierał dech w piersiach: masywne, rozległe wzgórze o łagodnych zboczach, na którego szczycie stała dziwaczna budowla – coś na kształt kopuły, usianej czarnymi otworami. Dalsze obiekty ginęły w obłokach szarego pyłu, wyziewach Anu, ogromnego wulkanu, który nieustannie wypluwał tony popiołu w pobliżu północnego bieguna Sargona. Od południa do wzniesienia przylegały ruiny, najpewniej pozostałości dawnego, wspaniałego miasta. Sprawiały wrażenie, że przycupnęły tu tylko na moment, chcąc odpocząć w cieniu góry, i zaraz wyruszą w dalszą podróż. W rzeczywistości tkwiły w tym miejscu od co najmniej kilku tysiącleci. Opuszczone, zapomniane i samotne. Przez ten czas niszczały, przemieniając się stopniowo w skupisko nieregularnych brył, osobliwą gromadę niepokojących kształtów. Migotliwa, żółta poświata rzucana przez 55 Cancri A dodawała owej scenerii aury tajemniczości. Widok przypominał nieco film puszczony w przyspieszonym tempie, a gwałtownie tańczące cienie powodowały złudzenie, że ruiny znajdują się w ciągłym ruchu. Pomimo tego niesamowitego efektu, najbardziej uderzała martwota tego miejsca. Także kolory, wśród których dominował szary oraz żółty, nie dodawały mu życia, a wręcz pogłębiały ponury nastrój. Jedyną pewną rzeczą był fakt, że ktokolwiek zamieszkiwał to miasto, dawno już je opuścił i pozwolił czasowi odcisnąć nieubłagane piętno. Bernard zaczął rozmyślać, jacy musieli być mieszkańcy Sargona. Przypomniał sobie ziemskie wschody i zachody słońca, które przynosiły ukojenie. Tutejsze miały zupełnie innych charakter. Były pełne napięcia i niepokoju. Jakaż więc powstała tutaj sztuka? Jaka filozofia?

Bernard obejrzał się za siebie, chcąc zobaczyć gwiazdę. Rozświetlony krąg od razu oślepił go intensywnym światłem,

zmuszając do opuszczenia przyłbicy z ciemnego szkła, dotychczas skrytej w górnym panelu kasku. Widok, który ujrzał przez osłonę, przyprawił go o chwilowy zawrót głowy i szybsze bicie serca. Oto na nieboskłonie rozgrywało się, mrożące krew w żyłach widowisko. Zakryty niemal całkowicie przez Galileo żółty karzeł wypluwał z furią języki ognia i otaczał jaskrawym pierścieniem nieszczęsną planetę, jak gdyby chciał ją pożreć. Gazowy olbrzym nie pozostawał bierny. Na jego powierzchni, niczym w akcie buntu, szalała burza – gwałtowniejsza niż jakakolwiek, którą może sobie wyobrazić człowiek. Rdzawe kłęby gazów wrzały wściekle, tworząc rozmaite, zmieniające się niczym w kalejdoskopie kształty. W niektórych miejscach przybierały formę pędzących z zawrotną prędkością, gigantycznych trąb powietrznych, gdzie indziej wyglądały jak potężne smugi lub pasy krążące wokół planety. Czasami burza słabła, by za chwilę przybrać na sile. Bernard nawet odniósł wrażenie, że słyszy basowy jęk, krzyk rozpaczy Galileo w obliczu nadchodzącej zagłady. Wszystko działo się tak blisko, niemal na wyciągnięcie ręki. Jakby pogrążone w przerażającym *danse macabre* ciała niebieskie miały za chwilę spaść na niego i pochłonąć bez reszty. Pomimo brutalności owego toczącego się od tysięcy lat spektaklu, nie ogarnął go strach. Doznał za to dziwnego, trudnego do opisania uczucia. Był to smutek i spokój zarazem. Dotarło do niego prawdziwe znaczenie słów „potęga Wszechświata”. Zdał sobie sprawę z faktu, jak mało znaczy wobec sił natury. To spostrzeżenie nie sprawiło mu przykrości. Przeciwnie, przyniosło ulgę. W jednej chwili wszystkie ludzkie problemy, namiętności – i te piękne, i te prowadzące do wszelkiego rodzaju okrucieństw – wydały mu się nieistotne.

Nieopodal Galileo, otoczonego niespokojnym pierścieniem złotego blasku, widniała czerwona kula. Nieruchoma, spokojna 55 Cancri B była zupełnie obojętna na przerażające widowisko, odbywające się tuż obok niej (tuż obok – w skali kosmicznej; w rzeczywistości: dziesiątki milionów kilometrów). Tkwiła na niebie niczym szkarłatny, pełen majestatu posąg.

Bernard zwrócił się ponownie ku wzgórzu i ruinom. Próbował rozpoznać jakieś znajome kształty, niestety obserwacji nie ułatwiała atmosfera przesycona wyziewami czynnego wulkanu. Podniósł przyłbicę kasku, aby widzieć lepiej, następnie ze wszystkich sił wytężył wzrok. Mimo że dalsze budowle ginęły w wulkanicznej mgiełce, zdołał dostrzec kilka wyraźniejszych konturów. Wypatrzył zgrupowanie piramid schodkowych, podobnych nieco do tych, które niegdyś na Ziemi wznosili Majowie: zwyczajne, kanciaste ostrosłupy o podstawie kwadratu i ściętym wierzchołku. Wyglądały dosyć prymitywnie, lecz możliwe także, że Bernard na pierwszy rzut oka źle ocenił ich walory estetyczne. Równie dobrze, pod warstwą wszędobylskiego kurzu mogły skrywać się misternie wykonane elewacje.

Przeniósł wzrok na budowlę wzniesioną na szczycie wzgórza. O ile piramidy schodkowe z łatwością można było sklasyfikować według ludzkich kategorii, o tyle ów obiekt nie budził skojarzeń z niczym. Z olbrzymiej kopuły sterczały dziesiątki kominów. Wiele z nich uległo poważnym uszkodzeniom. Niektóre całkowicie odpadły, pozostawiając na powierzchni półsfery ziejące czernią dziury. Najprawdopodobniej w czasach świetności budowla musiała przypominać gigantycznego jeża. Ale jej przeznaczenia nie sposób było nawet odgadnąć. Równie tajemniczo wyglądało pasmo usytuowanych na zboczu małych tworów, przypominających dzbany o wąskich szyjkach z wylotami skierowanymi prostopadle do powierzchni stoku. Reszta szczegółów była trudna do wyłowienia, zarówno ze względu na słabą widoczność, jak i grę światła, którego promienie nieustannie zmieniały intensywność.

– Czas ucieka, Bernardzie! – Głos Edgara, wydobywający się z głośnika w kasku, przerwał rozmyślania archeologa.

Ed sprawdzał właśnie stan techniczny pojazdu planetarnego, który oprócz dwóch naukowców musiał pomieścić kilka niezbędnych do dalszej pracy przyrządów badawczych oraz zapasowe butle z tlenem. Bernard, nie ociągając się dłużej, ruszył w kierunku

towarzysza i po chwili obaj jechali niewielkim wehikułem, obrawszy sobie za cel miejsce, w którym czekał bezzałogowy łazik planetarny. Chcieli jak najszybciej wypełnić obowiązki, by mieć więcej czasu na zbadanie sargoniańskich ruin. Pojazd kołysał się i podskakiwał na wydmach usypanych z szarego pyłu, jednak Mole, który siedział za kierownicą, wciskał gaz do dechy, nie zwalniając ani na moment. Trentmann zerkał na niego od czasu do czasu z niepokojem. Na szczęście już po niespełna minucie łazik ukazał się na horyzoncie. Zatrzymali się nieopodal niego i wysiedli. Zadanie wypełnili bez większych trudności i po paru minutach maszyna tkwiła w bagażniku pojazdu.

– Bardzo dobrze – pochwalił ich przez głośnik Jenkins. – Najważniejszy punkt programu został zrealizowany. Sprzęt udało się odzyskać.

Najważniejszy punkt – pomyślał Bernard. – Dla kogo najważniejszy? Chyba tylko dla Jenkinsa.

Następnym celem podróży była położona najbliżej piramida schodkowa. Edgar znów testował możliwości pojazdu. Maszyna trzęsła się niemiłosiernie i podskakiwała na każdym wyboju. Czasem nawet szybowała pół metra ponad powierzchnią terenu, co przy 1,4 g było wyczynem ekstremalnym.

– Proszę prowadzić ostrożniej – upomniał ich Jenkins.

Słowa kapitana nie wywarły na astrobiologu większego wrażenia. Jego noga na pedale gazu nawet nie drgnęła.

Wreszcie dotarli na miejsce. Budowla, u podstawy której zatrzymali pojazd, była stosunkowo wysoka. Bernard ocenił ją na mniej więcej trzydzieści metrów, podobnie zresztą jak pozostałe, usytuowane nieco dalej obiekty. Wysiedli z maszyny i podeszli do pokrytej pyłem ściany. Trentmann przyłożył do niej dłoń odzianą w grubą rękawicę i zaczął delikatnie gładzić powierzchnię. Miał ochotę dotknąć muru gołymi palcami, ale zdejmowanie rękawicy i rozszczelnianie skafandra raczej nie wchodziło w grę. Co prawda atmosfera Sargona, złożona głównie z azotu, metanu i dwutlenku

węgla, nie była trująca, jednak nie zawierała również ani grama życiodajnego tlenu. Poza tym zagrożenie mogły stanowić nieznane wirusy bądź beztlenowe bakterie żyjące w atmosferze księżyca. Z drugiej strony, istnienie mikroorganizmów w tym miejscu wydawało się archeologowi mało prawdopodobne – żadna forma życia nie byłaby w stanie przetrwać w warunkach, które od stuleci panowały na Sargonie. Mimo to Bernard nie miał ochoty ryzykować i dowodzić empirycznie swoich tez. „Natura bywa nieobliczalna”, jak zwykł mawiać Mole. Na twarzy Trentmanna mimowolnie zagościł uśmiech. Gdyby teraz rozszczelnił kombinezon, na mostku rozpętałoby się prawdziwe piekło. Jenkins najpewniej wyskoczyłby ze skóry.

Archeolog zmiótł rękawicą warstwę szarego pyłu z niewielkiego fragmentu muru. Ściana połyskiwała metalicznie, była bardzo gładka, wręcz śliska. Bernard przyjrzał się jej dokładnie; nie zauważył żadnych śladów po narzędziach, za pomocą których została wykonana. Nie było również zdobień. Po wstępnych oględzinach wspólnie z Edgarem postanowili obejść budowlę dookoła. Rozeszli się w przeciwnych kierunkach w poszukiwaniu wejścia prowadzącego do środka lub przynajmniej schodów wiodących w górę. Jakież było ich zdziwienie, gdy spotkawszy się ponownie, odkryli, że żaden z nich nie znalazł niczego podobnego. Obeszli piramidę raz jeszcze, wypatrując wejścia, tym razem na wyższych kondygnacjach. Niestety, także bezskutecznie. Te przechadzki kosztowały ich wiele energii. 1,4 g na Sargonie robiło swoje. Nogi musiały dźwigać czterdzieści procent ciężaru więcej niż na Ziemi. To zupełnie tak, jakby każdy z nich nosił dodatkowo trzydzieści kilogramów na swoich barkach. A przecież skafander i butle z tlenem również sporo ważyły. Poruszanie się w tych warunkach było naprawdę wyczerpujące.

– To dość dziwne... – odezwał się Edgar przez głośniki w kasku Trentmanna. Dyszał ciężko, ale nie przestawał uważnie lustrować wzrokiem budowli. – Być może drzwi są gdzieś ukryte i trzeba znaleźć sposób, aby je otworzyć.

– Nie sądzę – odparł Bernard, usiłując wyrównać oddech. – Dokładnie obejrzałem z bliska te ściany. Złożone są z olbrzymich bloków, najprawdopodobniej irydowych, tak jak podejrzewaliśmy. Nigdzie nie ma żadnych przycisków, ukrytych klamek, ani dźwigni. Zero zaprawy, wszystko przylega do siebie tak ściśle, że nie włożysz żyletki. – Bernard zamyślił się na chwilę, unosząc wzrok. – Tylko jedna rzecz przychodzi mi do głowy. Widocznie coś ważnego musiało znajdować się na szczycie budowli, a istoty zamieszkujące to miejsce, docierały tam, wspinając się po tarasach.

– To raczej niemożliwe.

W głośniku coś nieprzyjemnie trzasnęło.

– Dlaczego tak uważasz?

– Pomyśl trochę. Wysokość tarasów jest znaczna. Mieszkańcy miasta musieliby być olbrzymami. Szczyt pomieściłby wówczas jednego, góra dwóch takich osobników. Jakie wobec tego zastosowanie miałaby budowla? Moim zdaniem byłaby bezużyteczna. – Edgar swoim zwyczajem nieco się zapowietrzył, a następnie zaczął powtarzać wypowiedziane wcześniej zdania na różne możliwe sposoby, co zazwyczaj irytowało Bernarda. Archeolog nie mógł jednak odmówić koledze racji. Porzucił koncepcję, według której tarasy pełniły rolę schodów, i zaczął rozważać inne możliwości.

– Może wejście jest zasypane? – zaproponował po chwili.

– To bardzo prawdopodobne. Wszędzie pełno wulkanicznego pyłu.

– Ciekawe, jak gruba jest warstwa w tym miejscu.

– Sprawdźmy to. – Mole nie zdążył nawet dokończyć tego zdania, a już klęczał na ziemi i entuzjastycznie odgarniał pył u podstawy piramidy. Bernard przyglądał się mu w milczeniu. Jego zdaniem, takie zabiegi nie miały najmniejszego sensu i były jedynie niepotrzebnym marnowaniem czasu. Postanowił jednak oszczędzić Eddiemu komentarzy na ten temat. Jak trochę się zmęczy, to mu się znudzi – pomyślał tylko.

Po wykopaniu dołka sięgającego kilkudziesięciu centymetrów, astrobiolog natrafił na litą skałę. Dalsze pogłębianie wykopu nie było

możliwe. Edgar wstał zawiedziony.

– W tym miejscu akurat nie nagromadziło się dużo pyłu – powiedział – więc drzwi nie są raczej zasypane.

Trentmann rozejrzał się.

– Wiatry wieją prawie zawsze od północy. Chłodniejsze masy powietrza z bieguna przemieszczają się w kierunku rozgrzanego równika. Wzgórze skutecznie osłania ruiny przed szkwałem z północy. Rzadko tu nawiewa.

Bernard dziwił się, że nie pomyślał o tym wcześniej.

– Może do wnętrza prowadzi jakiś podziemny tunel? – zasugerował Edgar.

Trudno było obalić tę tezę, ale równie trudno było ją potwierdzić.

Trentmann zerknął na zegarek. Ku swojemu zdziwieniu stwierdził, że od momentu lądowania upłynęła prawie godzina. Nie był to najlepszy moment na dysputy naukowe. Czas naglił, więc naukowcy postanowili dalsze rozważania odłożyć na później. Musieli optymalnie wykorzystać każdą sekundę, by zebrać jak najwięcej informacji, zanim 55 Cancri A wyłoni się z cienia Galileo, zalewając powierzchnię Sargona piekielnym żarem.

Wrócili do pojazdu najszybciej, jak potrafili. Trentmann czuł, że pod skafandrem cały lepi się od potu. Dyszał ciężko, kiedy stanął obok maszyny. Edgar dużo lepiej znosił wysiłek. Nic dziwnego – dysponował imponującym, muskularnym ciałem.

– Może tym razem ja poprowadzę? – zaproponował archeolog.

– Zapomnij o tym. Do jutra nie dotarlibyśmy do celu.

– Za to ty nas pozabijasz. W najlepszym wypadku zniszczysz pojazd, a pieszo na pewno nie zdążymy dotrzeć do lądownika na czas.

– Nie panikuj. – Mole zupełnie zlekceważył uwagi przyjaciela. Zdążył już usiąść na miejscu kierowcy i zapiąć pas. Beztroska, która pobrzmiewała w jego głosie, wywołała u Trentmanna nagły atak gniewu. Przez ułamek sekundy miał ochotę złapać Mole’a za fraki, wyciągnąć z pojazdu i zająć miejsce za kierownicą. Na szczęście w porę zdołał ostudzić emocje. Usiadł na fotelu pasażera i odwrócił

wzrok w kierunku Galileo, aby trochę ochłonąć. Nie mógł oprzeć się dziwnemu wrażeniu, że gazy na powierzchni planety kotłowały się teraz gwałtowniej. Po chwili zaczął się zastanawiać, dlaczego tak bardzo zdenerwowało go zachowanie Edgara. Astrobiolog miał wybitny talent do podgrzewania atmosfery swoimi nieodpowiedzialnymi wybrykami. Wielokrotnie podczas ich wspólnych wypraw na Ziemi wplątywali się przez to w bardzo nieprzyjemne sytuacje. Ale nigdy wcześniej Bernard nie odczuwał w stosunku do niego takiej złości.

– Doktorze Mole, proszę jechać ostrożniej! – w głośnikach zabrzmiał głos Jenkinsa.

On jest jak zdarta płyta – pomyślał Bernard. Tym razem był jednak wdzięczny dowódcy za tę interwencję, która nie dość, że była potrzebna, to jeszcze całkowicie rozładowała napięcie, jakie w nim narosło.

Ponownie ruszyli w drogę. O dziwo, astrobiolog wziął sobie do serca napomnienia towarzyszy i trochę mniej szarżował. Dzięki temu dalsza podróż przebiegła bez poważniejszych incydentów. Po niespełna dwudziestu minutach pojazd rozpoczął mozolną wspinaczkę po zboczu wzgórza. Pokonawszy mniej więcej połowę drogi wiodącej na szczyt, dotarł do skupiska dziwacznych, dzbankowatych obiektów, które Trentmann wypatrzył wcześniej, stojąc przy lądowniku. Z daleka nie wyglądały na zbyt pokaźne, ale w rzeczywistości okazały się całkiem spore. Długie, wąskie „szyjki”, wycelowane w nieboskłon, przywodziły na myśl gigantyczne armaty. Przez chwilę naukowcy rozważali zatrzymanie tutaj maszyny, chcąc obejrzeć dokładniej owe tajemnicze twory. Szybko jednak doszli do wniosku, że nie mogą sobie pozwolić na taką stratę czasu. Budowla na szczycie wzgórza fascynowała ich tak bardzo, że nie chcieli dłużej odwlekać momentu, w którym wreszcie przyjrzą się jej z bliska.

Pojazd znieruchomiał u podstawy ogromnej kopuły. W słuchawkach natychmiast zabrzmiał monotonny głos Jenkinsa:

– Od chwili obecnej do końca zaćmienia pozostało tylko dwie i pół godziny. Do lądownika muszą panowie dotrzeć czterdzieści minut wcześniej. Według moich szacunków powrót do lądownika zajmie pół godziny, więc na miejscu nie powinni panowie zabawić dłużej niż godzinę i dwadzieścia minut. Proszę kontrolować czas.

On jest nudniejszy niż pokładowy komputer – pomyślał złośliwie Trentmann.

– Tak jest! – odpowiedział entuzjastycznie Mole.

Bernard z trudem powstrzymał się od parsknięcia śmiechem.

Opuścili pojazd i podeszli do półsferycznej konstrukcji. Oby tym razem udało się znaleźć jakieś wejście – pomyślał Trentmann. Omiótł wzrokiem budowlę. Nie miał ochoty krążyć dokoła w poszukiwaniu drogi do jej wnętrza. Każdy krok na tym przeklętym księżycu był ogromnym wysiłkiem.

Kopułę pokrywała gruba warstwa pyłu. Edgar szybkim ruchem odgarnął kurz z niewielkiego fragmentu ściany, pozostawiając na powierzchni srebrzysty ślad. Faktura muru wskazywała na to, że został wykonany z tego samego materiału co piramidy, tak samo starannie i bez pozostawienia śladów po narzędziach wykorzystanych w procesie budowlanym.

– Rozdzielmy się i poszukajmy wejścia – rzucił Mole.

– Obawiam się, że to bezcelowe. – Bernard gorączkowo lustrował wzrokiem kopułę, szukając innego sposobu, aby dostać się do jej wnętrza. – Spójrz na tamten wlot. – Wskazał palcem jeden z nieuszkodzonych cylindrycznych kominów, skierowany poziomo. – Na oko jest jakieś dwa metry powyżej poziomu terenu. Może zdołamy do niego wejść.

Astrobiolog skinął. Zabrali z bagażnika linę z hakiem i ruszyli w stronę wskazanego przez Trentmanna kanału. Edgar podsadził Bernarda, który z najwyższym trudem wspiął się do wnętrza rury.

– Ciążenie na tym księżycu mnie wykończy – jęknął archeolog.

Teraz musiał znaleźć miejsce, w którym możliwe będzie zaczepienie liny. Inaczej nie zdoła wciągnąć do środka Mole’a.

– Proszę zachować ostrożność – zadudnił w głośnikach Jenkins.

Trentmann tym razem nie miał czasu na skomentowanie słów dowódcy. Szedł cylindrycznym tunelem i oglądał uważnie ściany, w poszukiwaniu miejsca nadającego się do zaczepienia haka. Kanał znajdował się w łagodnym spadku w kierunku wnętrza kopuły. Bernard przemierzył całą jego długość i zakotwiczył linę dopiero w przeciwległym końcu. Mole wspiął się do tunelu i już po chwili obaj naukowcy podziwiali wnętrze półsferycznej budowli. Widok był olśniewający. Smugi światła, wpadające przez otwory i walcowe kominy, zalewały sklepienie złotawą poświatą. Szaleńczy taniec Galileo wokół 55 Cancri A sprawiał, że cienie na ścianach były w ciągłym ruchu. Wnętrze kopuły zdobiły reliefy, a w zasadzie jeden ogromny relief, przedstawiający dziwaczną roślinność: tysiące długich, cienkich łodyg skierowanych pionowo, ku górze. Z każdej wyrastały setki wiotkich pędów i spłaszczonych liści. Na skutek tańca półcieni nienaturalnie smukłe pnącza falowały i wiły się niczym chmara węży.

– To jest naprawdę piękne – zauważył Edgar.

Naukowcy przymocowali linę na drugim końcu kanału i opuścili się na dno kopuły. Na podłodze zalegała gruba warstwa pyłu. W samym środku obszernej sali stało sześć prostopadłościennych bloków tworzących krąg. Już z daleka widać było, że każdy z nich pokryty jest starannie wykonanymi wzorami. Badacze bez namysłu ruszyli w ich stronę. Gdy dotarli na miejsce, zaczęli uważnie analizować wyryte na monolitach sceny. Znaczna część płaskorzeźb przedstawiała istoty o opływowych, wężowatych ciałach ze szczątkowymi odnóżami. Owe pozbawione oczu stworzenia, owinięte wokół gałęzi lub łodyg, mogły być przedstawicielami pospolitych gatunków zwierząt, które w zamierzchłych czasach zamieszkiwały porośnięte bujną roślinnością obszary Sargona. Wśród setek obrazów Trentmannowi udało się wypatrzeć także znajome kształty: w gąszczu roślin tkwiły dzbankowate twory, do złudzenia przypominające budowle wzniesione na zboczu wzgórza. Ich szyjki uwalniały mrowie

niewielkich, kulistych obiektów, które następnie, jakby niesione przez wiatr, szybowały w różnych kierunkach. Niektóre ginęły wśród zarośli, inne opadały swobodnie na piaszczyste podłoże. Być może były to zarodniki dające początek owym niebosiężnym roślinom. Bernard odczuł żal, że nie dane było mu zobaczyć tego rajskiego ogrodu w czasach świetności. Teraz, gdy wszystko pochłonęła pustynia, mógł tylko wyobrażać sobie, jak bajecznie wyglądało to miejsce w zamierzchłej przeszłości. Pomyślał przez moment o Ziemi. Wzdrygnął się na wspomnienie o wyniszczonym przemysłem Błękitnym Globie, gdzie ludzkość desperacko usiłowała uratować resztki skarlałej i przetrzebionej roślinności, tworząc rezerwaty objęte ścisłą ochroną. Nie wspominając o zwierzętach, które zostały zdziesiątkowane w wyniku destrukcyjnej działalności człowieka.

– To bardzo interesujące! – Z rozmyślań wyrwał go głos Edgara, który również z wielkim zaangażowaniem oglądał kunsztowne reliefy. – Spójrz tylko na to! – Bernard podszedł do niego. – Wydaje mi się, że mamy do czynienia z przedstawieniem jakiegoś cyklu rozwojowego. – Mole wskazał kilka struktur, przypominających kształtem stożkowe, smukłe kopce. – Myślę, że to kokony, w których rozwijają się postacie larwalne.

Bernard przyjrzał się podobiznom stworzeń obok kopców. Każde z nich posiadało owalne ciało w kształcie lekko spłaszczonej elipsoidy. Z dolnych partii korpusu wyrastały cztery cienkie wypustki, zakończone ostrymi szponami. Uwagę zwracało coś na kształt wygiętego w łuk, długiego czułka, sterczącego z czoła. Ów dziwaczny organ zwieńczony był niewielką kulą, która zwisała przed oczami stwora. Jak one się poruszały? – pomyślał Trentmann. Ich kończyny nie były skierowane w dół, tylko do przodu – wszystkie cztery.

– Czy nie są to podobizny jakichś bóstw? – zapytał.

Edgar zignorował pytanie. Z fascynacją dotykał płaskorzeźb. Powiedział:

– To mi przypomina ziemskie głowonogi z rodzaju… – urwał. Sprawiał wrażenie mocno skoncentrowanego. Po chwili spojrzał na

Bernarda i rozłożył ręce w geście niemocy. – Bernardzie, nie wiem, co się ze mną dzieje. Od jakiegoś czasu mam problemy z pamięcią. Zaczęło się niewinnie. Ot, wyleciało mi z głowy kilka łacińskich nazw. Ale ostatnio doszły kłopoty z koncentracją. Moja pracownia na statku przypomina śmietnik. Staram się zapisywać na kartkach różne koncepcje, które przychodzą mi do głowy, jednak łapię się na tym, że coraz rzadziej potrafię wszystko zebrać do kupy.

– Nie denerwuj się, Ed. – Bernard poklepał przyjaciela po plecach. – Nie mówiłem ci o tym, lecz ze mną też dzieje się coś dziwnego. Miewam ataki gniewu. Na Ziemi nigdy się nie zdarzały.

– Jak myślisz, dlaczego?

– Nie wiem. Przyczyn może być wiele. Cisza i pustka Kosmosu, tęsknota za Ziemią, izolacja, stan nieważkości, wojskowa dyscyplina…

Edgar się zaśmiał:

– O tak, wojskowa dyscyplina robi swoje.

Obaj dobrze wiedzieli, że kapitan Jenkins słyszy ich rozmowę w głośnikach na mostku.

– Może to wina tej przeklętej planety – ciągnął Trentmann. – Gorącego, gazowego olbrzyma. Działa w jakiś sposób na naszą psychikę. Cokolwiek to jest, nie możemy ulec.

– Bernardzie – w głosie Edgara słychać było rezygnację – jestem naprawdę zmęczony…

– W porządku, rozumiem. Zróbmy po prostu kilka zdjęć i wracajmy do lądownika. Przeanalizujemy materiały na górze.

Astrobiolog wydał z siebie ciche westchnienie i, przystawszy na propozycję przyjaciela, zabrał się za fotografowanie najbardziej interesujących reliefów.

***

Jenkins raz jeszcze omiótł wzrokiem pulpit, sprawdzając wskazania przyrządów. Wyglądało na to, że wszystko jest w należytym porządku. Górne ekrany wyświetlały obrazy przesyłane z trzech satelitów krążących wokół Sargona. Pierwszy z nich, A-1, znajdował się nad

olbrzymim płaskowyżem Nannar. Na monitorze widać było dziwaczne formacje skalne, rozrzucone nieregularnie na szaropiaszczystej pustyni. Trentmann znów będzie miał co analizować – pomyślał kapitan z niechęcią. Wzrok szybko przeniósł na obraz z drugiego satelity oznaczonego symbolem A-2. Orbiter przelatywał nad wielką rozpadliną Niniwa, ogromną szczeliną, ciągnącą się na setki kilometrów i tworzącą kształt podobny do litery „T”, z poziomą linią wygiętą niesymetrycznie ku górze. Na Sargonie nie brakowało rozpadlin, można było śmiało powiedzieć, że ów rodzaj ukształtowania terenu, należy tutaj do pospolitych, jednakże żadna z formacji nie mogła równać się z Niniwą. Rozpadlina centralna, jak zwykł ją też czasem nazywać Trentmann, była naprawdę olbrzymia: pozioma bruzda „T” miała długość mniej więcej trzech tysięcy kilometrów, a pionowa ciągnęła się na co najmniej sześć i pół tysiąca. Nikt nie potrafił oszacować głębokości szczeliny, lecz Trentmann twierdził, że tak rozległe pęknięcie litosfery z pewnością nie jest płytkie i upierał się przy szacunkowej głębokości co najmniej ośmiu kilometrów. Obraz z trzeciego satelity, A-3, w całości pokrywała czerń. Orbiter, przez dłuższy czas poddany morderczemu promieniowaniu gwiazdy, zmuszony był zastosować dodatkowe osłony termiczne, zakrywające również obiektyw kamery. Jenkins dla pewności zerknął na wskazania temperatury. Na szczęście przyrządy nie sygnalizowały przegrzania, wszystko mieściło się w granicach normy. Izolacja termochłonna robiła swoje. Kapitan trochę żałował, że nie może zobaczyć obrazu z A-3, ponieważ satelita przelatywał akurat nad Anu, czynnym wulkanem, zlokalizowanym w pobliżu bieguna północnego Sargona.

Jenkins przeciągnął jeszcze leniwie wzrokiem po monitorach poniżej. Dwa ekrany wyświetlały obrazy z bezzałogowych łazików planetarnych. Szare, irydowe wzgórza wypełniały oba statyczne kadry, z tym że na pierwszym z nich w oddali majaczyły niepokojące kształty – strzeliste, stożkowe wieże, stłoczone na dnie rozległej doliny. Dziś były doskonale widoczne. W atmosferze Sargona musiało

unosić się wyjątkowo mało pyłu. Owe osobliwe twory nie dziwiły kapitana. W ciągu pięciu miesięcy, które minęły od lądowania pierwszego łazika w dolinie Aszur, zdążył się do nich przyzwyczaić. Pojazd utkwił tam na dobre, gąsienice ugrzęzły w wulkanicznym pyle, nie mogąc ruszyć z miejsca. Ujęcie kamery nie zmieniło się od ponad czterech miesięcy, a pojazd stał bezużyteczny. To drobne niepowodzenie złościło Jenkinsa. Priorytetem dla niego było realizowanie misji według ściśle określonego planu. Lubił z należytym wyprzedzeniem poukładać sobie wszystko w głowie, rozpracować kolejność zdarzeń w najdrobniejszych szczegółach, a następnie z precyzją, pieczołowitością i skrajnym oddaniem ów plan realizować. Nienawidził, kiedy coś go zaskakiwało. Aby uniknąć niespodzianek, potrafił w myślach tworzyć kilkanaście alternatywnych kombinacji, możliwych rozwiązań połączonych ze sobą niczym pajęcza sieć i uzależnionych jedna od drugiej. Człowiek na jego stanowisku musiał przewidywać absolutnie wszystko i na wszystko być zawsze przygotowanym. Jenkins jednak wiedział, że rozpatrzenie każdego możliwego problemu jest w praktyce niemożliwe. Choć w swej antycypacji potrafił posuwać się naprawdę daleko, zawsze pozostawał ten sam niezmienny, słaby punkt: czynnik ludzki. A niestety, w obecnej misji, czynnik ludzki był wyjątkowo słabym punktem.

Rzucił nerwowo papiery na pulpit. Myśl o dyletantach, którymi dowodził, przyprawiała go o mdłości. Niemal od dziecka był przyzwyczajony do twardej, wojskowej dyscypliny i do współpracy z profesjonalnymi żołnierzami, mającymi we krwi szybkie i sprawne wykonywanie rozkazów. Nie potrafił nawyknąć do dowodzenia bandą ekscentrycznych naukowców. Kiedy powierzono mu tę misję, spodziewał się przygody życia, ekscytującej podróży do oddalonego układu gwiezdnego, obfitującej w wiele trudnych wyzwań i skrajnych niebezpieczeństw. Nie przypuszczał, że jego rola będzie polegała na opiekowaniu się zgrają niesubordynowanych, lekkomyślnych nicponi, którzy lekceważą wszelkie przepisy bezpieczeństwa. Funkcja niańki zdecydowanie mu nie odpowiadała.

Rzucone na kokpit dokumenty, zamiast spocząć na blacie, odbiły się od niego i szeleszcząc, odpłynęły w przestrzeń, niesione brakiem grawitacji. Kapitan znów zapomniał, że przebywa w stanie nieważkości. Nadir krążył po orbicie, więc siła ciężkości, wynikająca z ciągłego przyśpieszania lub zwalniania statku, przestała działać. Jenkins z niezadowoleniem zaczął polować na fruwające wokół papiery. Chyba nigdy nie przywyknę do tego gówna – myślał, chwytając kolejne kartki.

Naszła go ochota, żeby wyjrzeć przez iluminator. Chciał zobaczyć 55 Cancri A. Szybko jednak uświadomił sobie, że w obecnej chwili jest to niemożliwe. Na Nadirze panowała „noc” – przynajmniej tak tutaj zwykło się nazywać tę fazę cyklu dobowego. Jenkis dobrze wiedział, że określenie to miało niewiele wspólnego z faktycznym stanem rzeczy i było raczej mylące, ale używał go w ślad za pozostałymi członkami załogi. Naukowcy traktowali to słowo jako swoisty skrót myślowy – choć nawet i w tym kontekście było skrajnie nielogiczne, ponieważ owa rzekoma „noc” tak naprawdę była dniem. Nieporozumienie wynikało z faktu, że Nadir krążył wokół Sargona, naturalnego satelity Galileo, gazowego olbrzyma, który z kolei poruszał się bardzo blisko gwiazdy 55 Cancri A – okrążał ją w niecałe piętnaście dni. Ta niezwykle ciasna orbita była powodem wysokich temperatur na powierzchni planety oraz w jej pobliżu. Termometry szalały również na Sargonie, jednakże tylko wtedy, gdy naturalny satelita znajdował się blisko gwiazdy. Kiedy krył się za kulą gazowego giganta, temperatura radykalnie spadała. To samo miało miejsce również i na Nadirze. Jeśli temperatura otoczenia przekraczała sześćdziesiąt stopni Celsjusza, statek uruchamiał dodatkowe chłodzenie, co wiązało się z opuszczeniem zewnętrznych zasłon na wszystkie iluminatory w korytarzu obwodowym. Za sprawą owych żaluzji na pokład nie docierał najdrobniejszy nawet promyk światła. Nic zatem dziwnego, że załoga nazwała ten okres „nocą”. Trwał on troszkę ponad sześć i pół godziny i był nieco dłuższy niż nadirski „dzień”, który zajmował niecałe pięć godzin. Długości owych faz,

które miały się nijak do tradycyjnych, ziemskich pór doby, odmierzanych uparcie przez wszystkie zegarki na statku, były kolejnym poważnym problemem dla Jenkinsa. Często zdarzało się, że kapitan przesypiał cały nadirski „dzień”, który akurat przypadał na czas ziemskiej nocy. Innym razem budzik zrywał go ze snu w połowie nadirskiej „nocy”. Jeszcze kiedy indziej szósta rano czasu ziemskiego trafiała akurat w połowie nadirskiego „dnia”. To niezsynchronizowanie czasu wskazywanego przez zegarki z fazą doby na Nadirze, było dla Jenkinsa prawdziwą zmorą. Od dziecka nawykł do wstawania o świcie, do porannej gimnastyki, regularnych treningów o wschodzie słońca – i teraz w żaden sposób nie potrafił odnaleźć się w nowej rzeczywistości. Chociaż z uporem maniaka trzymał się ziemskiego grafiku i nie odpuścił sobie nawet jednego porannego treningu, przebiegając co dzień długie kilometry obwodowym korytarzem, ciągle nie mógł pozbyć się uczucia, że coś jest nie tak z jego systematycznością, że coś odbywa się nieregularnie, jakby było poza jego kontrolą.

Same treningi w stanie nieważkości również były dla niego udręką. Buty z elektromagnesami w podeszwach pozwalały na sprawne poruszanie się po pokładzie, jednak bieganie w nich było znacznie mniej forsujące niż jogging na Ziemi. W związku z tym Jenkins musiał poświęcać zdecydowanie więcej czasu na ćwiczenia, męczył się dużo wolniej i wciąż odczuwał niedosyt.

Spojrzał na zegarek. Powoli dochodziła godzina zbiórki w jadalni. Jenkins przykładał dużą wagę do punktualności. Starał się nigdy nie spóźniać i tego samego wymagał od podwładnych. Niestety, w obecnej sytuacji nie mógł na to liczyć. Ludzie, którymi dowodził, wykazywali książkową wręcz niepunktualność. Zazwyczaj ogromnym problemem było zebranie ich wszystkich w jednym pomieszczeniu, o tej samej porze. Jenkins na początku misji, kiedy tylko doszedł do siebie po przejęciu nośnika, rozdał załodze zegarki ustawione według czasu ziemskiego – taki sam oczywiście miał również on – i poprosił o przestrzeganie ustalonych godzin. Niestety, jego słowa zostały

puszczone mimo uszu, o czym mógł przekonać się już na pierwszym zwołanym zebraniu. Trentmann przyszedł wówczas piętnaście minut po czasie, a doktor Mole nie przybył wcale. Jenkins oczywiście nie omieszkał udzielić im obu surowej reprymendy, ale archeolog od razu stwierdził, że był zbyt zajęty pracą badawczą, by zdążyć na czas, a astrobiolog, z rozbrajającą szczerością, usprawiedliwił się słowami: „Na śmierć o tym zapomniałem". Później kapitan musiał wysłuchiwać podobnych wymówek niemal dzień w dzień. Na każdym zebraniu był jakiś problem organizacyjny: to ktoś się spóźnił, to znów ktoś zapomniał, komuś stanął zegarek, ktoś nie miał czasu, ktoś inny zaspał. Naukowcy byli tak pochłonięci badaniami, że zupełnie nie dbali o sprawy najważniejsze: dyscyplinę, obowiązki oraz własne bezpieczeństwo.

Jenkins rozpiął pasy i energicznie wstał z krzesła. Czas na kolejne zebranie – pomyślał z niechęcią. Coś mocno zakłuło go w klatce piersiowej.

– Cholera – zaklął.

Wciąż nie mógł przywyknąć do cherlawego ciała, którym dysponował. Że też akurat jemu musieli przydzielić tak lichy egzemplarz. Nie wspominając o tym, że zastał go w opłakanym stanie. Poprzedni właściciel ledwo uszedł z życiem, mimo że jeszcze na Ziemi większość organów wewnętrznych zastąpiono mu syntetykami i to najlepszego gatunku. Co te zwierzęta tutaj wyprawiały? – zachodził w głowę Jenkins. Przez pierwsze trzy dni po przejęciu nośnika nie mógł w ogóle się poruszyć – nawet ciągłe przebywanie w kapsule medycznej nie pomogło – a przez kolejne trzy tygodnie był tak osłabiony, że nie potrafił wyjść z pryczy. W tym czasie załoga urządzała sobie niezłe harce, wpędzając go w jeszcze większą frustrację. Uczucie bezsilności pogłębiło się, kiedy zmuszony został do zdradzenia Trentmannowi kodu otwierającego drzwi wszystkich pomieszczeń dolnego pokładu. Zgodnie z regulaminem hasło powinien znać wyłącznie dowódca. Niestety, Jenkins był na tyle osłabiony, że nie dałby rady osobiście wprowadzić kombinacji na

klawiaturze numerycznej. W tym celu musiałby opuścić kapsułę medyczną, na co pod żadnym pozorem nie chciał wyrazić zgody Sztab. Jenkins był bardzo niezadowolony z decyzji przełożonych. Stracił cenne narzędzie, mogące w kryzysowej sytuacji uratować misję: nie potrafił już zablokować członkom załogi dostępu do mostku, maszynowni, laboratorium i doków. Między innymi dlatego tak bardzo ubolewał nad stanem zdrowia własnego nośnika. Kilka razy wnosił nawet do Sztabu o zamianę nośników, jednak odpowiedź dowództwa była zawsze taka sama: „Nie możemy pozytywnie rozpatrzyć Pańskiej prośby. Nośnik, którym Pan dysponuje, wykazuje najsilniejsze zdolności do interferencji telesynchrastycznej, co ma ogromne znaczenie dla stabilności połączenia oraz bezzakłóceniowych kontaktów z Ziemią.” Kapitanowi trudno było zaakceptować decyzję Sztabu, niestety zmuszony był przełknąć gorzką pigułkę. Niech tak będzie dla dobra misji – myślał niechętnie. Niewielkim pocieszeniem był dla niego fakt, że mógł trafić gorzej: na wychudzony i wątły nośnik – ciało więźnia Franklina Dunna, które przypadło w udziale archeologowi Trentmannowi. Dla Jenkinsa zdrowy, silny organizm był o wiele ważniejszy niż interferencja telesynchrastyczna, którą postrzegał jedynie jako kolejną dziwaczną dziedzinę fizyki, zajmującą się przepływami nie wiadomo czego w nie wiadomo jak odległych wymiarach. Kiedyś zjawisko to nazywano po prostu telepatią i uważano za zwykłą szarlatanerię. Do momentu aż jakiś nawiedzony naukowiec za pomocą skomplikowanych wzorów dowiódł jego prawdziwości. Jenkins pamiętał ze szkoły kadetów, że interferencja telesynchrastyczna ma coś wspólnego ze strunami drgającymi w wielu wymiarach, ale pozostałe szczegóły zatarły się w jego pamięci. Wyprowadzanie długich, matematycznych dowodów zawsze było dla niego nużące. Nie wspominając o bólu głowy, o który przyprawiały go zagmatwane wzory – „zygzaki”, jak zwykł je nazywać. Podobne zdanie na ten temat mieli koledzy Jenkinsa ze szkoły kadetów. Dla nich liczył się tylko aspekt praktyczny tego zjawiska. W szczególności militarny. Niestety, z interferencją

telesynchrastyczną zawsze wiązały się jakieś problemy. Połączenie zazwyczaj było niestabilne, a nośnik, z którym zerwano kontakt, często tracił zmysły. Jenkins obwiniał interferencję również o falę zabójstw na Nadirze. Tragiczne wydarzenia miały miejsce niemal zaraz po przeprowadzeniu tak zwanego „przejęcia próbnego”. Operacja ta, będąca rutynową procedurą dla statków klasy C, czyli takich, których załogę stanowili wyłącznie więźniowie, polegała na chwilowym przejęciu kontroli nad dwoma skazańcami. Miało to na celu zbadanie stanu technicznego statku, weryfikację poprawności kursu oraz sprawdzenie parametrów lotu. Procedura pozwalała uniknąć przykrych niespodzianek, mogących czyhać na załogę po „przejęciu ostatecznym” – w końcu ze statkiem nie było żadnego kontaktu przez kilkadziesiąt lat. Agenci wchodzący w ciała skazańców musieli przede wszystkim udać się na mostek i odczytać wskazania przyrządów. Na Nadirze do „przejęcia próbnego” wybrano więźniów numer dziewięć i jedenaście, Anselma Ramireza oraz Logana Millfoxa. Pierwszy z nich niedługo potem zginął, tak samo jak kilku innych w niewielkim odstępie czasu. Nikt nie wiedział, do czego naprawdę doszło na pokładzie Nadira, ale Jenkins nie miał wątpliwości, że przyczyną dramatycznych wydarzeń było „przejęcie próbne”. „Ludziom po tym odwala szajba” – powtarzał wielokrotnie. Rzadko zdarzało się, że statek pełen skazańców docierał do celu z załogą w komplecie. Samobójstwa były powszechne w warunkach wieloletniej, kosmicznej izolacji. Jednak to, co wydarzyło się na Nadirze, zdecydowanie odbiegało od normy. Plama skrzepłej krwi, którą znaleźli w mesie, ślady krwi w korytarzu obwodowym, narządy wewnętrzne w szybie windy towarowej, zmasakrowane zwłoki więźnia numer siedem, Josepha Vallanda, w łóżku jednej z kwater, no i wreszcie nośnik Jenkinsa w opłakanym stanie, z rozprutym brzuchem i raną kłutą na plecach – to wszystko naprawdę napawało przerażeniem. Co te zwierzęta tutaj wyprawiały? – powtarzał z niedowierzaniem Jenkins. Przez owe morderstwa załoga badawcza musiała zostać ograniczona do niezbędnego minimum; zrezygnowano

z drugiego oficera, astrofizyka, chemika, matematyka oraz geologa. Ludzie ci niemal do ostatniej chwili byli gotowi do wzięcia udziału w ekspedycji. Niestety, po rozpoczęciu procedury „przejęcia ostatecznego” okazało się, że skład naukowy musiał zostać drastycznie zredukowany. Sztab podjął trudne decyzje.

Kapitan opuścił mostek i zamknął za sobą drzwi, które zdobił tłoczony napis PRZBT (Pomieszczenie Rozruchowo-Zawiadowcze Bazy Transukładowej). Obuwie z elektromagnesami pozwoliło mu szybko przemierzyć korytarz i wejść po schodach na środkowy pokład. W jadalni czekała na niego miła niespodzianka – byli już wszyscy członkowie załogi. Jenkins nie potrafił wyjść z podziwu – tym razem przyszli na czas. Niestety, jego radość nie trwała długo, bo od razu spostrzegł inny problem: nikt nie zwrócił uwagi na przybycie dowódcy. Edgar Mole dyskutował zawzięcie z Trentmannem, a inżynier Green przysłuchiwał się uważnie rozmowie, nie spuszczając archeologa z oka. Kapitan pogodził się już z faktem, że nikt nie oddawał mu należytych honorów i nie salutował mu na korytarzu, nie wspominając o notorycznym braku regulaminowego nakrycia głowy u wszystkich jego ludzi, ale takie zachowanie było dla niego nie do przyjęcia. Wyglądało to tak, jakby zaczęli naradę bez niego.

– Panowie! – wrzasnął, marszcząc surowo brwi.

Green i Mole spojrzeli na niego ze zdumieniem. Trentmann spokojnie dokończył zdanie:

– … z całą pewnością nie są to naturalne wytwory skalne.

– Panowie – powtórzył raz jeszcze Jenkins, patrząc na Trentmanna.

Archeolog również odpowiedział spojrzeniem. W jego wzroku pojawiła się buta, jakaś nieokreślona wrogość. Trentmann zawsze w ten sposób patrzył na kapitana, a kapitan szczerze tego nienawidził.

Pieprzony chudzielec – pomyślał Jenkins.

– Zwołałem to zebranie – podjął – aby omówić szczegółowo pierwsze załogowe lądowanie na Sargonie, które według czasu ziemskiego odbyło się wczoraj o godzinie ósmej rano. Uczestniczyli w nim obecni tutaj: doktor Edgar Mole oraz doktor Bernard Trentmann. Chciałbym również ustalić dalsze plany badawcze na najbliższy tydzień. W związku z powyższym, proszę panów o zachowanie porządku obrad oraz o niezabieranie głosu w tematach niezwiązanych z omawianymi zagadnieniami.

Trentmann westchnął głośno. Cóż za starzyzna – pomyślał. Kapitan obrzucił go karcącym spojrzeniem.

– Zatem przejdźmy do punktu pierwszego. Proszę o raport z lądowania.

Trentmann i Mole spojrzeli na siebie. Żaden z nich nie kwapił się do zdawania meldunku. Trwało to dłuższą chwilę. W końcu astrobiolog, ociągając się, odpiął pasy, wstał i zaczął relacjonować przebieg ekspedycji. Mówił szybko i chaotycznie, co jakiś czas zerkając błagalnie na Bernarda, jakby prosząc go o pomoc. Zdarzało się to zazwyczaj wtedy, gdy zbytnio zagmatwał się w swej wypowiedzi lub zapowietrzył się i panicznie szukał jakiegoś słowa, które pozwoliłoby mu opisać to, co widział. Trentmann jednak milczał jak grób i siedział ze wzrokiem wlepionym w blat stołu. Trudno nawet powiedzieć, czy słuchał astrobiologa, ale z całą pewnością nie był mu pomocny. Jego skwaszona mina wyrażała duże niezadowolenie. Relacjonowanie przebiegu wyprawy było dla niego karygodną stratą czasu. Wiedział, że takie są wymogi regulaminu, lecz jego zdaniem regulamin nie uwzględniał wszystkich sytuacji, które mogły wystąpić na statku badawczym. „Regulamin regulaminem, ale ponad wszelkimi paragrafami powinien stać zdrowy rozsądek – powtarzał wielokrotnie, sprzeczając się o to z Jenkinsem. – Przepisy tworzone są przez ludzi, a żaden człowiek nie jest nieomylny”. W obecnej sytuacji to powiedzenie było jak najbardziej na miejscu – szczegółowe relacjonowanie wyprawy, w której uczestniczyła połowa załogi, a druga połowa obserwowała wszystko na mostku dzięki obrazom

z kamer w kaskach, było jawnym gwałtem na zdrowym rozsądku. Postanowił jednak tym razem nie robić awantury, bo wiedział, że Jenkins i tak nie ustąpi. A przepisy, jak zwykle, będą po jego stronie.

Doktor Mole starał się opowiedzieć o wszystkim z najdrobniejszymi szczegółami, nie wzbogacając jednocześnie wypowiedzi o własne domysły, insynuacje i przypuszczenia. Wiedział, że kapitan nie życzyłby sobie tego na tym etapie zebrania. Astrobiolog opisał dokładnie piramidy schodkowe, do których wnętrza nie prowadziły żadne wejścia. Mówił dużo o półsferycznej budowli na szczycie wzgórza. Wspomniał również o wulkanicznym pyle. Kiedy tak opowiadał, jąkając się i zerkając niepewnie na Trentmanna, wyglądał dosyć komicznie. Jego zachowanie w ogóle nie przystawało do budzącej respekt postury, którą był obdarzony – do ogromnego, umięśnionego cielska pokrytego tatuażami oraz do groźnego spojrzenia, które rzucał waran z Komodo, wytatuowany na jego szyi. Jenkins nieraz zazdrościł mu muskularnego ciała. Ile on dałby za to, żeby dysponować równie zdrowym okazem?

Mole skończył i usiadł. Głos zabrał dowódca:

– Zatem podsumujmy najważniejsze wnioski, które zostaną przekazane w raporcie do bazy na Ziemi. W razie gdyby któryś z panów miał jakieś wątpliwości lub nie zgadzał się z którymś punktem raportu, proszę zgłaszać sprzeciw.

Trentmann przewrócił nerwowo oczami, ale zachował milczenie.

– Punkt numer jeden – ciągnął kapitan zasadniczym tonem – lądowanie na centralnym płaskowyżu Nannar, zakończyło się powodzeniem. Wszyscy członkowie załogi wrócili bez szwanku, a sprzęt nie uległ uszkodzeniu.

Punkt numer dwa: Członkom ekspedycji nie udało się nawiązać kontaktu z żywymi istotami rozumnymi, ani zarejestrować, zobaczyć lub w żaden inny sposób stwierdzić obecności takich istot na Sargonie.

Punkt numer trzy: Członkom ekspedycji nie udało się zarejestrować, zobaczyć ani w żaden inny sposób stwierdzić

obecności innych żywych istot (nierozumnych) na Sargonie.

Punkt numer cztery: Członkowie ekipy zbadali z bliska budowle, których istnienie było zgłaszane wielokrotnie we wcześniejszych raportach, dotyczących zdjęć satelitarnych i przekazów filmowych z pojazdów planetarnych.

Punkt numer pięć: Na podstawie oględzin wyżej wymienionych obiektów członkowie ekipy potwierdzają wnioski z wcześniejszych raportów, zgodnie z którymi obiekty te nie są tworem naturalnym, powstałym na skutek procesów górotwórczych lub erozyjnych, lecz zostały zbudowane przez obcą formę życia rozumnego.

Punkt numer sześć: Powyższe budowle wskazują na działalność prymitywnej cywilizacji, posługującej się prostymi narzędziami, nierozwiniętej technologicznie i wyznającej kult prymitywnych bóstw. Cywilizacja ta mogła znajdować się na etapie odpowiadającym ziemskiej epoce brązu…

– No, nie wiem – wtrącił się Mole. Kapitan spojrzał na niego pytająco. Astrobiolog nieśmiało podjął dalej: – Budowle zostały wykonane z irydu. Jest to metal szlachetny, bardzo twardy.

– Wiemy o tym, doktorze – wszedł mu w słowo Jenkins. – Było to już zgłaszane w wielu wcześniejszych raportach.

– Owszem, ale do tej pory była to jedynie hipoteza. Przewidywaliśmy, że owe obiekty zbudowane są z irydowych bloków, opierając się na dosyć daleko idącej dedukcji. W zasadzie jedyną przesłanką ku temu był wcześniejszy nasz domysł, według którego Sargon w ponad osiemdziesięciu procentach złożony jest z irydu, więc cywilizacja niegdyś go zamieszkująca miała tego materiału pod dostatkiem. Zaznaczyć w tym miejscu muszę raz jeszcze, że irydowy skład…

– Do rzeczy doktorze – ponaglił go Jenkins – bo mam wrażenie, że zaczynamy odbiegać od ustalonego programu narady.

– Otóż porównywanie sargoniańskiej cywilizacji do jakiejkolwiek cywilizacji ziemskiej i szukanie dla niej odpowiednika w którejkolwiek ziemskiej epoce jest zdecydowanie nie na miejscu. Z całą pewnością

człowiek z epoki brązu, wyposażony w narzędzia ze swoich czasów, nie byłby w stanie obrobić tak twardego materiału, jakim jest iryd, nie mówiąc o uformowaniu z niego bloków, a tym bardziej rzeźbieniu w nim.

– Cóż zatem pan proponuje?

– Budowle, które widzieliśmy, zostały z pewnością wzniesione przez cywilizację nietechnologiczną, dość prymitywną w swej kulturze i wierzeniach, jednakże stopnia jej rozwoju nie można przyrównywać do żadnej z ziemskich epok, ponieważ od początku podlegała ona zupełnie innym uwarunkowaniom, a co za tym idzie jej rozwój musiał potoczyć się innymi ścieżkami niż na Ziemi. Nie mam pojęcia jak te istoty obrabiały iryd. Może go wytapiały i wlewały do form? A może używały diamentowych narzędzi? Jeżeli na przykład ta druga hipoteza jest prawdziwa, to w tym kontekście powinniśmy mówić raczej o „epoce diamentu”. Ale wolałbym nie snuć na razie takich przypuszczeń.

– Dobrze – powiedział Jenkins z kwaśną miną. – Zatem wykreślam z raportu wpis o epoce brązu, a całą resztę zostawiam bez zmian. Przejdźmy do kolejnego punku raportu. – Wodził palcem w notatkach. – Punkt numer siedem: Członkowie ekspedycji zabrali z powierzchni księżyca bezzałogowy pojazd planetarny B-3 wraz ze wszystkimi pobranymi przez niego próbkami skał. Próbki te zostaną poddane dokładnej analizie w laboratorium doktora Mole’a.

Jenkins zmierzył wzrokiem naukowców.

– To tyle w kwestii faktów. Teraz słucham panów w temacie hipotez i domysłów.

– Tak więc – od razu wyrwał się Trentmann – jedna kwestia nie daje mi spokoju: wejście do kopuły usytuowane było na wysokości jakichś dwóch metrów nad powierzchnią terenu…

– Może poziom gruntu się obniżył – przerwał mu od razu Green. – Od czasów, kiedy została wybudowana, mogły minąć tysiące, a nawet miliony lat.

– Owszem, ale obniżenie terenu jest mało prawdopodobne. Całą powierzchnię globu pokrywa warstwa wulkanicznego pyłu. Zakładam, że pyłu tego nie było w momencie wznoszenia budowli.

– Skąd ta pewność? – zaskrzeczał Green.

Trentmann zerknął na niego z ukosa.

– Wiem, co mówię i znam się trochę na tym. Pamiętaj, że oprócz tego, że mam doktorat z archeologii, ukończyłem również geologię i paleontologię na Uniwersytecie…

– Do rzeczy, panowie – przerwał mu Jenkins. – Wszyscy przeglądaliśmy akta personalne i znamy nasze kompetencje.

Bernard westchnął.

– Przy tak dużej aktywności wulkanicznej, z jaką mamy do czynienia na Sargonie, nie może być mowy o jakimkolwiek osiadaniu warstw geologicznych lub erozji, które postępowałoby szybciej niż proces osadzania się pyłów wulkanicznych. Z całą pewnością w czasach, kiedy z budowli korzystano, poziom terenu był niższy niż w chwili obecnej.

– A może do wejścia prowadziły jakieś schody wykonane z materiału, który uległ zniszczeniu? Na przykład z czegoś w rodzaju drewna. – podsunął Mole.

– To niewykluczone. – Archeolog na moment się zamyślił. – Ale nie wyjaśnia tajemnicy piramid.

– Wydawało mi się – zapiszczał Green – że ustaliliście na miejscu, iż do ich wnętrza prowadzą podziemne tunele. Podobne korytarze można spotkać na przykład w piramidach egipskich, więc takie rozwiązanie nie jest niczym wyjątkowym.

Trentmann zaprzeczył energicznym ruchem głowy.

– Sprawdziłem skany podłoża i odwierty wykonane przez łazik planetarny. Pod powierzchnią terenu nie ma żadnych pustek powietrznych. Kilkucentymetrowa warstwa pyłu skrywa jedynie lity iryd.

– Może tunele zapadły się? – zaproponował Mole.

– To też niemożliwe. Pamiętaj, że mówimy o korytarzach wydrążonych w twardym metalu. Taka konstrukcja nie może się zawalić.

– Ktoś celowo je zasypał?

Bernard znów pokręcił przecząco głową.

– Skaner wykryłby różnice w strukturze irydowej skały lub chociażby jakieś minimalne pustki powietrzne. Nie można wypełnić tuneli w sposób taki, by stanowiły jednorodną strukturę wraz z otaczającym je podłożem.

– Zatem do piramid nie prowadzą w ogóle żadne wejścia – podjął po chwili Mole. – Mogły być to po prostu miejsca kultu albo grobowce, w których chowano władców, jak chociażby wspomniane wcześniej piramidy egipskie. Z tą tylko różnicą, że zmarłych zamykano tam na stałe, zamurowywano, i później nie było już możliwości zajrzenia do wnętrza grobowców. Z podobnymi praktykami spotkałem się również na Ziemi.

– Te piramidy mają wejścia! – przerwał mu gwałtownie Trentmann. – Na zdjęciach satelitarnych widać je wyraźnie.

Wyjął z teczki plik fotografii i rzucił na stół. Zdjęcia odbiły się od blatu i rozpierzchły w powietrzu. Trentmann nerwowo wyłapał je, jedno po drugim i przycisnął do stołu. Wszyscy pochylili się nad nimi. Na szczycie każdej piramidy wyraźnie widoczny był kwadratowy otwór prowadzący pionowo w dół, do wnętrza budowli.

– Może to wejścia dla bóstw? – zaproponował Derick Green.

Nikt nie odpowiedział.

– A ty co myślisz, Bernardzie? – zapytał Mole.

Trentmann przez moment się wahał.

– Ja uważam – podjął ostrożnie – choć może być to na razie teza zbyt śmiała, że mamy do czynienia z cywilizacją istot latających.

– Latających? – zdziwił się Mole. – Wyposażonych w skrzydła?

– Nie wiem, czy w skrzydła… W jakieś narządy pozwalające im unosić się w atmosferze.

– Nonsens – zaprotestował astrobiolog.

– Dlaczego? – zdziwił się Green.

– Teoria ewolucji wyklucza taką ewentualność. Istoty rozumne, które były w stanie używać narzędzi i wznosić budowle, musiały dysponować sprawnymi, chwytnymi kończynami, umożliwiającymi im wykonywanie skomplikowanych czynności. Tylko w ten sposób mogłyby wcielić w życie pomysły zrodzone w ich umysłach. Natomiast u wszystkich stworzeń latających na Ziemi skrzydła powstały w wyniku przekształcenia przednich kończyn. Świat zwierząt nie zna istot, które posiadałyby chwytne kończyny i równocześnie skrzydła umożliwiające latanie. Wyjątkiem są owady, ale one okazały się ślepą uliczką ewolucyjną, organizmami, z których nigdy nie mogło rozwinąć się rozumne życie. Wniosek z tego jest jeden: nawet jeśli istoty rozumne potrafiłyby latać, nie umiałyby niczego zbudować.

– Nie do końca rozumiem – podjął Green. – Teoria ewolucji wyklucza istnienie stworzeń, które miałyby skrzydła i prócz tego, dajmy na to, dłonie?

– Poniekąd tak. Takie stwory istnieją jedynie w legendach, są to: anioły, smoki, demony itp.

– Ale czy aby na pewno teoria ewolucji, sformułowana na Ziemi, ma zastosowanie tutaj, w obcym świecie? – zapytał Trentmann. – Sam wcześniej stwierdziłeś, że nie można przyrównywać faz rozwoju powstałej tu cywilizacji do ziemskich epok. Czyż ta sama zasada nie może odnosić się również do ewolucji?

– Nie sądzę. Teoria ewolucji mówi o czymś więcej niż tylko o dostosowywaniu się żywych organizmów do panujących warunków środowiska. Pewne jej założenia stoją zdecydowanie ponad tym aspektem. Jednym z nich jest optymalizacja, która jednoznacznie determinuje liczbę kończyn żywych stworzeń rozumnych. Więcej niż cztery kończyny nie są do niczego potrzebne, a wręcz stwarzają dodatkowy problem z koordynacją ruchową, z którą musiałby uporać się mózg. Tylko najprymitywniejsze zwierzęta na Ziemi posiadają więcej niż cztery odnóża: bezkręgowce, owady, pajęczaki, skorupiaki.

Natura samoczynnie zadecydowała, że jest to ślepa uliczka i że w taki sposób nie da się stworzyć bardziej rozwiniętych organizmów.

– A jeżeli to nie były skrzydła, tylko jakieś inne narządy? – zaproponował Trentmann.

– Śmigła? – roześmiał się inżynier.

– Czemu nie? – podchwycił archeolog. – Nie wiemy nic na temat atmosfery Sargona w czasach, gdy żyły tutaj te istoty. Może była o wiele gęstsza niż na Ziemi? Może stworzenia te potrafiły unosić się w atmosferze bez pomocy jakichkolwiek narządów?

– To zbyt daleko idące wnioski – powiedział z niezadowoleniem Edgar Mole. – Na razie powinniśmy przyjąć, że te dziwne budowle w kształcie piramid to swego rodzaju świątynie, a wejścia u ich szczytów zostały zaprojektowane z myślą o bóstwach, mających spaść z nieba.

Naukowe dysputy nie interesowały Jenkinsa. Już dawno przestał słuchać uczonych i bezwiednie wodził wzrokiem po brudnych ścianach jadalni. Na początku misji przeszkadzała mu wszechobecna obskurność, bijąca z każdego kąta statku, jednak od jakiegoś czasu zaczął zauważać swojego rodzaju piękno w odrapanych ścianach, z których łuszczyła się farba. Coraz częściej łapał się na bezczynnym siedzeniu i podziwianiu zaniedbanych zakamarków Nadira… Wcześniej, na Ziemi, nic podobnego mu się nie przydarzało, zawsze lubił porządek, czystość i idealny ład. Ale to miejsce jakoś na niego działało. Ściany statku wytrzymały niemal pięćdziesiąt lat, więc trudno wymagać, by były w nienagannym stanie.

Otrząsnął się z zadumy.

– Panowie! – zawołał, żeby doprowadzić do porządku naukowców, którzy po raz kolejny za bardzo odbiegli od ustalonego tematu zebrania. – Przejdźmy do następnego punktu, a mianowicie planów badawczych na najbliższy tydzień.

Znów jako pierwszy wyrwał się Bernard Trentmann:

– Wnoszę o wizję lokalną rejonu DT-5814 w pobliżu pojazdu planetarnego B-1.

Jenkins westchnął głośno.

– Doktorze Trentmann – podjął z niechęcią – wnosi pan o to na każdym zebraniu, a moja odpowiedź jest zawsze taka sama. Powtarzam zatem po raz wtóry: nie mogę wyrazić zgody na lądowanie załogowe w tym rejonie, ponieważ obszar DT-5814 nie został dostatecznie zbadany przez pojazd bezzałogowy. W związku z powyższym wizja lokalna stanowi rażące naruszenie procedur bezpieczeństwa.

– Czego się pan boi, szefie? – zapytał archeolog z przekąsem.

Kapitan ze złością zacisnął zęby. Na chudej twarzy Bernarda pojawił się subtelny, lecz nader złośliwy, uśmieszek.

– Doktorze – powiedział Jenkins, starając się zachować spokój – dobrze pan wie, że strefa ta nie została należycie zbadana. Łazik B-1 utkwił w pyle wulkanicznym. Nie wpuszczę ludzi na niesprawdzony teren.

– Kapitanie – powiedział Trentmann – ponawiam moje pytanie: Czego się pan obawia?

Jenkins zerknął na niego ze złością.

– To niezgodne z procedurą – syknął.

– Przecież sondy obserwują dolinę Aszur od wielu miesięcy. Od pół roku jesteśmy pewni, że w tym rejonie, tak samo zresztą jak na całym Sargonie, nie ma organizmów żywych. Skład atmosfery księżyca i temperatura panująca na jego powierzchni za dnia, definitywnie wykluczają istnienie jakiegokolwiek życia. Proszę zatem powiedzieć, jakie niebezpieczeństwa mogą czyhać na załogę po wylądowaniu w dolinie Aszur?

– Doktorze Trentmann, czy ja naprawdę muszę panu przypominać dlaczego Nadir przybył do tego układu?

Bernard spojrzał na dowódcę z niesmakiem. Ten ciągnął dalej:

– Czy zapomniał pan już, że urządzenia na Ziemi odebrały przekaz interferencji telesynchrastycznej pochodzący z 55 Cancri?

– I co z tego? – bronił się Trentmann. – Nie widzę związku pomiędzy tym, a odmową lądowania w dolinie Aszur.

– Ale ja widzę. – Jenkins zmarszczył brwi. – Taki przekaz nadawać może tylko wysoko rozwinięta technologicznie cywilizacja. I taka cywilizacja musiała zamieszkiwać niegdyś Sargona lub nadal go zamieszkuje, potrafiąc skutecznie ukryć się przed naszym wzrokiem i urządzeniami obserwacyjnymi.

– To niemożliwe – zaprzeczył gwałtownie Mole. – Obecne warunki na księżycu wykluczają istnienie jakiegokolwiek życia. Istoty kiedyś go zamieszkujące, albo wyniosły się stąd tysiące lat temu, albo wyginęły.

– Nie zgadzam się z panem – zaoponował kapitan. – Znajdujemy się na odległej planecie, w odległym układzie gwiezdnym, i wielu zagrożeń nie jesteśmy w stanie przewidzieć. Po to właśnie, do jasnej cholery, wymyślono procedury!

– Panie dowódco… – Edgar starał się przybrać ton najłagodniejszy, jaki potrafił. Skurczył się nieco na krześle, a muskularne, wytatuowane cielsko przypominało teraz zbitego psa. – Dawniej gazowy olbrzym Galileo krążył po o wiele dłuższej orbicie wokół gwiazdy 55 Cancri A. Wtedy na Sargonie panowały doskonałe warunki do istnienia życia: występowała tu woda w stanie ciekłym, temperatura była idealna dla funkcjonowania organizmów żywych, atmosfera o wiele gęstsza niż obecnie. Teraz Galileo w swym szaleńczym tańcu spada na gwiazdę. Z każdym rokiem krąży bliżej niej i coraz szybciej. Ten proces rozpoczął się miliony lat temu i jestem pewien, że istoty myślące, zdolne do zbudowania urządzeń wysyłających komunikaty telesynchrastyczne, go zauważyły. Musiały być świadome faktu, że im bliżej słońca znajdzie się Galileo, tym bardziej temperatura na ich księżycu wzrośnie, a co za tym idzie oceany stopniowo wyparują, w głębi Sargona zbudzą się ogromne masy stopionego irydu, powodując liczne erupcje wulkanów. Istoty te musiały w końcu opuścić to miejsce. I zapewne tak właśnie uczyniły. Na Sargonie z całą pewnością nie ma już życia.

Twarz kapitana stała się czerwona, a ręce drżały mu ze zdenerwowania. Nie przywykł do kwestionowania rozkazów. Nigdy

wcześniej nie musiał przekonywać podwładnych do własnych decyzji i prowadzić z nimi równie bezsensownych dysput. Wszystko w nim wrzało.

– Doktorze Mole – podjął spokojnie, najspokojniej jak potrafił – nim tutaj przybyłem, słyszałem z wielu źródeł, od wielu poważnych i szanowanych naukowców, że gazowy olbrzym 55 Cancri małe „b”, inaczej zwany Galileo, nie może posiadać większych księżyców. W wielu naukowych opracowaniach czytałem, że jest to niemożliwe, gdyż siły pływowe wyrzuciłyby je z orbity. Zgadza się?

– Tak – potwierdził od razu Mole – jednakże nikt nie przewidział, że księżyc może mieć tak dużą masę, a poza tym…

Kapitan nie pozwolił mu dokończyć:

– Kiedy przylecieliśmy tutaj, okazało się, że księżyc taki istnieje, a na dodatek z niego właśnie został wysłany przekaz telesynchrastyczny. Powiedzcie mi zatem, jak mam teraz w cokolwiek uwierzyć naukowcom? – Spojrzał triumfalnie na swoich podwładnych. – Poza tym przekaz telesynchrastyczny z Sargona wciąż jest emitowany, czyli nawet jeśli nie przetrwały tu żadne formy życia, pozostały działające urządzenia, maszyny. Nie potrafimy nawet zlokalizować źródeł sygnałów interferencyjnych, bo jest ich tak wiele i są na tyle silne, że nasze przyrządy wariują. A co najgorsze, nie rozumiemy treści owych przekazów. Nie wiemy nawet, czy to zaproszenie, ostrzeżenie, czy może groźba. Sami stwierdziliście na podstawie zdjęć satelitarnych, że budowle w dolinie Aszur są o wiele bardziej zaawansowane technologicznie, nowocześniejsze niż te na płaskowyżu, więc istnieje duże prawdopodobieństwo, że natkniemy się tam na wciąż czynne urządzenia, o których nic nie wiemy. Lądowanie w tym rejonie jest bardzo niebezpieczne.

– Ale jeden z łazików od dłuższego czasu stoi bezczynnie – nieśmiało wtrącił inżynier Green. – Ta sytuacja nie powinna trwać w nieskończoność. Może po prostu wylądujemy tam tylko po to, by popchnąć łazika. Nie będziemy się nigdzie zapuszczać. Tylko uruchomimy łazika i wrócimy.

Kapitan spojrzał na niego podejrzliwie.

– To niezgodne z procedurą – wycedził.

– A czy zgodne z procedurą jest to, że jeden z pojazdów stoi bezczynnie od czterech miesięcy? – zaatakował go Trentmann.

Jenkins nie odpowiedział.

– Czy mam w tej sprawie skontaktować się ze Sztabem? – nie odpuszczał archeolog.

Oczy kapitana zapłonęły nienawiścią.

– Zrzucimy w Aszur pojazd planetarny B-3, który wczoraj zabraliście z Nannar – powiedział.

– Litości! – zawył Trentmann. – Przygotowanie go do ponownego lądowania będzie trwało z miesiąc, następnie, zgodnie z procedurą, przez co najmniej trzy miesiące będzie musiał rozpoznawać teren. Łatwo policzyć, że wylądujemy tam najwcześniej za cztery miesiące.

Jenkins rozłożył bezradnie ręce. Trentamann podjął dalej, patrząc mu prosto w oczy:

– Proszę mnie nie zmuszać, bym skontaktował się ze Sztabem w sprawie nieprawidłowości związanych z niewłaściwym użytkowaniem sprzętu badawczego. Bezczynnego tkwienia pojazdu B-1 w tym samym miejscu od prawie pół roku nie można nazwać optymalnym wykorzystaniem narzędzi eksploracyjnych.

Z kapitana uszło powietrze. W takiej sytuacji znalazł się po raz pierwszy w życiu – podwładny śmiał straszyć go donosem do Sztabu. To… to niedopuszczalne. Jednak perspektywa utarczek z dowództwem napełniła go przestrachem. Do tej pory przebieg jego służby był wzorowy. Do Sztabu nigdy nie dotarły żadne skargi na wydawane przez niego rozkazy.

– Panie kapitanie – zwrócił się do niego pojednawczo Green – naprawdę powinniśmy uruchomić tego łazika.

– Dobrze – zgodził się Jenkins. – Celem wyprawy będzie tylko i wyłącznie przywrócenie sprawności pojazdu B-1. Termin ustalam na przyszły tydzień. Udział w ekspedycji wezmą doktor Mole i inżynier Green.

– Co? – zdziwił się Bernard Trentmann.

Kapitan zignorował jego reakcję.

– Proszę uczestników o przygotowanie się do wyprawy i zaprogramowanie lądownika na odpowiednie współrzędne.

– Ale dlaczego inżynier ma brać udział w wizji lokalnej?! – zaprotestował Trentmann.

– Przecież przed chwilą ustaliliśmy, że to nie wizja lokalna! – wrzasnął na niego dowódca. – Poza tym inżynier Green wydaje się być najstosowniejszą osobą do uruchomienia pojazdu planetarnego. Czyż nie? – Jenkins spojrzał triumfalnie na Bernarda.

– Ale pojazd przecież nie jest uszkodzony – wtrącił się Mole. – Tylko utkwił…

– Panowie! – kapitan znów podniósł głos. – Jako dowódca, ja podejmuję tutaj decyzje i nie muszę ich z nikim konsultować. Archeolog nie jest potrzebny w tej misji i dalszą dyskusję uważam za zbędną.

Bernard z niezadowoleniem zmarszczył brwi. Jenkins zerknął na niego, nie kryjąc satysfakcji. Po tym incydencie dobry humor mu wrócił. Rozsiadł się wygodniej na krześle i omiótł wzrokiem odrapaną ścianę. Jakie to piękne – pomyślał. Nie mógł jednak przyglądać się jej dłużej, bo pozostało jeszcze parę punktów narady do omówienia. I oczywiście to, co zostawił na deser. Uśmiechnął się pod nosem na myśl o tym, jaka będzie reakcja cherlawych intelektualistów, gdy oznajmi im, że od jutra wprowadza w życie nowe zarządzenie: obowiązkowe, poranne treningi dla całej załogi. Już nie mógł się doczekać, kiedy da im porządny wycisk i przegoni po korytarzu obwodowym.

***

Edgar Mole siedział przy mikroskopie w laboratorium na dolnym pokładzie. Zbadał na razie tylko nieznaczną część próbek gruntu, które pobrał łazik na płaskowyżu Nannar, ale jak do tej pory jego przypuszczenia potwierdzały się w stu procentach: próbki złożone

były wyłącznie z wulkanicznego pyłu i irydu. Ani śladu mikroorganizmów – bakterii, wirusów. Nic. Życie na Sargonie dawno umarło, a woda wyparowała. W sargoniańskiej atmosferze również nie stwierdził obecności materii organicznej.

Do laboratorium wszedł Trentmann.

– I jak? – zapytał.

– Tak jak przypuszczaliśmy. Nic.

Archeolog usiadł obok Mole'a.

– Zastanawiałem się nad interferencją telesynchrastyczną.

– A konkretnie?

– Te sygnały z Sargona… Jak myślisz, co one mogą oznaczać? Może faktycznie jesteśmy w niebezpieczeństwie? Sargonianie mogli być wrogo usposobieni.

– Wątpię. Sądząc po złożoności ich przekazu interferencyjnego, dysponowali technologią o wiele bardziej zaawansowaną niż nasza. Gdyby chcieli nam wyrządzić krzywdę, już dawno by to zrobili. Ale niby dlaczego mieliby tego chcieć?

Trentmann wzruszył ramionami.

– Masz rację. Człowiek nie byłby dla nich ani zagrożeniem, ani tym bardziej równorzędnym partnerem. Gdyby tutaj byli, najprawdopodobniej zignorowaliby nas.

– Zgadza się – potwierdził astrobiolog.

– Zastanawia mnie jednak – ciągnął Trentmann – dlaczego zostawili tutaj te urządzenia. Po co i dla kogo?

Archeolog zadumał się. Transmisja z Sargona nie była odosobnionym przypadkiem. Podobne przekazy zostały wysłane z wielu innych miejsc we Wszechświecie. Kiedy tylko wynaleziono interferencję telesynchrastyczną okazało się, że przestrzeń kosmiczna wręcz krzyczy za jej pośrednictwem. Wyglądało to tak, jakby tysiące obcych cywilizacji chciały przekazać sobie nawzajem coś niezwykle istotnego. Także Ziemianom. Niestety, mimo że na Błękitnej Planecie transmisje odebrano dawno temu, nikomu, nawet najtęższym umysłom, nie udało się rozszyfrować informacji w nich zawartych.

Znane były nawet przypadki szaleństwa wśród badaczy usiłujących pojąć sens obcych komunikatówi, których stopień skomplikowania zdecydowanie przewyższał możliwości obliczeniowe najlepszych procesorów, jakie wynaleziono na Ziemi.

– Szkoda czasu na głowienie się nad tym – powiedział Edgar. – I tak do niczego konstruktywnego nie dojdziemy. Musimy najpierw znaleźć urządzenie, które emituje sygnał i dokładnie je zbadać. Może wtedy zdołamy rozwiązać zagadkę.

– Nie lubię tak stawiać sprawy. Fakt, że nikt wcześniej nie znalazł odpowiedzi, wcale nie znaczy, że ja również nie dam rady.

– Bernardzie, nie jesteś fizykiem. Poza tym ludzkość zbyt mało jeszcze wie o interferencji telesynchrastycznej. Prawda jest taka, że z ledwością panujemy nad tym zjawiskiem. Lepiej zajmij się czymś bardziej użytecznym.

– Na przykład?

– Przejrzyj zdjęcia, które zrobiliśmy w kopule.

– Już przeglądałem.

– I co myślisz o tych jajokształtnych zwierzętach na płaskorzeźbach?

Trentmann wzruszył ramionami.

– Biologiem też nie jestem. Zastanawia mnie jedynie, w jaki sposób się poruszały. Nie miały kończyn, które pozwalałyby chodzić.

– Ano właśnie. Równie tajemnicze były wizerunki roślinności na sklepieniu kopuły. Te smukłe pędy powinny zginać się ku ziemi, a nie rosnąć pionowo w górę.

– Sugerujesz, że płaskorzeźby nie przedstawiały podobizn zwierząt ani roślin, które niegdyś faktycznie występowały na Sargonie? Też to rozważałem.

– To bardzo prawdopodobne. Mogły być to wizerunki jakichś wyimaginowanych tworów, na przykład bóstw. W tym kontekście kopuła byłaby po prostu świątynią. Biorąc pod uwagę fakt, że każda prymitywna cywilizacja na Ziemi wznosiła wspaniałe sanktuaria,

chcąc w ten sposób oddać cześć bogom, można śmiało założyć, że Sargonianie postępowali podobnie.

– Religia, na pewnym etapie rozwoju myśli i kultury, jest nieodzowna. – W głosie archeologa pobrzmiewało rozczarowanie. – Stanowi jedyne wytłumaczenie dla powstania świata. Dopiero później zostaje zastąpiona przez naukę.

Trentmanna zasmuciła ta myśl. Znaczyła mniej więcej tyle, że cywilizacja Sargona wcale nie była wyjątkowa, nie różniła się od ziemskich kultur, na co od samego początku liczył. Jeżeli Sargonianie ulegali ułudzie religii, byli najprawdopodobniej także podatni na inne słabości, charakterystyczne dla ludzi, w tym żądzę władzy.

– To dla nas bardzo zła wiadomość – rzekł Mole. Bernard spojrzał na niego z zainteresowaniem. – Wciąż nie wiemy, jak naprawdę wyglądało życie zamieszkujących niegdyś Sargona.

– Ja bym powiedział, że mieliśmy nawet podwójnego pecha. Jeżeli piramidy faktycznie były grobowcami, odwiedziliśmy jedynie tamtejszy cmentarz i kościół. Na tej podstawie niewiele zdołamy ustalić na temat codziennych zwyczajów i budowy anatomicznej rdzennych mieszkańców.

– Bernardzie, mądrzej nie mogliśmy postąpić. Jako obiekty badań wybraliśmy najlepiej zachowane budowle. Oglądanie zwalonych, zniszczonych ruin także…

– Doktorze Mole! – Usłyszeli głos Jenkinsa. Obejrzeli się odruchowo. Dowódca stał w progu. – Zdaje się, że dziś pańska zmiana w sektorze zieleni.

– Myślałem… – Edgar urwał. – Mam mnóstwo próbek do zbadania. Może dzisiaj to sobie darujemy. Rośliny chyba aż tak bardzo nie ucierpią.

– Doktorze, obowiązują nas określone zasady. Rośliny są naprawdę bardzo ważne. Chyba nie muszę panu o tym przypominać.

Twarz astrobiologa wykrzywił kwaśny grymas. Smok z Komodo na jego szyi również wyrażał duże niezadowolenie.

– Chciałem zbadać próbki sargoniańskiej gleby.

– Próbki nie uciekną. Przecież mogą poczekać do jutra.

– A roślinom coś się stanie? Przecież Green naprawił zraszacze.

– Doktorze. – Jenkins westchnął. – Ustaliliśmy harmonogram.

– Ale sytuacja jest wyjątkowa.

– Ja zajmę się dziś ogrodem. – Trentmann postanowił wybawić przyjaciela z opresji.

– Pański dyżur jest pojutrze.

– To może zmienimy harmonogram. Ja będę pracował dziś, a doktor Mole pojutrze.

Kapitan spojrzał na niego podejrzliwie. Chwilę milczał.

– Czy to jakiś problem? – zapytał Bernard.

– Dobrze – zgodził się Jenkins. – Niech tak będzie. Tylko proszę udać się do sektora zieleni bez zbędnej zwłoki.

Po tych słowach dowódca wyszedł.

– Wykończy nas – powiedział Mole. – Dyżury w sektorze zieleni, dyżury na mostku. Przez te idiotyczne obowiązki badania w ogóle nie posuwają się naprzód. Jestem astrobiologiem, a nie ogrodnikiem.

***

– Zenit nad nami, a nadir pod nami – rzekła swoim zwyczajem.

Ja milczałem. Patrzyłem w niebo przez szybę pojazdu, który mknął po wielopasmowej autostradzie. Zbierało się na burzę. Niebo zasnuły ciemne, deszczowe chmury.

– Wyjedźmy stąd! – powiedziała. – Zostawmy to wszystko i ucieknijmy gdzieś we dwoje.

Spojrzałem na nią zdziwiony. Siedziała w fotelu obok mnie. Kasztanowe loki opadały jej na ramiona. Błądziła palcem po kolanie, jakby kreśląc jakieś znaki, ale ruchy nie układały się w żadne litery.

– Od czego chcesz uciekać? – zapytałem.

– Od tego życia, od twojej przeszłości. Może dzięki wyjazdowi wreszcie się otworzysz. Dlaczego jesteś taki?

Nie odpowiedziałem. Denerwowało mnie jej ględzenie. I te oczy płonące nieznośnym żarem. Nie mogłem dłużej tego słuchać.

– Wyjedźmy na drugą półkulę. Zobaczymy nadir.

– To już nie będzie nadir, tylko zenit – wycedziłem. Złość we mnie wzbierała. – Nadir będzie wtedy tutaj. Nigdy nie zobaczysz nadira.

– Ach, czepiasz się semantyki. – Machnęła lekceważąco ręką.

Nienawidziłem, kiedy tak robiła. Nagle zapragnąłem, by jej rozpalone oczy zaszły mgłą. Wyobraziłem sobie, jak szalona, pełna życia iskra gaśnie w jej źrenicach, a piękna twarz nabrzmiewa, szarzeje i wysycha. Pierś przestaje się unosić, zdławiona gwałtownym brakiem dopływu powietrza, a moje dłonie… zaciskają się na smukłej szyi. Jakiż to byłby piękny widok. Jak cudownie wyglądałoby wtedy jej nieskazitelne oblicze.

Mówiła dalej, mówiła bez ustanku, ciągle mówiła:

– Spójrz na tego ptaka. – Wskazała czarny punkcik na szarym niebie. – Patrzy na ziemski padół z piękniejszej perspektywy. Jest jak symbol wolności. Ludzie zawsze chcieli wzlecieć w niebiosa niczym stado dzikich ptaków, pokonać ograniczenia, zerwać kajdany, trzymające przy ziemi i odfrunąć w dal. My potrafimy już to zrobić. Możemy w każdej chwili odlecieć na drugą półkulę.

Impuls. Gorący pot zalał mi plecy. Serce przyśpieszyło. Dłonie samoczynnie powędrowały w kierunku jej szyi. Zanurzyły się w kasztanowych włosach. Poczułem gładkość i ciepło młodej skóry. Uśmiechnęła się do mnie, bo myślała, że to niewinna pieszczota. Pojazd, kierowany przez komputer, nieustannie gnał przed siebie.

– Ktoś kiedyś mi powiedział – ciągnęła – a ja zapamiętałam te słowa, że życie to koncert. Symfonia uczuć, barw, dźwięków, smaków, zmysłów. W twoim przypadku orkiestra wzięła zarobione pieniądze i poszła do domu, pozostawiając opustoszałą salę.

Palce się zacisnęły. Jęknęła lekko i spojrzała na mnie, jak nigdy przedtem. A ja nie ustępowałem. Dłonie powoli się zamykały. Samochód, jak gdyby nigdy nic, jechał przed siebie. Jej twarz z każdą sekundą stawała się piękniejsza…

Ostry sygnał budzika wyrwał Jenkinsa ze snu. Zlany potem rozpiął pasy, usiadł na pryczy i złapał się za głowę.

Znów ten cholerny sen. Kim jest ta kobieta?

Za każdym razem, kiedy prześladował go ów koszmar, nie potrafił dojść do siebie. Nie dawał mu spokoju akt okrucieństwa, którego się w nim dopuszczał. Choć nawet sam akt okrucieństwa nie był najgorszy – o wiele gorsze było to, że sprawiał mu on przyjemność. Przeżywał najprawdziwszą ekstazę, gdy jego dłonie obejmowały szyję młodej, nieznajomej kobiety i tonęły w burzy kasztanowych włosów.

Zerwał się energicznie z łóżka, wskoczył w uniform i lewitując w powietrzu, włożył buty z elektromagnesami. Odczuł wyraźną ulgę, kiedy stopy zetknęły się z podłogą. Nie lubił latać, wolał twardo stąpać po ziemi. Sprawnie uporał się z poranną toaletą i już po paru minutach był gotów do rozpoczęcia treningu. Nie zwlekając ani chwili dłużej, udał się na miejsce zbiórki w korytarzu obwodowym. Dotarł tam jako pierwszy. Niewiele później przyszli również Green i Mole. Ten ostatni zjawił się trzy minuty po czasie. Kapitan spojrzał na niego karcąco, ale nie powiedział ani słowa. Brakowało tylko Trentmanna. Jak zwykle. Jenkins zerkał nerwowo na zegarek.

Kiedy spóźnienie archeologa sięgnęło piętnastu minut, kapitan stracił cierpliwość. Ruszył w stronę kajuty Trentmanna. W ślad za nim podążyli również Mole i Green, obawiający się dalszego rozwoju wydarzeń. Po paru chwilach cała trójka stanęła przy drzwiach do kwatery Bernarda. Jenkins kilka razy uderzył w nie pięścią. Tępy dźwięk, niesiony przez echo, zadudnił w pustym korytarzu. Pukanie nie przyniosło żadnego rezultatu, lecz dowódca nie zamierzał łatwo ustąpić. Walnął w drzwi mocniej, aż framuga zadrżała. Tym razem nie trzeba było długo czekać na efekt. W progu stanął zaspany Bernard.

– Co jest? – zapytał przecierając oczy.

– Trening jest, do jasnej cholery – warknął na niego Jenkins.

– Przecież wczoraj wyraźnie powiedziałem, że nie zamierzam w tym uczestniczyć.

Dowódca bez namysłu wetknął stopę pomiędzy skrzydło a ościeżnicę, uniemożliwiając archeologowi zamknięcie drzwi. Trentmann jęknął z irytacją.

– Proszę wyjść z pokoju, bo będę zmuszony wyciągnąć pana siłą.

Ślady przerwanego snu nagle zniknęły z twarzy Bernarda, a rysy wykrzywił mu gniew. Archeolog wyzywająco wlepił wzrok w kapitana. Ten nie pozostał dłużny. Wytrzymał spojrzenie, a oczy także zapłonęły mu złością. Pełne napięcia milczenie zdawało się ciągnąć w nieskończoność. Żadna ze stron nie zamierzała ustąpić. Wątła sylwetka Trentmanna tkwiła nieruchomo w pozycji gotowej do przyjęcia lub zadania ciosu. Jenkins również rozstawił się mocniej na nogach, a jego pięści mimowolnie się zacisnęły.

Mole postanowił rozładować sytuację:

– Bernardzie – powiedział pojednawczo – trochę ćwiczeń ci nie zaszkodzi.

Archeolog nie odpowiedział. Wciąż nie spuszczał wzroku z dowódcy. Był gotów walczyć z każdą formą represji i nie bał się nadstawiać karku w tej sprawie.

– Bernardzie – powtórzył Edgar – daj spokój. Nie warto szarpać się o takie głupstwa.

– To nie są głupstwa – zaprzeczył Trentmann. – Jestem cenionym naukowcem – nieustannie patrzył Jenkinsowi prosto w oczy – i nie pozwolę na to, by pomiatał mną jakiś niedouczony trep, specjalizujący się w maszerowaniu, stawaniu na baczność, salutowaniu i tre…

W tym momencie padł cios. Przytłumiony plask rozniósł się echem po korytarzu. Archeolog rażony silnym uderzeniem, wpadł na przeciwległą ścianę kajuty, odbił się od niej i bezwładnie popłynął ku sufitowi. Odruchowo przycisnął dłoń do obitego policzka. Bolało… Bolało jak jasna cholera. Chociaż nie było to jego własne ciało, a jedynie nośnik należący do skazańca, odczuł to zupełnie tak, jakby oberwał prawdziwy Bernard Trentmann – ten, który bezpiecznie tkwił zamknięty w kapsule telesynchrastycznej na Ziemi. Po zetknięciu z sufitem ciało wytraciło prędkość i frunęło powolnie ku podłodze. Przeraźliwie chudy nośnik definitywnie odmówił posłuszeństwa. Jenkins był z siebie dumny. Zatriumfował po raz kolejny.

– Wielce ceniony naukowiec – sarknął pod nosem.

– Niestety – podjął Trentmann, lewitując i trzymając się za lico, które zaczynało już puchnąć – zmusił mnie pan do tego, bym doniósł o pańskim zachowaniu do Sztabu.

Bernard blefował. Miał straszne trudności z nawiązaniem połączenia telesynchrastycznego z Ziemią. Jego nośnik nie posiadał zdolności do tego.

– A rób, co chcesz – rzucił kapitan, po czym odwrócił się na pięcie i odszedł.

Green i Mole zostali z Trentmannem. Astrobiolog złapał go za rękę i lekko przyciągnął ku łóżku.

– Dobrze się czujesz? – zapytał troskliwie.

– A nie widać? – sarknął Bernard ze złością. – Zaraz wybieram się na tańce.

– Ty poważnie o tym donosie do Sztabu? – zagadnął go Derick.

Bernard spojrzał na niego stanowczo. Chwilę milczał, z twarzy zeszło napięcie. Odetchnął głośno.

– Gdybym mógł, zrobiłbym to bez wahania – powiedział ściszonym głosem. – Niestety, mój nośnik na to nie pozwala. Na początku, korzystając z kabiny, potrafiłem nawiązać połączenie z bazą, ale było bardzo niestabilne. Od jakiegoś czasu w ogóle mi się nie udaje. Może któryś z was mnie wyręczy?

Archeolog obrzucił towarzyszy wyczekującym spojrzeniem.

– Niestety, ja mam ten sam problem – odparł Edgar. – Strasznie tęsknię za dziećmi. Zostawiłem Suzi i Trevora pod opieką ciotki. Czasem czuję się przez to okropnie, jak wyrodny ojciec. Najpierw stracili matkę, a teraz ojca.

– Są już duże – przerwał mu Trentmann. – Poza tym zawsze podziwiały cię jako naukowca i same chciały, żebyś tu przybył.

– Tobie łatwo mówić, bo nie masz rodziny. Nie wiesz, jak to jest. Jak bardzo chciałbym z nimi porozmawiać. Zupełnie co innego obiecywali przed misją. „Interferencja telesynchrastyczna umożliwia swobodne kontakty z Ziemią. Nie utraci pan łączności z bliskimi.”

Green rozłożył bezradnie ręce.

– Moje połączenie też jest strasznie niestabilne i okropnie męczę się przy każdej próbie nawiązania kontaktu.

– Niech to szlag – zaklął Bernard pod nosem, wlepiwszy wzrok w podłogę. Przypłynął z wolna do pryczy i zapiął pasy. Edgar trochę mu w tym pomógł.

– Twój nośnik wygląda okropnie – powiedział.

– Nie musisz mi o tym przypominać. Nic na to nie poradzę. Nie potrafię bardziej opychać się ohydną papką. Owoce też mi już bokami wychodzą. Ty miałeś zdecydowanie więcej szczęścia, Edgarze. Na twoim miejscu stawiłbym opór Jenkinsowi. Jeden twój cios zwaliłby go z nóg.

– Chyba żartujesz – zaoponował gwałtownie astrobiolog. – Ja nie potrafię się bić.

– Ale twój nośnik potrafi doskonale.

Mole przez długi czas milczał, wodząc wzrokiem po ścianach. Intensywnie o czymś rozmyślał.

– Nie jestem zadowolony z tego ciała – odezwał się wreszcie. – Przerasta mnie to. Mam straszne problemy z koncentracją i nie mogę zapamiętać żadnych nowych informacji. Nigdy wcześniej umysł mi nie szwankował. Ta straszliwa niemoc mnie dobija. Mam wrażenie, że zapomniałem o wielu rzeczach, których nauczyłem się na Ziemi. Wiadomości ze studiów i wieloletniej pracy naukowej wyparowują jedna po drugiej.

– Chyba trochę przesadzasz – próbował pocieszyć go Green.

– Może. – Edgar wzruszył ramionami. Waran z Komodo również był smutny. – Nigdy wcześniej nie zastanawiałem się nad tym. Co więcej, czasem drwiłem z ludzi mało inteligentnych, pozbawionych analitycznego umysłu, nierozgarniętych. Łatwo kogoś nazywać głupkiem, ale czy jego winą jest, że natura obdarowała go mózgiem odbiegającym od przeciętnego?

Bernard zaśmiał się, lecz obity policzek od razu dał o sobie znać. Złapał za niego, a na twarzy natychmiast zagościł grymas bólu.

Mole ciągnął dalej, wpatrzony w brudną ścianę kajuty:

– To straszna niekonsekwencja naszej cywilizacji. Od dziecka uczą nas, że nie wolno wyszydzać ludzi ułomnych, upośledzonych, chorych. Wyśmiewanie cudzego wyglądu również jest powszechnie napiętnowane, uważane za coś nagannego i niestosownego. Wytykanie komuś, że ma na przykład jedną nogę krótszą od drugiej albo w ogóle nogi zbyt krótkie w stosunku do tułowia jest czymś niesmacznym i niegrzecznym. Natomiast śmianie się z cudzej głupoty, brutalne uzmysławianie komuś braku logiki w jego wypowiedziach nie jest niczym niestosownym, a w niektórych kręgach wręcz uchodzi za pożądane. A jaka tak naprawdę jest różnica pomiędzy niedoskonałymi nogami, a niedoskonałym mózgiem? Dlaczego za jedno można człowieka winić, a za drugie nie?

– Na za krótkie nogi nic nie poradzisz – wtrącił się Bernard – może poza operacją chirurgiczną, natomiast umysł można ćwiczyć. Wystarczy odrobina chęci.

– Tylko do pewnego stopnia. Każdy mózg ma swoje ograniczenia. W pewnym momencie natrafisz na ścianę, której nie jesteś w stanie przebić.

– Panowie – zagrzmiał głos w oddali korytarza – czy ktoś wam powiedział, że dzisiejszy trening jest odwołany?

Green i Mole równocześnie spojrzeli na Bernarda.

– Idźcie – powiedział archeolog. – Ja zostaję tutaj.

***

Bernard nie potrafił dojść do siebie po nieoczekiwanym zajściu z udziałem Jenkinsa. Nie było to pierwsze starcie z kapitanem, ale nigdy wcześniej sprawy nie przybrały tak gwałtownego obrotu, a stosunki z dowódcą nie przerodziły się w otwartą wojnę. Bernard leżał w łóżku i rozmyślał. Zza drzwi co jakiś czas dobiegały odgłosy elektromagnesów uderzających o metalową podłogę oraz nerwowe krzyki Jenkinsa: „Szybciej” lub „Nie zwalniać”. Trentmann liczył okrążenia – kiedy przebiegali obok jego kajuty, uderzenia butów o posadzkę stawały się głośniejsze, wtedy zawsze dodawał jeden.

Doliczył do ośmiu, potem dźwięki ucichły. Nieźle ich przegonił – pomyślał. Jak na pierwszy trening dystans był naprawdę imponujący. Bernard już zaczął się obawiać jutrzejszego poranka. Kapitan na pewno nie ustąpi, tym bardziej jeśli nie otrzyma żadnego upomnienia ze Sztabu i zorientuje się, że archeolog zwyczajnie blefował. Jutro może być jeszcze gorzej niż dziś. Trentmann nie miał złudzeń. Był pewien, że nie zdoła pokonać dowódcy w bezpośrednim starciu. Cios Jenkinsa uzmysłowił mu, że przeciwnik jest o wiele silniejszy. Zwykła bójka nie wchodziła więc w grę. Drugim najprostszym rozwiązaniem byłoby zabarykadowanie drzwi pokoju. Jednak Bernard był pewien, że jeżeli jutro rano dobrowolnie ich nie otworzy, Jenkins z pewnością spróbuje sforsować je siłą.

Krytycznie zerknął na zamek i framugę, które broniły dostępu do kajuty. Niestety, nie wyglądały najlepiej: były liche, stare, rozklekotane. Sam zamek już wcześniej był nieco poluzowany i zapewne poluzował się jeszcze bardziej podczas porannego „pukania” Jenkinsa. Te drzwi nie będą stanowiły przeszkody dla kapitana – tego Bernard był pewien. W grę nie wchodziło również zablokowanie ich jakimś ciężkim przedmiotem, bo w stanie nieważkości było to zwyczajnie niemożliwe. Poza tym wszystkie meble na Nadirze przymocowano na stałe do podłogi.

Musi istnieć jakiś inny sposób na przechytrzenie Jenkinsa i wygranie tej rozgrywki – myślał. – Inteligencja powinna zatriumfować nad prymitywną siłą mięśni.

Oczywiście mógł w każdej chwili zerwać połączenie telesynchrastyczne i wrócić do ciała pozostawionego na Ziemi, lecz istniały nikłe szanse na ponowne uzyskanie sprzężenia i przejęcie kontroli nad ciałem skazańca. Umysł szybko uczył się odporności na takie manipulacje i później potrafił skutecznie stawiać opór. To naturalny mechanizm obronny mózgu.

Trentmann miał szczerze dość dowódcy i jego idiotycznych pomysłów, jednak nie chciał rezygnować z dalszych badań na Sargonie. Była to praca, o jakiej marzył od dziecka. Już jako

pięcioletni chłopiec pragnął zostać archeologiem badającym ślady prastarych cywilizacji na odległych planetach. Rodzice, z wykształcenia prawnicy, wyśmiewali jego mrzonki, wpajając mu, że powinien wybrać zawód gwarantujący duże pieniądze i pewne zatrudnienie. Sam Bernard, kiedy nieco podrósł, także zrozumiał, że dziecięce fantazje o eksplorowaniu odległych światów są raczej mało realne. Mimo to wbrew woli rodziców postanowił nie rezygnować z archeologii, ktòra stała się jego prawdziwą pasją. Gdy pewnego dnia, będąc już uznanym naukowcem, dowiedział się, że Sztab Badań Międzyplanetarnych ogłosił rekrutację na członka załogi badawczej w układzie 55 Cancri, nie wahał się ani chwili i natychmiast zgłosił swoją kandydaturę. Nie musiał długo czekać na odpowiedź. Z doświadczeniem, które posiadał, sporymi osiągnięciami naukowymi oraz drugim fakultetem z geologii, był idealnym kandydatem na to stanowisko. Dziecięce marzenia się spełniły.

Odpiął pasy i odepchnął się od łóżka. Nie miał ochoty opuszczać pokoju, ale zgłodniał i musiał popłynąć do jadalni. Poza tym ukrywanie się w kajucie świadczyłoby tylko o tchórzostwie. Postanowił nie zakładać butów – lubił swobodnie lewitować korytarzami, czuł się wtedy wolny. Wyleciał z pokoju, zamykając za sobą drzwi. Na moment zawisnął obok jednego z iluminatorów w korytarzu, łapiąc drążek pod sufitem. Na Nadirze panował akurat dzień i Bernard przez grubą szybę mógł dojrzeć szarą powierzchnię Sargona. Pozioma linia znacząca rozpadlinę Niniwa ziała przejmującą czernią, otoczona postrzępioną, nieregularną rzeźbą terenu. Daleko na północy Anu wypluwał z siebie tony popiołów, strzelając pionowym słupem dymu.

Czy to możliwe, że ów glob w ponad osiemdziesięciu procentach zbudowany jest z irydu? – przeszło mu przez myśl.

Wizja lokalna, podczas której widział z bliska irydowe budowle i mógł ich nawet dotknąć, potwierdzała tę tezę. Świadczyły o tym również dane zebrane podczas ich półrocznych obserwacji. Ciążenie na Sargonie: 1,4 g; średni promień pomierzony paralaksą przez

satelity A-1 i A-2: 2690 km; obliczona na tej podstawie średnia gęstość księżyca: 18 320 kg/m3. Dla kogoś przyzwyczajonego do ziemskich warunków były to liczby niewyobrażalne. Księżyc wielkości połowy Ziemi miał gęstość niemal czterokrotnie większą od naszego globu. By spełniać taki warunek, musiał być zbudowany z naprawdę ciężkiego pierwiastka. Podejrzenie padło od razu na iryd, którego we Wszechświecie nie brakuje.

Jak rozwijała się tutejsza myśl techniczna? Jak potoczyły się losy cywilizacji istot rozumnych? – Bernarda fascynowały te pytania.

Odepchnął się od ściany i jednym długim lotem pokonał korytarz obwodowy. W jadalni automat wydał mu porcję czerwonej mazi – ta smakowała najlepiej ze wszystkich dostępnych na Nadirze. Jednak już sama myśl o wciąganiu kleistej papki przez rurkę wetkniętą do zamkniętego pojemnika, powodowała u niego niechęć. Niestety, nie było lepszej metody spożywania posiłków w stanie nieważkości. Bernard nie miał ochoty zostawać dłużej w jadalni, wolał wrócić do swojej kajuty. Z pojemnikiem w dłoni wpłynął do korytarza. W drzwiach zderzył się z Edgarem Molem. Pod wpływem uderzenia Mole na moment stracił równowagę, elektromagnesy oderwały się od metalowej podłogi i astrobiolog pofrunął bezwładnie w tył, koziołkując w powietrzu. Po chwili odzyskał orientację, odepchnął się od sufitu i z powrotem stanął na podłodze. Trentmann obserwował go z rozbawieniem. On zdążył złapać się drzwi i o wiele szybciej poradził sobie z bezwładnością. Z twarzy Edgara nie znikało przerażenie. Trentmann zorientował się, że nagła utrata kontaktu z podłożem nie mogła być jedynym powodem tego niepokoju.

– Coś się stało? – zapytał. – Czy nie powinieneś być w sektorze zieleni? Chyba dziś jest twój dyżur.

Mole nie odpowiedział. Rozejrzał się dokoła i upewniwszy się, że nikogo nie ma w zasięgu wzroku, wyszeptał:

– Musisz pójść ze mną na mostek.

W jego głosie było coś tak przejmującego, że Bernard bez zbędnych pytań popłynął za astrobiologiem na dolny pokład.

Na mostku czekał inżynier Green, na którego twarzy gościło takie samo przerażenie, jakie wcześniej Bernard dostrzegł w oczach Mole'a. Derick siedział nieruchomo ze wzrokiem wlepionym w jeden z ekranów, który pokryty był szarymi szumami. Edgar zaprowadził Bernarda do pulpitu i bez słowa usiadł na fotelu, zapiąwszy pasy. Nikt się nie odezwał. Zachowanie towarzyszy sugerowało, że problem jest tak oczywisty, iż nie wymaga żadnych objaśnień. Archeolog omiótł wzrokiem pulpit. Wskazania przyrządów i czujników temperatury na jego oko były w porządku. Nie dopatrzył się również niczego szczególnego na ekranach przedstawiających obrazy z kamer satelitów i łazików. Powoli zaczynała go złościć małomówność Edgara i Dericka. Spojrzeniem powędrował raz jeszcze w kierunku monitorów. Znów nie zauważył niczego odbiegającego od normy. Chociaż…

Monitor, który do tej pory wyświetlał obraz z kamery łazika B-1, migotał szarym mrowiem pikseli, sygnalizując zerwanie połączenia. Trentmann wcześniej nie zwrócił na to uwagi, ponieważ przywykł do omijania wzrokiem tego ekranu, którego statyczny kadr nie zmieniał się od ponad czterech miesięcy – odkąd pojazd planetarny B-1 utkwił w wulkanicznym pyle.

– Kamera się zepsuła? – zapytał, zwracając się do Greena.

Inżynier długo nie odpowiadał. Patrzył jak zahipnotyzowany w szary ekran.

– Chciałbym, żeby wyjaśnienie było takie proste – odrzekł w końcu, spoglądając na Bernarda.

No tak – pomyślał Trentmann – gdyby było to takie proste, nie siedzielibyście tutaj jak w jakimś cholernym transie.

– Mówcie wreszcie, co się stało – powiedział nerwowo. Był coraz bardziej poirytowany zachowaniem towarzyszy.

– Patrz. – Derick wcisnął w pulpicie przycisk z napisem *rewind*.

Na monitorze natychmiast pojawił się obraz sprzed pół godziny. Początkowo wszystko wyglądało normalnie. Statyczny kadr wypełniały szare wzgórza, a w oddali, w niecce doliny widać było

skupisko stożkowych budowli. Po chwili obraz zaczął stopniowo się rozpłaszczać. Wzniesienia z każdą sekundą były coraz niższe, aż wreszcie teren stał się niemal idealnie płaski. Znikły też stożkowe wieże. Wulkaniczny pył przybrał barwę ciemnofioletową. Wtedy z podłoża zaczęły wyrastać wzgórza. Działo się to gwałtownie, wręcz brutalnie. W mgnieniu oka, tuż przed kamerą łazika, wystrzeliła w górę pionowa ściana. Przybrała kolor czerwony. Obraz zaczął migać. Najpierw były to pojedyncze zakłócenia, potem zdarzały się coraz częściej. Czerwona ściana falowała. Kolejne mignięcie. Wykrzywiała się. Mignięcie. Obejmowała obiektyw. Obraz zniknął.

– I co o tym myślisz? – zapytał inżynier, kiedy ekran na powrót zasnuł nieregularny śnieg.

Bernard nie odpowiedział od razu. Stał bez ruchu, wciąż nie mogąc uwierzyć w to, co zobaczył.

– Włącz jeszcze raz – powiedział w końcu.

Inżynier wcisnął przycisk i transmisja zaczęła się od początku. Wszyscy trzej patrzyli na ekran w maksymalnym skupieniu, usiłując dostrzec jakieś szczegóły, które mogły im umknąć podczas poprzedniego seansu. Transmisja wciągała i hipnotyzowała. Obejrzeli ją kilkanaście razy w całkowitym milczeniu. Derick wciąż wciskał guzik przewijania, nie pytając nikogo o zdanie.

– Starczy – powiedział wreszcie Trentmann. – To jakieś dziwne zakłócenia.

– Bardzo dziwne zakłócenia – podchwycił od razu inżynier.

– Nie widziałeś nigdy niczego podobnego? – zapytał archeolog.

Green w odpowiedzi pokręcił przecząco głową.

– Czyli bez wątpienia mamy do czynienia z sargoniańską technologią – powiedział Edgar trochę do siebie. – Jenkins miał rację. Te urządzenia znajdują się w dolinie Aszur.

– Czy to możliwe, że urządzenie, które emituje przekaz interferencji telesynchrastycznej, zakłóciło pracę nadajnika zamontowanego w łaziku? – zapytał Trentmann.

– Nigdy nie spotkałem się z czymś takim – odrzekł Green. – Ale o interferencji wciąż wiemy niewiele, tym bardziej o tak zaawansowanej, z którą mamy do czynienia na Sargonie. Zastanawia mnie natomiast coś innego: dlaczego w ogóle do tego doszło? Przecież łazik nie ruszył się z miejsca od kilku miesięcy. Nie można zatem założyć, że nagle znalazł się w polu działania jakiegoś urządzenia. Trochę to niepokojące. Zupełnie jakby ktoś celowo chciał go zniszczyć.

– A może – podjął Mole – owe przekaźniki interferencji telesynchrastycznej nie działają nieustannie, tylko włączają się i wyłączają na zmianę. Zatem łazik mógł znaleźć się w zasięgu urządzenia, które akurat zaczęło funkcjonować.

– Trafna myśl – potwierdził inżynier. – To by też tłumaczyło nasze trudności w ustaleniu źródeł sygnałów interferencyjnych. Jeżeli transmisje pojawiają się w jednych miejscach, a znikają w innych, naprawdę trudno je namierzyć.

– Ciekawe czemu to służy? – zadumał się archeolog. – Do czego Sargonianie wykorzystywali interferencję? I dlaczego zostawili tu te urządzenia?

– Tego chyba się nie dowiemy – powiedział Edgar. – W każdym razie na pewno nic nie wskóramy, jeśli dalej będziemy siedzieć bezczynnie i gapić się na obrazy z satelitów.

– Pokażemy to Jenkinsowi? – zapytał Green.

– Zwariowałeś?! – zganił go od razu Mole. – Gdyby kapitan o tym wiedział, na pewno odwołałby lądowanie.

Bernard zaśmiał się w duchu. Wyśmienicie – pomyślał. – Wprost wspaniale.

– A może jednak powinien wiedzieć? – nie ustępował Derick.

– To wykluczone – odparł kategorycznie Trentmann. – Chcesz zaprzepaścić naszą szansę na zbadanie obcej cywilizacji? Lądowanie jest już prawie dopięte na ostatni guzik. Wszystkie formalności załatwione, zgody ze Sztabu skompletowane, programowanie lądownika zakończone. To wszystko ma pójść na marne?

– Ale co z bezpieczeństwem misji? Uważam, że dowódca powinien znać wszystkie…

– Rozumiem, że się boisz – wszedł mu w słowo archeolog. – Jeśli sprawa wyjdzie na jaw, wezmę winę na siebie i zapewnię Jenkinsa, że o niczym nie wiedziałeś. Po prostu zapomnij o tym nagraniu.

Green miał kwaśną minę. Chytre oczy zerkały niepewnie, to na Trentmanna, to na Mole'a.

– Ja też mogę wziąć winę na siebie – zaproponował astrobiolog.

– Nieważne, kto to zrobi – powiedział Bernard. – W każdym razie umawiamy się, że Derick nie miał z tym nic wspólnego.

– Ale przecież kapitan zorientuje się, że coś jest nie tak, gdy zobaczy szumy na ekranie – zaskrzeczał Green.

– Puścimy mu obraz z taśmy. Na pewno nie zauważy, że ogląda nagranie sprzed miesiąca.

– Rewelacyjny pomysł – ucieszył się Trentmann.

Czuł ogromną satysfakcję. Po porannym upokorzeniu, którego doznał na skutek utarczki z Jenkinsem, wreszcie będzie mógł odegrać się na dowódcy. Zatajanie prawdy przed kapitanem i co lepsze, lądowanie na Sargonie, zlekceważenie przy tym przepisów bezpieczeństwa, było o wiele poważniejszą samowolką niż odmowa uczestnictwa w porannych treningach. Bieganie korytarzem obwodowym zdawało się być dziecięcą igraszką w porównaniu z tak poważnym aktem niesubordynacji. Trentmann zaczął już wyobrażać sobie reakcję kapitana, kiedy ten pozna całą prawdę o zakłóceniach w pojeździe B-1. Jakiż będzie wściekły. Jak oczy zapłoną mu złością, jak będzie się pieklił. Dzięki tym myślom Bernard podjął decyzję, że jutro rano grzecznie wskoczy w dres i zamelduje się o umówionej godzinie w wyznaczonym miejscu. Odrobina ruchu mu nie zaszkodzi.

***

Szare wzgórza majaczyły w oddali, niczym matowe cienie rozlane na burzowym niebie. W dole kotliny raz za razem zrywały się olbrzymie kłęby pyłu i uderzały o irydowe ściany stożkowych wieżowców,

kotłując się wokół ich zarysów. Gęsta atmosfera Sargona podrygiwała w makabrycznym tańcu, niesiona porywami silnego wiatru. Edgar Mole stał sztywno na nogach, czując jak jego własne ciało ciąży mu niemiłosiernie, a stopy grzęzną w wulkanicznym pyle. 1,4 g robi swoje – pomyślał. Tym bardziej, że przywykł do braku ciążenia na Nadirze. Westchnął ciężko i popatrzył na irydowe budowle obcych, rozsypane w niecce doliny. W żółtawej poświacie 55 Cancri A wyglądały przepięknie. Niespokojne cienie krążyły wokół nich, sprawiając, że wieże zdawały się być w ciągłym ruchu. Niesamowita gra światła – przeszło mu przez myśl. – Chyba nigdy do niej nie przywyknę.

Green grzebał w tym czasie przy łaziku. Klęczał obok otwartej klapy i kręcił pokrętłami.

– Jak to wygląda? – odezwał się Jenkins przez słuchawki.

– Na razie nie mogę jeszcze nic powiedzieć – odparł inżynier.

Jenkins i Trentmann siedzieli na mostku, przypięci pasami do foteli, i bacznie obserwowali dwa monitory wyświetlające obrazy z kamer umieszczonych w kaskach Greena i Mole’a. Pierwszy kadr wypełniały splątane kable, diody, przyciski i pokrętła, wśród których uwijały się ręce odziane w grube rękawice. Drugi ekran przedstawiał typowy sargoniański krajobraz, drżący niespokojnie i wiercący się od czasu do czasu, kiedy astrobiolog poruszał głową.

– Ale właściwie co pan tam robi? – zapytał dowódca, patrząc uważnie na obraz z kamery umieszczonej w kasku inżyniera. – Proszę uruchomić pojazd bezzałogowy i wracać do lądownika.

– Kamera uległa awarii, muszę ją naprawić – odparł spokojnie Green.

– Jak to uległa awarii? Kiedy? Przecież cały czas działała.

– No, nie wiem. Widzi pan obraz?

Jenkins zerknął na monitor pokazujący zdjęcia z łazika B-1. Ekran pokryty był szarym, nieregularnym śniegiem.

– Nie ma obrazu – odparł Jenkins. – W takim razie proszę zabrać pojazd B-1 do lądownika i wracać na statek.

Nie doczekał się odpowiedzi w głośniku.

– To rozkaz, inżynierze Green.

Odpowiedziała cisza. Konsternacja.

– Proszę zabrać pojazd B-1 i natychmiast wracać do lądownika – powtórzył kapitan.

– Panie kapitanie – powiedział Mole – temperatura wzrośnie dopiero za dwie godziny, a zapas tlenu mamy na ponad trzy godziny. Po co ten pośpiech? Może Derickowi uda się w tym czasie naprawić łazik.

Jenkins nerwowo spojrzał na Trentmanna.

– Co wy knujecie? – zapytał z podejrzliwością.

Bernard wzruszył ramionami.

– Nie wyrażam na to zgody! – Kapitan nieco podniósł głos, nachylając się do mikrofonu. – Proszę natychmiast zabrać pojazd B-1 i wracać do lądownika.

Green się zawahał. Ręce odziane w rękawice przestały dłubać przy przełącznikach.

– Proszę nam dać jeszcze chwilę – powiedział Mole. – Przecież nic złego się nie wydarzy.

Trentmann uśmiechnął się pod nosem, widząc narastającą złość dowódcy.

– Macie natychmiast wrócić do lądownika – powtórzył Jenkins. Twarz zaszła mu purpurą.

– Dobrze – powiedział Green.

Z głośników na mostku dobiegło głośne westchnienie.

– Zwariowałeś?! – zawołał Mole.

– Doktorze Mole – Jenkins próbował zachować spokój – to rozkaz. Jestem odpowiedzialny za wasze bezpieczeństwo. Proszę natychmiast wracać do lądownika.

– Tu jest całkowicie bezpiecznie – odparł astrobiolog. – Poza tym budowle obcych są na wyciągnięcie ręki. Taka okazja może się nie powtórzyć! Nie mam teraz zamiaru postępować zgodnie z jakimiś idiotycznymi procedurami!

– Proszę natychmiast wracać do lądownika! – wrzasnął kapitan. – Słyszy mnie pan?!

Odpowiedział tylko głuchy stukot.

Jenkins spojrzał na Trentmanna. Oczy zapłonęły mu nienawiścią.

– To twoja sprawka – syknął. – Potem się policzymy. Doktorze Mole! – ryknął znów do mikrofonu.

– Niestety odmawiam wykonania tego rozkazu, kapitanie – w głośnikach zabrzmiał głos astrobiologa. Odmieniony, silny, pewny siebie. – I nie mam zamiaru sterczeć tu bezczynnie.

W tym samym momencie Jenkins ze zdumieniem stwierdził, że obraz z kamery zamontowanej w kasku Mole'a przemieszcza się w kierunku sargoniańskich budowli.

– Za odmowę wykonania rozkazu grozi panu sąd wojskowy i więzienie! – krzyknął kapitan.

– Nie jestem żołnierzem, kapitanie.

Bernard pokręcił głową z niedowierzaniem. Nie spodziewał się takiej buty po Eddiem. Jak widać, prowadzenie badań i zdobywanie nowych danych jest dla niego bodźcem o wiele silniejszym niż wszystkie groźby świata.

– Jest pan członkiem międzyplanetarnej misji badawczej, zorganizowanej przez Sztab Badań Międzyplanetarnych Federacji Ziemskiej. W związku z tym podlega pan wojskowej jurysdykcji.

– Mam to gdzieś.

Kapitan dławiony gniewem, przez dłuższą chwilę nie był w stanie wykrztusić z siebie ani słowa. Wreszcie opanował trochę emocje i zwrócił się do Bernarda:

– Doktorze Trentmann, proszę przemówić przyjacielowi do rozsądku.

Archeolog rozłożył bezradnie ręce. Nie miał zamiaru pomagać dowódcy. Całym sercem był z Eddiem.

Jenkins zacisnął pięści.

– Wszyscy jesteście tacy sami – rzucił z nienawiścią, po czym znów krzyknął do mikrofonu: – Proszę natychmiast wracać do

lądownika!

W słuchawkach odpowiedział tylko przytłumiony stukot, trzaski, jakieś drobne zakłócenia.

Edgar wytrwale szedł przed siebie, mimo że stawianie kroków sprawiało mu ogromną trudność. Nogi zapadały się w pyle, a ciało ciążyło. Na jego szczęście, droga do budowli obcych prowadziła w dół po łagodnym zboczu. Poza tym silny wiatr, wiejący w plecy, był bardzo pomocny. O wiele gorsza będzie droga powrotna. Krople potu spływały mu po karku, ręce lepiły się w grubych rękawicach. Ale nie zamierzał ustąpić. Choć każdy krok wymagał od niego niemałego wysiłku, zbliżał go do ziszczenia marzeń. Teraz już nic nie mogło go powstrzymać, nawet przeraźliwe wrzaski Jenkinsa trzaskające w słuchawkach. Niech sobie krzyczy – myślał Edgar i starał się nie słuchać gróźb dowódcy. Najchętniej wyłączyłby fonię, lecz nie chciał tracić kontaktu z Greenem. Wieżowce wciąż były niewyraźne, jednak stały się dużo większe. To naprawdę olbrzymie miasto – pomyślał Edgar. Na pierwszy rzut oka widać było, że konstrukcje są bardziej zaawansowane technologicznie niż budowle wzniesione na płaskowyżu Nannar. Bez wątpienia nie mogła stworzyć ich prymitywna cywilizacja. Mole był już pewien, iż ma przed sobą prawdziwą metropolię, która niegdyś tętniła życiem. Stożkowe, szpiczaste drapacze chmur, o różnej wysokości i w różnych proporcjach, rozmieszczone były regularnie na ogromnym terenie. Na wielu poziomach połączono je ze sobą tunelami, tworzącymi plątaninę przewodów niczym żyły i tętnice układu krwionośnego. Ściany budynków zdobiły dziwaczne wzory. Były też okna, coś jakby okna… Niestety Mole nadal był za daleko, by określić z czym ma do czynienia. Poza tym obserwację utrudniały niespokojne cienie, tańczące na ścianach budowli.

– Doktorze Mole! – ryknął wściekły Jenkins. – Apeluję do pańskiego zdrowego rozsądku!

– Nie odchodź zbyt daleko – upomniał go Green. – Musimy utrzymać kontakt wzrokowy.

Edgar przystanął. Chciał wytrzeć pot z czoła, ale zamiast tego przejechał rękawicą po kasku. Cholera – zaklął w myślach. Dyszał ciężko. Każdy krok był dla niego niewyobrażalną męczarnią. Obejrzał się za siebie. Lądownik majaczył w oddali, będąc tylko malutką, ciemnoszarą kropką, którą od czasu do czasu przysłaniały kłęby kurzu, rzucane przez porywisty wiatr. Obok widniał jeszcze mniejszy punkcik – bez wątpienia inżynier Green. Głos Jenkinsa w słuchawkach ucichł. Widocznie kapitan uznał, że udało mu się zastraszyć astrobiologa i ten zamierza zawrócić.

– Edgarze – zabrzmiał głos Greena – lepiej wracaj. Wolałbym nie tracić kontaktu wzrokowego.

Astrobiolog westchnął i popatrzył na strzeliste budowle. Były naprawdę fascynujące. Poczuł, że nie może teraz ustąpić. Teraz, kiedy dzieli go zaledwie kilkadziesiąt metrów od wielkiego miasta wzniesionego przez nieznany gatunek. Na ugiętych nogach ruszył w stronę wież. Po chwili z słuchawek wylała się prawdziwa rzeka wściekłości.

– Doktorze Mole! – wrzeszczał Jenkins. – Proszę natychmiast zawrócić! To rozkaz!

Edgar miał za nic krzyki dowódcy i brnął wytrwale dalej.

– Edgarze! – zapiszczał Green. – Zaczynasz naprawdę za bardzo szarżować!

Astrobiolog nie słuchał. Do jego mózgu uderzył strumień adrenaliny, sprawiając, że zapomniał o zmęczeniu. Nogi odzyskały siłę. Edgar niesiony uczuciem euforii zbliżał się do stożkowych wież. Irydowe ściany, zalane żółtym światłem, były niemal na wyciągnięcie ręki. Widział wyraźnie zdobiące je wzory i plątaninę rur z nich wystających. A to, co wziął wcześniej za okna, było swego rodzaju krótkimi kanałami, prowadzącymi w głąb budowli. Każdy z nich miał walcowy kształt i sprawiał wrażenie wbitego w ścianę. Mole podszedł do pierwszej wieży, stojącej na skraju miasta. Dotknął muru dłonią odzianą w rękawicę. Nie miał wątpliwości, że owa budowla również została wzniesiona z irydu. Jakąż niesamowitą technologią musieli

dysponować, by budować z tak ciężkiego materiału – pomyślał. – Iryd waży bardzo dużo nawet na Ziemi, a tutaj, przy 1,4 g… Astrobiolog rozejrzał się, szukając jakiegoś wejścia. Niestety nie mógł dostrzec niczego, co choć w najmniejszym stopniu przypominałoby drzwi. Obszedł dookoła wieżę. Nic. Żadnej drogi prowadzącej do jej wnętrza.

Znowu to samo. Bardzo żałował, że nie będzie mógł zajrzeć do środka.

Kontury budowli zaostrzyły się, wzory zdobiące ściany były teraz wyraźniejsze, jaskrawsze. Rury jakby nieco bardziej odstawały od stożkowych ścian. Wszechobecny, wulkaniczny pył nabrał barwy lekko czerwonej. Dziwna gra świateł – pomyślał Edgar i odruchowo spojrzał na zegarek. Zostało jeszcze półtorej godziny normalnej temperatury, później Sargon wychynie zza tarczy Galileo, a jego powierzchnię zaleje niewyobrażalny żar. Astrobiolog popatrzył w niebo. Pierścień utworzony przez gwiazdę wokół gazowego olbrzyma był już wyraźnie niesymetryczny. Kolory stały się jaskrawsze. Wieże zdawały się być wyższe niż przedtem. Edgar wcześniej tego nie zauważył, ale teraz wyraźnie widział, że ich szczyty są ze sobą splątane, jakby owinięte wokół siebie, w niektórych miejscach nawet wzajemnie się przenikały. Piasek był krwistoczerwony. Edgar w oddali zauważył dziwny, rozczapierzony kształt. Początkowo myślał, że to inżynier Green zmierza w jego kierunku, jednak po chwili był już pewien, że nie ma do czynienia z żadną znaną mu postacią. Ku niemu gnało jakieś skrzydlate stworzenie, które przedzierało się przez kłęby kurzu, frunąc nad powierzchnią ziemi. Kształt z każdą chwilą był bliższy. Astrobiolog znieruchomiał, rażony przerażającym widokiem. Chciał wrzasnąć do mikrofonu, lecz słowa uwięzły mu w gardle. Stwór był już parę kroków od niego. Rozpostarł skrzydła, a czarne ślepia patrzyły zagadkowo na Mole’a. Wydały mu się dziwnie znajome. Była w nich jakaś iskra, tchnienie, które Edgar znał od lat i z którym od dawna nie miał styczności. Te oczy… To były oczy jego nieżyjącej żony. Jak mogłem być tak głupi i wcześniej tego nie zauważyć – przemknęło mu

przez myśl. Ów kształt to nie żaden skrzydlaty stwór z innego świata. To była Ellen… Tylko Ellen. Przytuliła go. Gładziła mu włosy. „Oj, Edgarze – mówiła swoim zwyczajem. – Oj, ty naiwny Edgarku.” Mole zapłakał. Tak bardzo za nią tęsknił. Za smukłymi, żylastymi dłońmi. Za delikatnym oddechem, który czuł na policzku, gdy leżała obok niego. Za ciepłym, łagodnym głosem. Za wonią perfum. Za uroczym uśmiechem. Mówiła do niego, a jej głos z każdym słowem stawał się wyższy. Szorstki. Nieprzyjemny. Dzwonił głucho, zgrzytał. Wreszcie skrzeczał, tak że Edgar nie był w stanie zrozumieć ani słowa.

– Ellen! – zawołał, ale Ellen gdzieś przepadła. Czarny stwór oplótł szczelnie jego ciało osłonięte skafandrem. Skrzydła owinęły się wokół tułowia. Astrobiolog przełknął ślinę. Sprawiło mu to ból. Gardło było suche jak pieprz. Zimny pot zalał mu plecy. Stwór unosił się wraz z nim coraz wyżej i wyżej. Piasek stał się ciemnofioletowy.

– Ellen! – wołał Mole.

Budowle obcych zostały daleko w dole. Na powrót nabrały żółtej barwy. Zielone niebo migało ostrymi światłami. Stwór zwolnił uścisk. Oddalał się. Szybował pomiędzy kłębami wulkanicznego pyłu. Wnikał w nie. W końcu przepadł bez śladu, rozpłynął się w zieleni chmur. Mole został sam. Było mu gorąco. Czuł, że musi zdjąć kask. Bez chwili wahania odpiął zaczepy na szyi. Uniósł szklaną kopułę. Wciągnął głęboko do płuc gazy z atmosfery Sargona. Były orzeźwiające. Piękne. Takie kolorowe. Zaczarowane. Mole zaczął obracać się wokół własnej osi. Coraz szybciej i szybciej. Zielone chmury wirowały przed oczami. Żółte budowle obcych krążyły w dole. Astrobiolog zaczął się śmiać. Był taki szczęśliwy…

– Edgarze! – krzyczał Green rozdzierającym, piskliwym głosem.

– Doktorze Mole! – ryczał do mikrofonu Jenkins.

Cisza.

– Mole, kurwa mać, odezwij się! – nie ustępował Jenkins.

– Edgar, co się z tobą dzieje?! – martwił się inżynier.

Żaden z nich nie usłyszał odpowiedzi.

– Idę go poszukać – oznajmił po chwili Green.

– Proszę wracać do lądownika! – warknął Jenkins.

– Muszę to zrobić.

– Musi pan wykonywać rozkazy. – Jenkins nagle przestał krzyczeć. Jego głos stał się spokojny. – A ja zarządzam natychmiastowy powrót do lądownika! Zrozumiano?

– Mole potrzebuje pomocy. Nie zostawię go w takiej chwili.

Trentmann spojrzał z niepokojem na Jenkinsa. Dowódca był zadziwiająco opanowany. Z jego szyi znikły pulsujące tętnice, a twarz, którą jeszcze przed chwilą pokrywała purpura, powoli wracała do normalnego kolorytu. Ciekawe – pomyślał Bernard. – Może uznał, że Mole'a spotkała zasłużona kara za niesubordynację? A może obmyślił już plan zemsty? Coś tak paskudnego, że do reszty obrzydzi nam życie?

– W jaki sposób chce pan mu pomóc? – zapytał Jenkins. Coraz bardziej odzyskiwał spokój. Mówił już normalnym tonem.

– Odnajdę go.

Green ruszył w dół doliny.

– A wie pan w ogóle, gdzie go szukać?

– Widzę ślady butów.

Kapitan chwilę milczał. Musiał znów wszystko przetrawić.

– A skąd pewność, że nie spotka pana to samo, co Mole'a? Chce pan trafić po śladach w tę samą zasadzkę? Proszę natychmiast wrócić do lądownika. Wolę stracić jednego człowieka niż dwóch.

Green szedł dalej. Obraz z kamery w kasku trząsł się niespokojnie.

– Rozumiem, że jest pan wzburzony. Ale proszę chwilę się zastanowić i posłuchać głosu rozsądku.

W głośnikach na mostku można było usłyszeć tylko ciężki oddech inżyniera.

– To nie ma sensu – powiedział spokojnie Jenkins. – Spotka pana ten sam los, co doktora Mole'a. W ten sposób nikomu pan nie pomoże. Gdyby miał pan chociaż jakąś broń, ale idzie pan w paszczę lwa całkowicie nieuzbrojony.

Jak on może być opanowany w takiej chwili? – pomyślał Bernard. – Przecież straciliśmy jednego z członków załogi?

Green wciąż nie odpowiadał. Oddech miał coraz cięższy. Obraz wiercił się nieustannie, a stożkowe wieże były bliższe z każdą sekundą.

– Doktorze Green – ciągnął Jenkins – przecież prawdziwy Edgar Mole leży w kapsule telesynchrastycznej na Ziemi. Jest cały i zdrów. Jaki więc sens ma poświęcanie własnego nośnika, by ratować ciało więźnia. Tym bardziej, że próba z góry skazana jest na niepowodzenie. Na co pan w ogóle liczy?

Trudno nie przyznać racji takiemu rozumowaniu – pomyślał Trentmann.

Obraz znieruchomiał. Green najwyraźniej rozważał rzeczowe argumenty dowódcy. Albo przeżywał szok spowodowany stoickim spokojem Jenkinsa.

– M… muszę go… go poszukać – wyjąkał w końcu. Logiczne argumenty, najwyraźniej do niego nie trafiły.

W tej sytuacji Bernard poczuł się zobowiązany zająć stanowisko.

– Dericku – powiedział do mikrofonu. – Kapitan ma rację. To bez sensu. Po co tak ryzykować?

Tym razem na odpowiedź w głośnikach trzeba było czekać naprawdę długo. Oddech Greena zdążył się w tym czasie uspokoić. Kamera od czasu do czasu obracała się nerwowo – inżynier zerkał to na lądownik, to na stożkowe wieże.

– Dobrze – zabrzmiał wreszcie jego głos. Przygaszony, stłumiony. – Wracam do lądownika.

***

W jadalni zasiadło trzech członków załogi – kolejna narada zwołana przez dowódcę. Tym razem jednak spotkanie było naprawdę potrzebne i nawet Trentmann nie śmiałby kwestionować jego zasadności. Długo nikt nie zabierał głosu. Bernard i Derick patrzyli wyczekująco na Jenkinsa. Ten ignorował ich niecierpliwe spojrzenia,

zachowując stoicki spokój, zupełnie jakby miał do czynienia ze zwykłym, rutynowym zebraniem, którego nie poprzedzało żadne wyjątkowe zdarzenie. Rozłożył na stole papiery, przytrzymując je, żeby nie odpłynęły w powietrze, po czym powoli przekładał kartki, szukając czegoś uparcie. Trentmann był coraz bardziej poirytowany. Zachowanie kapitana kompletnie zbiło go z tropu. Spodziewał się wybuchów złości, krzyków, gróźb o doniesieniach do Sztabu. Jenkins najwidoczniej doskonale zdawał sobie sprawę z oczekiwań wobec własnej osoby i nie zamierzał sprawić podwładnym takiej przyjemności. Był prawdziwą oazą spokoju. Wyjął notes i zaczął pisać. Notatka z zebrania – pomyślał Bernard i poczuł, jak jeszcze bardziej wzbiera w nim złość. Śledził ruchy ręki Jenkinsa i odczytywał kolejne słowa: „Notatka z narady nr 94 sporządzona w dniu…” Szlag mnie zaraz trafi!

Dowódca skończył pisanie, rozsiadł się wygodnie i spojrzał na inżyniera Greena.

– Proszę o szczegółową relację z drugiego załogowego lądowania na Sargonie – powiedział.

– Do jasnej cholery! – wrzasnął Trentmann. – Czy musimy odstawiać ten kabaret nawet w takiej chwili?!

Archeologowi puściły nerwy. Dłonie mu drżały, miał przyśpieszony oddech.

Jenkins spojrzał na niego pytająco.

– Nie wiem, o co panu chodzi, doktorze – rzekł spokojnie. – Przecież mamy obowiązek trzymać się regulaminu w każdej sytuacji. Proszę panować nad emocjami.

Bernard mocno przygryzł wargi. Zmilczał.

Green wstał i zaczął zdawać raport. On również nie był zachwycony koniecznością relacjonowania wyprawy, ale nie miał ochoty na kłótnie z dowódcą. Poznał Jenkinsa na tyle dobrze, by mieć pewność, że dowódca nie ustąpi, a sprzeczka byłaby tylko niepotrzebną stratą czasu.

– Astrobiolog Edgar Mole – podjął Green – oddalił się…

– Po kolei – przerwał mu Jenkins. – Najpierw proszę powiedzieć, co działo się zaraz po opuszczeniu lądownika. Czy zdołał pan dociec przyczyny awarii pojazdu planetarnego B-1 oraz usunąć usterkę.

Inżynier spojrzał na dowódcę ze zdumieniem.

– Musimy zachować kolejność zdarzeń w notatce – wyjaśnił Jenkins. – A ponadto, uruchomienie pojazdu B-1 było celem wyprawy, więc od tego właśnie należy rozpocząć raport.

Derick wzruszył ramionami. Nie miał ochoty spierać się z kapitanem. Zerknął tylko niepewnie na Trentmanna, po czym zaczął ze szczegółami opowiadać o awarii łazika B-1. Powiedział o zakłóceniach, które odebrali parę dni temu, o zatajeniu tego faktu przed dowódcą, o próbach naprawy łazika, którego awaria okazała się znacznie poważniejsza niż przypuszczał. Wyłożył wszystkie karty na stół. Uznał, że w obecnej sytuacji nie powinien niczego ukrywać przed dowódcą. Jenkins słuchał go w milczeniu. Bernard od czasu do czasu zerkał na kapitana, ale nie dostrzegł na jego twarzy żadnych oznak niezadowolenia. Jenkins skrupulatnie notował w zeszycie fakty, które zapewne uznał za najistotniejsze.

Derick skończył relację w momencie, kiedy astrobiolog przestał odpowiadać na nawoływania towarzyszy.

– Dobrze – powiedział Jenkins. – Zatem odczytam panom raport z drugiego załogowego lądowania na Sargonie:

Punkt numer jeden: Operacja lądowania zakończyła się powodzeniem. Żaden z członków załogi nie odniósł obrażeń, a lądownik nie został uszkodzony.

Punkt numer dwa: Doktorowi Derickowi Greenowi nie udało się dociec przyczyny awarii, ani też usunąć usterki pojazdu planetarnego B-1, który tydzień wcześniej, po wysłaniu niezrozumiałej transmisji, przestał funkcjonować. Fakt ten załoga zataiła przed dowódcą.

Punkt numer trzy: Doktor Edgar Mole oddalił się samowolnie od lądownika wbrew wyraźnym i stanowczym zakazom dowódcy. Doktor Mole udał się w kierunku niecki doliny Aszur, gdzie zlokalizowane są pozostałości dawnego miasta obcych. Mimo wielokrotnych zakazów

przełożonego doktor Mole odszedł na tyle daleko, iż zerwany został kontakt wzrokowy pomiędzy nim, a doktorem Greenem. Po upływie kilku minut doktor Mole przestał odpowiadać na polecenia i komunikaty wydawane poprzez system łączności. Wszelki kontakt z astrobiologiem został utracony i pomimo wielokrotnych prób nie udało się go odzyskać. W tej sytuacji kapitan Jenkins wydał rozkaz natychmiastowego przerwania misji i powrotu do lądownika.

Punkt numer cztery: Operacja startu z powierzchni Sargona zakończyła się powodzeniem. Doktor Green nie odniósł obrażeń, a lądownik nie został uszkodzony.

Jenkins obrzucił towarzyszy wyczekującym spojrzeniem.

– Czy macie panowie jakieś uwagi? – zapytał. – Chcielibyście coś zmienić? Dodać?

Archeolog i inżynier pokręcili przecząco głowami.

– Dobrze – powiedział kapitan. – Zatem raport w takim brzemieniu zostanie przekazany do Sztabu.

– Kontaktował się pan już ze Sztabem? – zapytał Trentmann. – Co z Mole’em?

Kapitan westchnął.

– Doktor Edgar Mole nadal znajduje się w kapsule telesynchrastycznej. Nie wybudził się do tej pory. Sztab rozważa możliwość zerwania połączenia.

– Czyli nośnik Edgara wciąż żyje! – wrzasnął Bernard. – Jest gdzieś na Sargonie! Możemy go jeszcze odnaleźć!

Jenkins spojrzał na niego z niezadowoleniem.

– Nikt nie wie, co tak naprawdę dzieje się z nośnikiem, którym kierował doktor Mole. Pragnę zwrócić uwagę na fakt, że już dawno wyczerpał się jego zapas tlenu. Sztab obawia się, że nośnik Mole’a może teraz przeżywać niewyobrażalne męki. Dlatego też rozważa odłączenie astrobiologia od aparatury.

– Ciekawa sytuacja – zadumał się Green. – Mole mógł nawiązać kontakt z obcymi. Może został wchłonięty do jakiegoś urządzenia, które utrzymuje go przy życiu, a może…

– A może przeżywa iście piekielne tortury – dokończył za niego Jenkins.

Inżynier westchnął.

– Pomyśl o tym, Bernardzie – zwrócił się do archeologa. Piskliwy głos zgrzytnął nieprzyjemnie.

Trentmann długo milczał. Zmarszczył brwi, a wychudła twarz zdradzała duże skupienie.

– Masz rację – powiedział wreszcie. – Ja też nie zrywałbym połączenia Mole'a. Nauka może na tym wiele zyskać.

– Pański przyjaciel jest poddawany torturom, a pan mówi o korzyściach dla nauki? – zdziwił się Jenkins.

– Nie widzę w tym żadnej zdrożności – bronił się archeolog. – Skąd w ogóle przypuszczenie, że on cierpi? Skąd domniemanie, że obca rasa ma wrogie intencje?

– Takiego domniemania nie ma – odpowiedział spokojnie kapitan. – Jednakże obca rasa niewiele wie o naszej budowie anatomicznej i potrzebach, więc może wyrządzić krzywdę nośnikowi doktora Mole'a, kierując się nawet szlachetnymi pobudkami. Poza tym to wszystko zbyt daleko idące spekulacje. Już wcześniej stwierdziliście panowie, że na Sargonie z całą pewnością nie występują żadne formy życia, zatem najbardziej prawdopodobne jest to, że Mole został schwytany przez urządzenie obcych. Może pułapkę pozostawiono tu właśnie na taką okazję.

– Powinniśmy jeszcze raz wylądować w dolinie Aszur i go poszukać – powiedział Bernard.

Dowódca skrzywił się, słysząc te słowa.

– Proszę zachować rozsądek. Chce pan, byśmy pozwolili złapać się w zastawione sidła jak bezmyślne szczury?

Archeolog nie odpowiedział.

– Na tym kończę dzisiejszą naradę. – Jenkins wstał.

– A co z dalszymi planami? – zapytał Trentmann. – Zawsze ustalaliśmy obowiązki na najbliższe dni.

– W obecnej sytuacji musimy poczekać na stanowisko Sztabu.

Bernard rozłożył bezradnie ręce. Jenkins wyszedł.

– Tym razem ma rację – zaskrzeczał Green. – Najpierw musimy dowiedzieć się, co na to wszystko Sztab.

***

Inżynier Green dosyć szybko otrząsnął się po tajemniczym zaginięciu Mole'a. Prawie w ogóle nie rozpamiętywał tragicznych wydarzeń, które miały miejsce podczas lądowania na Sargonie. Doszedł do wniosku, że jego zachowanie w tamtej chwili było odpowiednie. Nie mógł postąpić inaczej. Edgar sam był sobie winien – powtarzał to w myślach niczym mantrę. – Przecież nikt nie kazał mu samowolnie oddalać się od lądownika i iść na oślep w stronę budowli obcych. Niestety, za własną lekkomyślność i brawurę trzeba nieraz zapłacić najwyższą cenę. Dodatkową okolicznością łagodzącą, która sprawiała, że Green nie czuł wyrzutów sumienia, był fakt, że prawdziwe ciało Mole'a, całe i zdrowe, wciąż znajdowało się w kapsule interferencyjnej na Ziemi.

Derick natomiast bardzo źle znosił utarczki Trentmanna z Jenkinsem. Lubił, gdy wokół panował porządek i wszystko było należycie poukładane. Może i nie był zwolennikiem wojskowej dyscypliny, którą usiłował wprowadzić Jenkins, ale uważał również, że ostatnie słowo zawsze powinno należeć do dowódcy. On nigdy nie odważyłby się kwestionować rozkazów i wychylać z szeregu. Wolał siedzieć cicho – takie postępowanie mogło przynieść zdecydowanie więcej korzyści. Co prawda przez chwilę wahał się, czy w tej sprzeczce nie stanąć po stronie Trentmanna, lecz zmienił zdanie, kiedy był świadkiem bezpośredniej konfrontacji pomiędzy kapitanem a archeologiem, w której ten drugi poniósł sromotną porażkę. Przecież lepiej zawsze trzymać z silniejszym. Dzięki temu życie jest prostsze. Chytre oczy Greena zdawały się uśmiechać do tej myśli.

Inżyniera niezbyt interesowało badanie obcych światów. Od dziecka fascynowały go nowoczesne technologie, automatyka, budowa maszyn, silników tenebrisuncjalnych, komputerów i układów

scalonych. Pasje te wyniósł z rodzinnego domu – zarówno jego matka jak i ojciec również byli inżynierami, tak samo dziadek i pradziadek. Rodzina Greenów zajmowała się inżynierią od czterech pokoleń. Niestety, na pokładzie Nadira Green nie znajdował zbyt wielu ciekawych zajęć. Naprawił zraszacze w sekcji C sektora zieleni, zreperował windę towarową, przeprowadził gruntowną kontrolę stanu technicznego statku, która wykazała parę drobnych usterek, zaprogramował lądownik, przygotowując go do lądowań na powierzchni Sargona. Poza tym, jak każdy inny członek załogi, pełnił obowiązkowe dyżury w sektorze zieleni i na mostku. By wypełnić nadmiar wolnego czasu, odwiedzał nadirską bibliotekę. Wybrał sobie kilka lektur o tenebrisuncjalnych silnikach. Niestety publikacje te nie zawierały żadnych dla niego odkrywczych informacji – ot zwykłe, pobieżne, popularnonaukowe ogólniki.

Tego dnia Derick postanowił poszukać w bibliotece lektury o nieco odmiennej tematyce. Nie wiedzieć czemu, wybrał książkę opowiadającą o losach niejakiego Attyli. Chyba jego uwagę przyciągnęła jaskrawoczerwona okładka. Tytuł również wydał mu się intrygujący: *Attyla: Bicz Boży*. Dlaczego Bicz Boży? Green nigdy nie interesował się historią, jednak dla tej książki postanowił zrobić wyjątek.

Ułożył się wygodnie na pryczy, przypiął pasami i zaczął czytać. Kiedy tylko otworzył książkę na pierwszej stronie, doznał *déjà vu*. Nie potrafił tego w żaden sposób wytłumaczyć, ale odniósł wrażenie, że już gdzieś, kiedyś czytał pierwszy rozdział tej opowieści. Było to co najmniej dziwne – dzieł o tematyce historycznej unikał zawsze jak ognia i był pewien, że nigdy wcześniej, na Ziemi, nie miał w ręku ani tej, ani żadnej innej publikacji, dotyczącej losów okrutnego wodza Hunów.

Długo nie nacieszył się lekturą. Już po chwili zabrzmiało pukanie do drzwi.

– Proszę – powiedział niechętnie.

Do kajuty wszedł Trentmann.

– Chciałem z tobą porozmawiać o tym, co wydarzyło się na Sargonie – powiedział.

Chytre oczy Greena zerknęły na niego z ukosa.

– Nie mogłeś nic więcej zrobić – podjął archeolog. – Edgar był moim przyjacielem. I chcę byś wiedział, że nie mam do ciebie pretensji. W tej sytuacji należało wrócić do lądownika. Prawdziwego Mole'a na pewno żadna krzywda nie spotkała i zobaczymy go całego i zdrowego, gdy znajdziemy się z powrotem na Ziemi.

Derick westchnął.

– A jak ty zachowałbyś się na moim miejscu?

Na chudej twarzy Bernarda pojawiło się zakłopotanie.

– A czy to ważne?

– Dla mnie ważne. Zostawiłbyś nośnik Mole'a tam, na Sargonie?

– Trudno mi postawić się w twojej sytuacji. Ale szczerze mówiąc sądzę, że nie zostawiłbym nośnika Eddiego. Często miewam problemy z zachowaniem zdrowego rozsądku, a niestety w obecnych okolicznościach przypadłość ta nasiliła się jeszcze bardziej. Jenkins działa na mnie jak czerwona płachta na byka. I powiem wprost: stanowcze zakazy sprawiłyby, że bez zastanowienia ruszyłbym w ślad za Mole'em. Co wydarzyłoby się później, chyba nie muszę mówić. Misja straciłaby dwóch członków załogi i to tych odpowiedzialnych za prowadzenie badań, więc w zasadzie byłby to koniec eksplorowania Sargona. Sztab najpewniej kazałby zwijać manatki.

– Dziękuję za szczerość.

Zapadło kłopotliwe milczenie.

– Co czytasz? – zagadnął Trentmann.

– *Attyla: Bicz Boży.*

– Tak, to był prawdziwy Bicz Boży – zaśmiał się archeolog.

– Dlaczego? – Greena temat bardzo zaciekawił.

– Był bezwzględny, okrutny, brutalny. Zamordował setki tysięcy ludzi. Prawdziwy pupilek Stwórcy.

– Pupilek Stwórcy? Dlaczego tak uważasz?

– Bóg co jakiś czas zsyła bezwzględnych tyranów, okrutnych przywódców, którzy rozpętują potężne wojny, w których giną miliony ludzi. To jeden ze sposobów Stwórcy na przetrzebienie populacji *Homo sapiens.* Dzięki temu zachowana jest równowaga w przyrodzie. Aleksander Wielki, Juliusz Cezar, Attyla, Czyngis-chan, Napoleon Bonaparte, Adolf Hitler, Józef Stalin – to prawdziwi boży wysłannicy, wybrańcy, ulubieńcy Boga, jego pupilki. Świetnie się spisali, wypełniając wolę Wszechmogącego.

– Niektórzy twierdzą, że Chrystus był wysłannikiem Boga.

– Nonsens. To był tylko wygadany cieśla, oszust wmawiający ludziom, że coś takiego jak dobro i zło naprawdę istnieje i na dodatek, że w jakimś wyimaginowanym życiu po śmierci jego wyznawcy zostaną nagrodzeni za dobre uczynki, a ukarani za złe. Przecież to absurd. Jedyne boskie prawo, które rządzi światem, brzmi: silniejszy zwycięży, słabszy zostanie zjedzony.

***

Czas dłużył się Bernardowi niemiłosiernie; monotonne dyżury w sektorze zieleni i na mostku przeciągały się w nieskończoność. Odczuł to dopiero teraz, kiedy na pokładzie Nadira zabrakło Edgara Mole’a. Astrobiolog był najbliższą mu osobą, z którą łączyła go nie tylko dawna znajomość z Ziemi, ale również wspólne zainteresowania. Teraz Trentmann musiał w samotności prowadzić badania sargoniańskiej cywilizacji. Wciąż tęsknił za Eddiem. Głównie dla niego postanowił skupić się na pracy ze zdwojoną siłą – nie mógł pozwolić na to, by śmierć jego nośnika poszła na marne. Setki razy obejrzał film zarejestrowany przez kamerę w kasku Edgara, tuż przed zerwaniem połączenia. Miasto złożone z tysięcy stożkowych wież, splecionych ze sobą na wielu poziomach, było niesamowite. Silnie oddziaływało na wyobraźnię, wręcz hipnotyzowało. Obejrzał także zdjęcia satelitarne doliny Aszur. Potem przeanalizował również fotografie innych rejonów księżyca, uważnie przyjrzał się każdemu drobiazgowi. Nie chciał niczego pominąć. Miał nadzieję, że dzięki

wnikliwości zdoła rozwiązać zagadkę sargoniańskiej cywilizacji i odkryć, jak naprawdę wyglądali niegdysiejsi mieszkańcy księżyca. Nie potrafił przeboleć faktu, że podczas lądowania na płaskowyżu Nannar nie natrafili na żadne skamieniałe szczątki. Takie odkrycie znacznie ułatwiłoby dalszą pracę. Brak konkretnych danych sprawił, że do głosu doszła wybujała fantazja Bernarda. Oczami wyobraźni ujrzał frunące w powietrzu, zwiewne nimfy, wpływające przez sterczące kominy do wnętrza dziwacznej kopuły na szczycie ogromnego wzgórza. Nimfy obejmowały go, unosiły i szybowały w nieznane, wysoko ponad powierzchnią księżyca, aż wreszcie stały ląd zniknął z pola widzenia i płynęli pośród czerni usianej gwiazdami. Pięknymi, jasnymi gwiazdami. Lub w mgławicach, wielobarwnych obłokach pyłu.

Obudził się w pozycji siedzącej, przypięty pasami do pryczy. Fotografie satelitarne unosiły się wokół niego. Wyłapał je, jedna po drugiej. Musiał jak najszybciej otrząsnąć się i zapomnieć o dziwacznym śnie. Był pewien, że prawdziwi Sargonianie ani trochę nie przypominali mitycznych stworzeń. Nie byli również podobni do ludzi ani do innych form człekokształtnych. Miasto w dolinie Aszur tylko utwierdziło go w tym przekonaniu: żadnych wejść do budowli na poziomie terenu, żadnych drzwi. Istoty zamieszkujące to miejsce musiały poruszać się w powietrzu i wpływać do budynków przez kanały wystające ze ścian. Może Edgar mylił się, twierdząc, że teoria ewolucji wyklucza taką ewentualność? Może owym stworzeniom udało się wykształcić skrzydła lub inne organy służące do latania i jednocześnie sprawne, chwytne kończyny? W końcu na Ziemi również żyje cała masa bezkręgowców, które posiadają wiele odnóży i skrzydła. Może wcale nie jest to ślepa droga ewolucyjna i przy odpowiednich warunkach takie stworzenia mogą wykształcić inteligencję? Archeolog wyobraził sobie mieszkańców Sargona jako wielkie insekty, coś na kształt olbrzymich ważek, które niegdyś zamieszkiwały Ziemię, z tą różnicą, że na końcach ich odnóży tkwiły dłonie. To była przerażająca wizja. Chyba nikt nie chciałby spotkać

tak wyglądających obcych. Coś mu w tej teorii nie pasowało. Jakby brakowało jakiegoś istotnego elementu układanki. Trentmann postanowił, że za żadne skarby nie spocznie, póki nie znajdzie rozwiązania. Przejrzał raz jeszcze fotografie reliefów, które zrobił w kopule na płaskowyżu Nannar. Rozłożył na stole zdjęcia satelitarne, każde z nich przytwierdzając magnesem do metalowego blatu. I nagle doznał olśnienia. W jednej chwili pojął, z czym ma do czynienia. Był już pewien, że mieszkańcy Sargona nie byli unoszącymi się w powietrzu Nimfami. Nie mieli też skrzydeł ani żadnych innych organów pozwalających szybować nad ziemią. Nie były im potrzebne. Miał ochotę podzielić się swoim odkryciem z resztą załogi. Ale wątpił, że na pokładzie znajdzie się ktoś, kto chciałby go wysłuchać. Z Mole'em dyskutowaliby pewnie o tym długimi godzinami.

Nie mógł dłużej usiedzieć w kajucie. Wpłynął do jadalni. Jak zwykle nie włożył butów z elektromagnesami, dzięki czemu swobodnie frunął ponad podłogą. Gdy usiadł przy jadalnianym stole, zaopatrzony w pojemnik wypełniony porcją różowej, kleistej papki, z sąsiedniego pomieszczenia, przez uchylone drzwi, dobiegła go cicha muzyka. Początkowo zignorował dźwięki, ponieważ od razu domyślił się, że któryś z towarzyszy ogląda film. Melodia, najpierw subtelna i spokojna, stopniowo stawała się coraz głośniejsza. Następnie w idealną harmonię wdzierały się raz za razem niepokojące fałsze. Kiedy w końcu dochodziło do nieznośnego nagromadzenia złowieszczych akordów, muzyka urywała się. Na moment zapadała cisza, po czym cały cykl rozpoczynał się od nowa. Po którymś razie archeolog, zaintrygowany powtarzalnością motywu muzycznego, postanowił bezgłośnie zajrzeć do mesy. Na ekranie telewizora zobaczył zdemolowany samochód. Przednia szyba była rozbita w drobny mak, maska wgnieciona. Asfaltową nawierzchnię wokół wraku pokrywał błyszczący dywan drobinek szkła. Kamera niespiesznie przesuwała się w kierunku pojazdu, zataczała łuk, po czym następowało zbliżenie i ujęcie zaglądało do wnętrza samochodu przez boczną szybę. Na kierownicy spoczywała głowa mężczyzny.

Spomiędzy włosów przezierała ciemnoczerwona plama krwi. Posoka kapała również obficie z nosa. Prawa ręka była złamana – kość wystawała ze zmiażdżonego przedramienia. Na siedzeniu obok tkwiła kobieta ze zmasakrowaną twarzą. Jej głowa opadała bezwładnie w tył, ukazując złamany nos, przeciętą brew, spuchniętą wargę oraz zmiażdżony policzek. Kiedy twarz kobiety wypełniała cały ekran, w głośnikach narastała niepokojąca muzyka. Kadr na sekundę zastygał, po czym szybko ruszał wstecz. Kamera w mgnieniu oka opuszczała wnętrze pojazdu, oddalała się i obracała. Gdy ujęcie znów ukazywało front samochodu, akcja na ekranie ponownie ruszała w przód i sekwencja rozpoczynała się od nowa.

Po co ktoś na okrągło ogląda tę samą scenę? Było to co najmniej dziwne. Bernard wpłynął bezszelestnie do mesy, żeby przekonać się, który z towarzyszy odpowiedzialny jest za tak osobliwe zachowanie. Nie chcąc robić hałasu, odepchnął się od ściany i pofrunął w górę. Zza oparcia fotela wyłonił się czubek głowy: kosmate, czarne włosy. Nie było wątpliwości, że ich właścicielem jest nośnik kapitana Jenkinsa. Bernard nie mógł zobaczyć twarzy dowódcy, ale pozycja w jakiej ten siedział – wyprostowane plecy, napięte mięśnie – świadczyła o tym, że ogląda scenę w dużym skupieniu. Na ekranie znów następowało zbliżenie na potwornie pokiereszowaną twarzy młodej kobiety. Jenkins jeszcze bardziej wyprostował się w fotelu, nawet lekko pochylił się do przodu. Teraz Trentmann zauważył, że jego ramię poruszało się miarowo – w górę i w dół. Nie mógł uwierzyć własnym oczom. Co za chory skurwiel – pomyślał.

Odepchnął się od sufitu i wypłynął z mesy. Wołałby nigdy nie zobaczyć tego, czego przed chwilą był świadkiem. Zaszył się w swojej kajucie na kilka godzin. Zawładnęła nim nienawiść do kapitana. Uczucie to od dawna rosło, pielęgnowane przez długie miesiące, każdego dnia podsycane i dokarmiane kolejnymi ekscesami z udziałem Jenkinsa, ale teraz osiągnęło apogeum. Trentmann nigdy przedtem nikim tak bardzo nie gardził. Nie podejrzewał nawet, że jest zdolny do równie wielkiej nienawiści. Gniew pulsował mu

w skroniach, tłoczony z każdym uderzeniem serca. Dławił go i rozsadzał od środka. Wwiercał się w czaszkę, kłuł tysiącami igieł. Dotąd żadne uczucie nie było tak silne. Jenkins stanowił dla niego uosobienie wszelkiego zła: był żądny władzy, wymagał bezwzględnego posłuszeństwa, z lubością zduszał w zarodku indywidualizm każdej jednostki. Trentmann nie znał nawet dostatecznie mocnych słów, aby opisać nikczemność, haniebność, podłość, wyrachowanie, kłamliwość, obłudę, plugawość i hipokryzję dowódcy.

Gdyby nie było takich jak Jenkins, nie mielibyśmy wojen, podziału na biednych i bogaczy, problemu głodu na świecie. Despotyczne, aroganckie dupki podobne do Jenkinsa zamieniły świat w piekło. Tak! Piekło jest tu i teraz. Chrześcijanie wierzą, że do czeluści piekielnych możemy zostać wtrąceni za złe uczynki. Tymczasem karę odbywamy już teraz. I to przez takich właśnie Jenkinsów. Cała nienawiść Trentmanna zogniskowała się na jednym człowieku. Kapitan stał się w jego umyśle chodzącym symbolem niesprawiedliwości, wszystkich krzywd, jakich doznał gatunek ludzki.

Bernard, zaślepiony złością, wstał z pryczy. Przepłynął korytarz i po chwili był już w jadalni. Sięgnął po kuchenny nóż, pchnął drzwi i wślizgnął się do mesy. Kapitan wciąż siedział w fotelu, lecz na ekranie telewizora rozgrywała się zupełnie inna scena.

– Już skończyłeś się podniecać? – syknął Trentmann, chowając nóż za plecami.

Jenkins odwrócił się i spojrzał na niego zaskoczony. Nie odpowiedział.

– Nie zrozumiałeś pytania?

– Doktorze… – podjął Jenkins, ale Bernard od razu wszedł mu w słowo:

– Starczy tych konwenansów. Jesteś zwyrodniałym kutasem.

Jenkins odpiął pasy i wstał.

– Jeżeli natychmiast nie przestanie pan mnie obrażać, będę zmuszony powiadomić Sztab o pańskim zachowaniu i prosić o odwołanie…

– Mam to w dupie!

W ręku Trentmanna błysnął nóż. Kapitan cofnął się dwa kroki.

– O co ci chodzi? – zapytał niepewnie.

– O co? – Bernard się zaśmiał. – Chodzi mi o to, żeby cię wybebeszyć, a potem wysrać się na twoje truchło. Tylko o to mi chodzi.

Nie podniósł głosu. Mówił spokojnie.

– Co cię opętało? Porozmawiajmy.

– Mam już dosyć jałowych dyskusji. Stanowczo za długo z tobą rozmawiałem. Pora uwolnić twój nośnik. Uwolnić od tego parszywego życia, od cierpienia, które zwą egzystencją, od piekła.

– Lepiej zastanów się nad tym, co zamierzasz zrobić! – Kapitan wyciągnął ręce.

– Już nie mam nad czym się zastanawiać.

Trentmann odepchnął się od fotela i pofrunął w kierunku Jenkinsa. Kapitan wykonał kilka kroków w tył. Elektromagnesy zadzwoniły o metalową podłogę. Plecy napotkały ścianę. Spojrzał na Bernarda, ale w jego wzroku nie było błagania o litość. Z oczu biła jedynie ślepa nienawiść. Trentmann zawahał się. Jeszcze nigdy nikogo nie zabił. Przecież uśmiercę tylko nośnik, a nie tego podłego człowieka – pomyślał. Z drugiej strony wiedział, że ciało należy do zwykłego przestępcy, zwyrodnialca, prymitywnego okrutnika.

Moment zawahania był punktem zwrotnym dalszych wydarzeń. Jenkins znakomicie wykorzystał okazję. Błyskawicznie sięgnął w kierunku ręki uzbrojonej w nóż i złapał ją mocno za nadgarstek. Niemal równocześnie natarł z impetem na Bernarda. Od ścian mesy odbił się głuchy plask towarzyszący uderzeniu dwóch ciał o posadzkę. Po chwili elektromagnesy przywarły do podłogi. Jenkins przygniótł Trentmanna i siedział na nim okrakiem, trzymając go za przeguby dłoni. Był znacznie silniejszy i zwinniejszy. Aż trudno uwierzyć, że nośnik, którym dysponował, znajdował się w tak opłakanym stanie, kiedy kapitan przejął nad nim kontrolę. Intensywne treningi przyniosły zdumiewające efekty. Jenkins ciężko na to zapracował.

Twarz Bernarda wykrzywił grymas bólu. Jenkins raz za razem uderzał jego dłonią o podłogę, aż wreszcie jej uścisk zwolnił się. Nóż odpłynął swobodnie w stronę sufitu. Kapitan z wyższością zajrzał archeologowi w oczy.

– Myślałeś, że ze mną tak potańczysz? – wycedził. – Za cienki jesteś. I to dosłownie.

Trentmann już nawet nie próbował wyswobodzić się z uścisku.

– Teraz się z tobą zabawię – ciągnął Jenkins. – Zrobię z ciebie prawdziwe dzieło sztuki. Poszerzę ci usta, wydłubię oczy… Wreszcie będziesz piękny.

– Co ty chrzanisz?!

To nie może się tak skończyć – pomyślał Trentmann. Poczuł kolejny napływ złości. Gniew zogniskował się w jego umyśle, po czym eksplodował z nieokiełznaną mocą. Bernard podkurczył nogi i wrzasnął. Kapitan runął do przodu ponad jego głową, elektromagnesy w podeszwach oderwały się od posadzki, a ciało poleciało bezwładnie, uderzając w ścianę. Zwolnił się chwyt na nadgarstkach i archeolog odzyskał swobodę ruchów. Odepchnął się od podłogi i pofrunął w kierunku dryfującego noża. Jenkins również szybko odzyskał równowagę – Trentmann usłyszał trzask elektromagnesów, które przywarły do metalowej powierzchni. Tym razem Bernard już się nie zawahał. Ręka niemal sama sięgnęła po nóż, ciało wykonało w powietrzu imponujący piruet, a ramię wyprostowało się błyskawicznie. Ostrze napotkało miękką tkankę. Kapitan z niedowierzaniem spojrzał na własne podbrzusze. Bernard wyjął nóż i pchnął ponownie.

– Zdychaj – syknął.

Kilkakrotnie zatopił ostrze w ciele. Popłynęła krew. Jenkins wydobył z siebie nieludzki jęk. Targały nim spazmy, ale nie upadł. Bernard pchnął go jeszcze kilka razy, obawiając się, że kapitan jakimś cudem przeżył grad ciosów. Pamiętał, jak wiele syntetycznych organów wszczepiono jego nośnikowi. Trudno tego skurwiela zabić –

zauważył w myślach. Po chwili jednak zorientował się, iż pionowa postawa ciała spowodowana jest brakiem grawitacji.

Jenkins znieruchomiał. Elektromagnesy przytwierdzone do podłogi utrzymywały zwłoki w pionie. Ręce unosiły się bezwładnie. Czerwone, krwawe bańki fruwały wszędzie dookoła. Nie trwało długo, a wypełniły całą mesę. Bernard usiadł obok nieboszczyka. Zdumiał go fakt, że nie czuł wyrzutów sumienia. Nic, ani trochę. Może nadejdą później? – pomyślał. Jak na razie odczuwał nawet coś na kształt dumy. To cud. Cud śmierci. Istota ludzka z podmiotu stała się przedmiotem, bezwolną kukłą.

Popłynął do swojej kajuty. Wiedział, że nie ma zbyt wiele czasu, aby dokończyć rozpoczęte dzieło. Prawdziwy kapitan Jenkins pewnie już ocknął się w pojemniku telesynchrastycznym na Ziemi i gdy dojdzie do siebie, opowie o wszystkim przedstawicielom Sztabu. W obliczu takich wydarzeń misja na pewno zostanie przerwana, a transfer telesynchrastyczny Bernarda Trentmanna oraz Dericka Greena niezwłocznie zakończony. Bernard sięgnął po papiery – owoc jego pracy, zrodzony w ciągu miesięcy spędzonych tutaj, na Nadirze. Nie musiał zastanawiać się nad tym, co uczynić w dalszej kolejności. Plan miał od dawna opracowany. Zabójstwo Jenkinsa, choć spowodowane napływem silnych emocji, nie było przypadkowe. Tak naprawdę Bernard rozważał taki krok od dawna. Brakowało mu jedynie impulsu, przysłowiowej kropki nad „i”, pretekstu do działania. A dzisiejsze zachowanie Jenkinsa było idealnym motywem.

***

Trentmann był już niemal gotów do startu. W normalnych warunkach przygotowanie lądownika do lotu trwałoby przynajmniej tydzień, lecz większość tego czasu pochłonęłyby idiotyczne procedury: zorganizowanie pozwoleń ze Sztabu, dokładna symulacja lotu i lądowania na symulatorze, ustalanie współrzędnych lądowania z dokładnością do pół metra, skrupulatna obserwacja miejsca lądowania. Bernard nie miał zamiaru przejmować się formalnościami.

Uzyskanie pozwolenia ze Sztabu w obecnej sytuacji i tak było niemożliwe. Poza tym Trentmann nawet nie potrafiłby nawiązać połączenia z Ziemią, co oczywiście było mu w tej chwili na rękę.

Musiał działać szybko. Trochę czasu stracił na dokładne zaprogramowanie lądownika. Zazwyczaj zajmował się tym Green, teraz Trentmann nie mógł poprosić kolegi o pomoc. Obawiał się jego reakcji na wieść o zabójstwie dowódcy; wolał skorzystać z faktu, że inżynier wciąż jest na mostku i sumiennie wypełnia obowiązki. Opuści posterunek dopiero wówczas, gdy nie doczeka się zmiennika, czyli… Trentmann spojrzał na zegarek.

– Niech to szlag.

Właśnie kończyła się zmiana Greena. Inżynier w każdej chwili mógł zejść z mostku, a pierwszym miejscem, w które się uda, zapewne będzie jadalnia. Tam natomiast… Bernard wzdrygnął się na myśl o szkarłatnych koralach skrzepłej krwi, które musiały już napłynąć do jadalni. Nie zamknął drzwi mesy. Nie ulegało wątpliwości, że Green od razu znajdzie ciało. I co wtedy zrobi?

Trentmann musiał się spieszyć. Nie był pewien, czy dobrze zaprogramował lądownik, ale też nie miał czasu, by roztrząsać tę kwestię. Jedynym wyjściem było postawić wszystko na jedną kartę. Na szczęście towarzyszył Greenowi podczas ostatnich przygotowań do lądowania. Dzięki temu wiedział, jak zabrać się za programowanie maszyny. Derick wówczas nie krył radości z faktu, że ktoś wykazuje zainteresowanie jego pracą i z niemałym entuzjazmem odpowiadał na wszystkie pytania Bernarda. Natomiast Trentmann już wtedy przygotowywał się na ewentualność samodzielnego lotu na Sargona.

Ubrany w skafander, stanął przy lądowniku i złapał oburącz pokrętło klapy. Naparł na nie mocno, lecz pokrętło ani drgnęło.

– Cholera – zaklął.

Zawsze tak jest, kiedy człowiek się spieszy. Skafander w znacznym stopniu krępował ruchy. Bernard zaparł się mocno nogami o ścianę lądownika i raz jeszcze szarpnął pokrętło. Nic.

– Kurwa mać.

Tracił cierpliwość. Na czoło wystąpiły krople potu. Po plecach również spływała ciepła stróżka. Kombinezon nie dość, że był niewygodny, to jeszcze wykonano go z materiału, będącego doskonałym izolatorem termicznym.

Ale ze mnie idiota – przemknęło Trentmannowi przez myśl. – Przecież mogłem założyć skafander dopiero po otwarciu klapy. Tak byłoby dużo prościej.

Niestety, nie miał już czasu na zdejmowanie i ponowne zakładanie kombinezonu. Zerknął nerwowo na zegarek i raz jeszcze naparł na pokrętło. Musiał się z nim jakoś uporać.

– Co robisz?

Bernard zamarł. Tego właśnie najbardziej się obawiał.

Odwrócił się i spojrzał na inżyniera stojącego w drzwiach doku.

– Lecę na Sargona.

Nie było sensu zmyślać.

Green chwilę milczał. Przyglądał się spoconej twarzy archeologa.

– Po co? – zapytał w końcu.

Znalazł już ciało? – zastanawiał się Bernard.

Twarz inżyniera przybrała wyraz kamiennego posągu. Nośnik Greena zawsze odznaczał się ubogą mimiką, teraz jednak jego posągowy charakter rzucał się w oczy, jak nigdy dotąd. A może to tylko złudzenie?

– Zamierzam wlecieć do rozpadliny Niniwa.

Chytre oczy Greena patrzyły przenikliwie na archeologa, ale żaden mięsień na twarzy nie drgnął.

– Po jaką cholerę?

Bernard westchnął. Tego właśnie chciał uniknąć. Straci cenne minuty na pogaduszki z inżynierem, a tymczasem na Ziemi ocucony Jenkins pewnie siedzi już w Sztabie i opowiada o morderstwie. Misja może zostać przerwana w każdej chwili. Z drugiej strony, Sztab nigdy nie był skory do podejmowania pochopnych decyzji. Każde oficjalne stanowisko musiało być poprzedzone wielogodzinnymi naradami,

analizami ryzyka i konsultacjami z zespołem ekspertów. Na to Bernard właśnie liczył. Może starczy mu czasu, by dokończyć dzieła.

Odwrócił się plecami do Greena i znów złapał oburącz pokrętło klapy. Siłował się z nim przez moment, lecz pokrętło nie miało zamiaru ustąpić.

Green obserwował jego wyczyny w milczeniu.

– Pomożesz mi? – zagadnął Trentmann, zerkając na inżyniera przez ramię.

– Nie, dopóki nie wyjaśnisz, dlaczego chcesz wlecieć do rozpadliny.

– Kurwa mać – zaklął Bernard pod nosem.

– Nie ignoruj mnie. – Głos inżyniera zabrzmiał surowo. Był to ton człowieka, który domaga się należytego szacunku.

Bernard nie znał Greena z tej strony.

– Rozwiązałem zagadkę cywilizacji zamieszkującej niegdyś Sargona – powiedział, dysząc po walce z klapą.

Inżynier patrzył na niego wyczekująco. Widział ciało – pomyślał Trentmann. – Nie zachowuje się normalnie. W ogóle nie pyta, dlaczego chcę lecieć bez zgody Sztabu.

– Zauważyłem pewną prawidłowość – ciągnął Bernard. – Może zacznę od początku. – Wytarł pot z czoła. – Na płaskowyżu Nannar znajdują się stare budowle, które wzniosła najprawdopodobniej bardzo prymitywna cywilizacja: piramidy schodkowe, obiekty kultu itp. Podobne obiekty rozsiane są również na kilku innych płaskowyżach, zbliżonych wysokością bezwzględną do Nannar. W niecce doliny Aszur natomiast znajdują się budynki sugerujące o wiele bardziej zaawansowaną technologicznie cywilizację. Wyglądają jak ogromne miasto z rozbudowaną infrastrukturą. Wielopiętrowe wieżowce, połączone ze sobą na wielu poziomach, na pewno nie zostały zbudowane przez prymitywne stworzenia.

– Do czego zmierzasz?

– Przeglądałem zdjęcia satelitarne i zauważyłem, że podobne miasta znajdują się również w kilku innych dolinach, których

wysokość bezwzględna jest mniej więcej równa niecce doliny Aszur, czyli znacznie mniejsza niż płaskowyżu Nannar. Można zatem śmiało wysunąć hipotezę, że im mniejsza wysokość bezwzględna, tym bardziej zaawansowane znajdują się tam budowle.

– Czyli cywilizacja, w miarę rozwoju, przenosiła się coraz niżej. Ale po co? Czemu miały służyć takie wędrówki?

Inżynier na moment się zamyślił. Widać było, że zainteresowały go słowa Bernarda. Może zdołam go przekonać – pomyślał Trentmann.

– Kolejną kwestią – podjął Bernard – jest fakt, że do budowli obcych nie prowadziły żadne drzwi, przynajmniej w naszym rozumieniu tego słowa. Z owych budynków na pewno nie korzystały istoty, które tak jak ludzie poruszały się jedynie po powierzchni gruntu.

– O tym już rozmawialiśmy. Pamiętam, że zaproponowałeś istoty latające.

– Myliłem się – przerwał mu gwałtownie Trentmann. – Sargonianie żyli pod wodą.

Zaległa cisza. Green musiał przetrawić usłyszaną przed chwilą informację.

– To rzeczywiście ma sens – powiedział w końcu. – Jeżeli założymy, że powierzchnia Sargona dawniej pokryta była oceanami, a w zasadzie jednym ogromnym oceanem, rozlanym na cały glob… Gdy temperatura na Sargonie zwiększała się, oceany wyparowywały. Mieszkające tu istoty musiały uciekać coraz głębiej, w miejsca, gdzie występowało odpowiednie dla nich ciśnienie.

Trentmann uśmiechnął się. Był zadowolony, że inżynier tak szybko pojął w czym rzecz i bez cienia wątpliwości przystał na jego wnioski.

– To też tłumaczyłoby brak wejść do budynków – ciągnął Green. – Istoty poruszające się w wodzie mogły swobodnie wpływać do budowli na różnych poziomach, nie potrzebowały jednego zbiorczego

wejścia na wysokości terenu ani klatek schodowych i wind. Ciekawe, jak wyglądały te rozumne stworzenia żyjące w głębinach?

– Pamiętasz reliefy na monolitach w kopule?

– Trudno zapomnieć. Ale jaki one mają związek?

– Pamiętasz jajokształtne stwory z czterema kończynami?

– Myślisz, że tak wyglądali rozumni mieszkańcy Sargona?

– Bardzo prawdopodobne, że były to ich podobizny.

– Ale jak pływali? Nie mieli przecież płetw.

– Przypuszczam, że podobnie jak ziemskie głowonogi, na przykład łodziki, wypluwali wodę poprzez skurcze mięśni i płynęli, niesieni siłą odrzutu. Te dziwne kule na końcach czułków wyrastających z górnej części korpusów, zapewne były narządami rozświetlającymi drogę w morskiej toni. Takie organy występują również u kilku gatunków ryb głębinowych na Ziemi.

– To faktycznie ma sens.– Green spojrzał na Trentmanna. – Ale wciąż nie wiem, dlaczego zamierzasz wlecieć do rozpadliny.

Bernard się zaśmiał.

– Gdybyś chwilę pomyślał, pewnie odpowiedziałbyś na to pytanie. Nie mamy jednak czasu na kalambury. Chcę po prostu dotrzeć w miejsce, w którym znajdę najnowocześniejsze budowle obcych. Sargoniańska cywilizacja musiała zamieszkiwać rozpadlinę centralną tuż przed ucieczką z rodzimego globu.

– No, jasne! – Green uderzył się w głowę. – To najniższy punkt na Sargonie. Musieli tam uciec, kiedy reszta oceanów wyparowała.

– Jestem niemal pewien, że rozpadlina została przez nich sztucznie utworzona. Dzięki niej mieli doraźne schronienie oraz zyskali odrobinę czasu. Niestety, jej wnętrze jest skryte przed kamerami naszych satelitów. – Bernard spojrzał na Dericka. – Pomożesz mi otworzyć klapę?

Inżynier długo milczał.

– A co na to Jenkins? – zapytał wreszcie.

Nie widział ciała – pomyślał Trentmann.

– Jak mnie tu znalazłeś? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

– Usłyszałem hałas dobiegający z doku lądownika i postanowiłem tu zajrzeć. Czemu pytasz?

Trentmann zmilczał.

– Poza tym to ja powinienem zadawać pytania. Nie przyszedłeś zmienić mnie na mostku. Teraz jest twoja kolej.

Nie ma pojęcia o ciele – pomyślał Bernard. – Nie zdążył zajrzeć do jadalni. Kamień spadł mu z serca, lecz nie mógł nic dać po sobie znać.

– Przepraszam cię – powiedział ostrożnie. – Ale sam widzisz, że miałem ważniejsze sprawy na głowie.

– Zupełnie nie rozumiem twojego pośpiechu. Niepotrzebnie znów działasz jak szaleniec. Trzeba najpierw załatwić wszystkie formalności. Porozmawiajmy o tym z Jenkinsem.

Zaczyna się – pomyślał Trentmann.

– Czyś ty zwariował?! Przecież Sztab nigdy nie wyrazi na to zgody!

– Skąd ta pewność?

– Nie będą chcieli podjąć takiego ryzyka po tym, co stało się z Mole’em. Jeżeli w dolinie Aszur znajdują się wciąż działające urządzenia, które były w stanie w jakiś sposób uwięzić Mole’a, to w rozpadlinie Niniwa z pewnością znajdziemy nowocześniejsze. A my wciąż nawet nie wiemy, czym one są i jak działają. Bazują na interferencji telesynchrastycznej – to jest pewne. Przypuszczam również, że w jakiś sposób przejmują kontrolę nad każdym, kto znajdzie się w zasięgu ich działania.

– Ale po co obcy zastawili tu pułapki?

– Może to nie pułapki? Może służyły im do czegoś innego?

Green znów zamilkł, widać było, że po raz kolejny trawi nowe fakty. Irytacja Trentmanna narastała.

Przez tego cykora nie zdążę nawet wsiąść do lądownika – pomyślał. Zastanawiał się, co robić.

– Ta wyprawa to samobójstwo – powiedział wreszcie Derick. – Dobrze o tym wiesz.

Bernard westchnął.

– Wiem. Zginie jakiś pieprzony, wychudzony więzień, ale pomyśl, ile na tym może zyskać nauka.

– Nie mogę na to pozwolić. – Inżynier bacznie przyglądał się archeologowi. – Spróbujmy załatwić to legalnie. Porozmawiamy z Jenkinsem na jutrzejszej naradzie.

– Do jasnej cholery! To nie ma sensu. Jeśli nie zamierzasz mi pomóc, przynajmniej zejdź mi z drogi.

Trentmann wrócił do otwierania klapy. Naparł na pokrętło z całej siły. Poczuł, że drgnęło.

– Czy ty aby wiesz, co robisz? – zaskrzeczał Green.

– Nie wkurwiaj mnie. – Bernard nie przestawał siłować się z klapą.

– Dziwnie się zachowujesz.

Pokrętło puściło. Trentmann przekręcił je i otworzył klapę.

– Jakim cudem w ogóle zaprogramowałeś lądownik?

– Szybko się uczę. – Bernard już zdążył wrzucić kask do wnętrza lądownika i teraz gramolił się przez otwarty właz.

– Nie mogę bezczynnie przyglądać się temu szaleństwu.

Inżynier odwrócił się na pięcie i postąpił kilka kroków w kierunku drzwi. Podeszwy z elektromagnesami zadzwoniły o metalową podłogę. Te odgłosy zaalarmowały Trentmanna.

– Zaczekaj! – krzyknął za nim. – Masz rację. Zawsze byłem w gorącej wodzie kąpany. Dobrze, że sprowadziłeś mnie na ziemię.

W środku w nim aż kipiało, ale musiał opanować złość. Postanowił grać na zwłokę. Nie mógł pozwolić na to, by Green wyszedł na korytarz i zablokował wszystkie drzwi dolnego pokładu, wprowadzając kod na klawiaturze numerycznej. Start lądownika byłby wówczas niemożliwy, a Bernard utkwiłby, zamknięty w doku.

Po jaką cholerę zdradzałem mu to pieprzone hasło? – zachodził w głowę. – Nie chciałem mieć tajemnic przed resztą załogi. I jak na tym wyszedłem?

Derick stanął wpół kroku, odwrócił się i spojrzał podejrzliwie na archeologa. Bernard usiłował wyjść z lądownika. Właz był wąski,

kombinezon niewygodny, wchodzenie i wychodzenie było dosyć problematyczne. Bernard klął w myślach. Jego gniew narastał. Miał świadomość, że stracił już mnóstwo czasu, a każda sekunda była na wagę złota. Po chwili elektromagnesy w podeszwach skafandra uderzyły o posadzkę.

– Zgadzam się z tobą – powiedział Bernard pojednawczo. – To czyste szaleństwo. Pozwól mi się przebrać.

Green od razu zwęszył podstęp. Ani przez sekundę nie wierzył w to, że Trentmann tak szybko zmienił zdanie. Archeolog z natury należał do ludzi upartych, butnych i zawziętych. Wybicie mu z głowy jakiegoś szalonego pomysłu zazwyczaj graniczyło z cudem.

Trentmann ruszył w kierunku szafki, w której zostawił swoje rzeczy. Green stał i obserwował go w milczeniu. Archeolog otworzył szafkę. Pieprzona strata czasu – myślał gniewnie. Ani przez moment nie zamierzał zdejmować skafandra. W szafce miał skryty nóż, narzędzie zbrodni, którym zadźgał Jenkinsa. Już się nie wahał. Wiedział, że każda sekunda zwłoki może kosztować go bardzo wiele. Nie miał czasu na szczegółowe roztrząsanie każdej kwestii. Co za różnica, czy z jego ręki zginie jeden skazaniec więcej czy mniej? To w końcu tylko więzień, szumowina, męt, morderca lub gwałciciel. Życie takiego człowieka nie przedstawia żadnej wartości. A prawdziwy Derick Green po prostu za chwilę obudzi się w pojemniku interferencyjnym na Ziemi.

Chytre oczy Greena przyglądały się uważnie Trentmannowi. Inżynier był pewien, że archeolog coś knuje, ale nie spodziewał się tego, co zaraz miało nastąpić.

Bernard błyskawicznie wykonał półobrót i podbiegł do inżyniera. Derick ledwo zdążył zauważyć, że w ręku archeologa coś błysnęło. Nie był w stanie zareagować. Krew chlusnęła na biały skafander. Green z niedowierzaniem spojrzał na rękojeść wystającą z jego brzucha.

– Ty… ty jesteś pojebany – wyjęczał piskliwie.

To były jego ostatnie słowa. Potem z gardła wyrwał się tylko przeraźliwy wrzask. Trentmanna już wtedy przy nim nie było. Wsiadał z powrotem do lądownika. Nie chciał tracić czasu. Zamknął za sobą klapę. Włączył kolejno wszystkie podzespoły, wciskając przyciski na górnym pulpicie. Popatrzył na wskazania przyrządów. Niewiele mu mówiły, jednak musiał założyć, że wszystko jest w porządku – żadna lampka nie świeciła się na czerwono. Zapiął pasy i włączył autopilota.

– Start za pięć minut – powiedział automat. – Zamykanie wewnętrznych drzwi doku.

Trentmann z niepokojem zerknął na zegarek.

– Wyrównywanie ciśnienia w doku – poinformowała maszyna.

Bernard zapiął zatrzaski hełmu. Usłyszał syk wypuszczanego z doku powietrza. Niecierpliwił się.

– Zapłon silników. Trzy minuty do startu.

Bernard rozejrzał się niespokojnie. Miał dużo miejsca w lądowniku. Maszyna była przewidziana dla sześciu pasażerów. Buchnęły płomienie z dwóch odrzutowych silników. Lądownik zaczął lekko wibrować.

– Otwieranie zewnętrznej przegrody doku. Dwie minuty do startu.

– No dalej – powiedział Trentmann. – Leć wreszcie. Leć.

– Minuta do startu.

Automat zaczął odliczać każdą sekundę.

Dobrze jest – pomyślał Trentmann.

Szum silników był coraz cichszy, aż wreszcie całkowicie ustał. Z doku uleciała resztka powietrza, a wraz z nią ucichły wszystkie dźwięki. Lądownik otoczyła próżnia.

Automat odliczał dalej:

– …cztery, trzy, dwa, jeden, start.

Z silników buchnęły jęzory ognia – litry spalanego tlenu i wodoru. Maszyna bezgłośnie ruszyła z miejsca.

– No to lecimy – powiedział Bernard i zerknął na wskaźniki. Wszystkie były podświetlone na zielono.

Wyprawa Trentmanna z założenia była samobójcza. Archeolog, jako współrzędne lądowania, podał namiary na punkt w samym środku rozpadliny, miejsce, gdzie pozioma linia „T” krzyżowała się z pionową. Obszar ten jeszcze tylko przez półtorej godziny będzie osłonięty przed morderczym promieniowaniem 55 Cancri A. Podróż w jedną i w drugą stronę w tak krótkim czasie była niemożliwa – Bernard doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Jeżeli Sztab nie przerwie wcześniej połączenia telesynchrastycznego lub jeśli jego świadomość nie zostanie wchłonięta przez tajemnicze urządzenia obcych, nośnik i tak zginie, zalany piekielnym żarem gwiazdy.

Lądownik drżał niespokojnie. Był to znak, że zaczął przedzierać się przez gęstą atmosferę Sargona. Gazy tarły o srebrzystą blachę pokrycia, rozgrzewając ją i powodując wstrząsy, lecz Bernard nie odczuwał z tego powodu niepokoju. Nie był to jego pierwszy lot. Poza tym wiedział, że maszyna dobrała odpowiednią prędkość oraz kąt natarcia. Parametry sargoniańskiej atmosfery wprowadził do komputera pokładowego inżynier Green przed pierwszym lądowaniem na powierzchni księżyca, więc Bernard w ogóle nie zaprzątał sobie tym głowy. Atmosfera tutaj była gęstsza niż na Ziemi, dlatego lądownik musiał wlecieć w nią z odpowiednio mniejszą prędkością, niż miałoby to miejsce podczas lądowania na Błękitnym Globie. Trentmann siedział nieruchomo w fotelu, ze wzrokiem wlepionym w czarną czeluść Niniwy, otoczoną spękaną, szarą powierzchnią księżyca.

Czeka na mnie – pomyślał.

Mijały kolejne minuty. Rozpadlina wypełniała coraz większą część iluminatora. W końcu za oknem ziała tylko nieprzenikniona czerń, bezkresna czeluść, w której nikły smugi reflektorów.

Zupełnie jakbym wleciał do pieprzonego piekła – przemknęło Bernardowi przez myśl.

Zerknął na wskaźnik wysokości. Wskazówka nawet nie drgnęła, co znaczyło, że lądownik znajduje się ponad pięćset metrów powyżej

dna rozpadliny – ultradźwięki wysyłane przez przekaźniki nie miały szans odbić się od powierzchni terenu i wrócić do czujników.

Maszyna obniżała lot, wytracając szybkość. Archeolog zaczął nerwowo wiercić się w fotelu. Wreszcie wskazówka wysokościomierza uniosła się. Bernard wytężył wzrok. W słabym świetle reflektorów zamajaczyły jakieś kształty. Ostre, strzeliste, stożkowe wieże, podobne do tych z doliny Aszur. Były ich tysiące. Trentmann bez zastanowienia wprowadził do komputera nowe koordynaty. Postanowił posadzić maszynę tuż obok ogromnego miasta.

– Zmiana współrzędnych lądowania – powiedział komputer. – Proszę zatwierdzić.

Archeolog wcisnął przycisk z napisem „tak”. Trochę obawiał się, że wybrał miejsce zlokalizowane zbyt blisko zabudowań i lądownik roztrzaska się o stożkowe wieże. Na szczęście automatyczny pilot był przygotowany na taką ewentualność.

– Korekta współrzędnych – oznajmiła maszyna. – Podane miejsce lądowania znajduje się w kolizji z istniejącymi obiektami, wykrytymi przez radar. Czy chcesz, aby miejsce lądowania zostało skorygowane automatycznie?

„Tak” – Bernard nie zwlekał z decyzją.

Lądownik wykonał gwałtowny zwrot nad miastem i zaczął podchodzić do lądowania. Wiązki świateł reflektorów muskały czubki irydowych wież. Uwagę archeologa przykuła ogromna kopuła najeżona tysiącami kominów, tkwiąca w samym centrum zabudowanego obszaru. Ona jedna wyróżniała się pośród innych, podobnych do siebie budynków. Światła lądownika prześliznęły się po sferycznej powierzchni zaledwie przez ułamek sekundy, jednak to starczyło Bernardowi, żeby zauważyć mnóstwo podobieństw do dziwacznej budowli, którą widział na płaskowyżu Nannar. Z tym, że ta kopuła była zdecydowanie większa. Liczne kanały łączyły ją z sąsiednimi wieżowcami, tworząc skomplikowaną sieć, w której sercu dumnie stała ona. Widok był imponujący. Muszę do niej dotrzeć – pomyślał Bernard. – Tam na pewno znajdę urządzenia nadające

przekaz interferencji telesynchrastycznej. Zaczął się niecierpliwić. Nie mógł dłużej usiedzieć na miejscu.

Lądownik osiadł łagodnie na dnie rozpadliny, tuż za miastem. Automat rozpoczął odliczanie. Co za cholerna strata czasu – irytował się Bernard. Kiedy komputer zakończył recytowanie sekwencji, blokady włazu zostały zwolnione. Trentmann szybko przekręcił pokrętło i wydostał się na zewnątrz przez wąski, owalny otwór. Otworzył klapę doku i wsiadł do pojazdu planetarnego.

Nareszcie – pomyślał. – Nareszcie. Oby tylko te kutasy ze Sztabu wszystkiego teraz nie spieprzyły.

Bernard wjechał pomiędzy stożkowe wieże. Światła reflektorów muskały gładkie, metaliczne ściany. Budowle były naprawdę ogromne. Trudno było w tych warunkach oszacować ich wysokość – gdy Bernard zadzierał głowę, próbując dojrzeć dokąd sięgają, wierzchołki ginęły w mrokach Niniwy. Poza tym archeolog nie miał czasu na podziwianie architektonicznych dokonań obcej cywilizacji. Pędził jak szalony przed siebie. Miasto było naprawdę rozległe. Na szczęście ulice przecinały się pod kątami prostymi i Bernard nie miał problemów z orientacją w terenie – wystarczyło jechać naprzód, by dotrzeć do centrum metropolii.

Nagle pojazd zaczął zwalniać. Bernard wcisnął gaz do dechy, lecz to nie pomogło. W napływie złości kilka razy nadepnął z całej siły pedał – bez żadnego rezultatu. Podświetlenie pulpitu zgasło. Silnik przestał pracować. Maszyna wytraciła prędkość i zatrzymała się.

– Cholera – zaklął Trentmann.

Nie ulegało wątpliwości, że awaria nastąpiła na skutek działania urządzeń obcych. Z jednej strony, unieruchomienie pojazdu było dla Bernarda niefartem, bo dotarcie na miejsce zajmie mu znacznie więcej czasu, ale z drugiej... dzięki temu mógł mieć pewność, że zmierza w dobrym kierunku – w dziwacznej kopule znajduje się urządzenie nadające przekaz interferencji telesynchrastycznej, a ponadto jest już na tyle blisko, że znalazł się w polu jego działania. Archeolog zabrał latarkę i wyszedł z pojazdu. Ruszył dziarsko przed

siebie. 1,4 g znów dało o sobie znać, jednak Bernard starał się o tym nie myśleć.

Musi dotrzeć do kopuły. Jest już tak blisko.

Potknął się i upadł. Poświecił latarką w to miejsce. Z szarego pyłu wystawał nieregularny, ostry kształt. Skamielina. Kość. Jakiś dziwaczny szkielet, mocno zdekompletowany. Bernard nie miał czasu mu się przyglądać. Zresztą znaczna jego część skryta była pod warstwą pyłu i aby cokolwiek powiedzieć, trzeba by go odkopać. Wiele kości było połamanych, szczątki nie przypominały żadnych znajomych kształtów. Skamielina wymagała tygodni badań. Archeolog wstał i ruszył przed siebie. Teraz już oświetlał latarką grunt pod stopami – nie chciał znów zaliczyć kontaktu z podłożem. Upadki przy większym ciążeniu były zdecydowanie boleśniejsze niż na Ziemi. Promień latarki napotkał kolejny szkielet. I kolejny. Było ich coraz więcej. Po chwili Bernard przedzierał się przez gęsty las skamieniałych kości. Dyszał przy tym ciężko, a pot obficie spływał mu po plecach. Skafander krępował ruchy. Miał ochotę zedrzeć go z siebie.

– Niech to szlag – zaklął pod nosem.

Zalegało tutaj już kilka warstw skamieniałych szczątków. Prawdziwe cmentarzysko. Ile Bernard dałby za to, żeby mieć czas na dokładne przyjrzenie się im. Co to za miejsce? Czyżby Sargonianie przychodzili tutaj dokonać swego żywota? Szedł wytrwale dalej, potykając się co chwilę.

Zaczął widzieć wyraźniej w ciemności. Latarka niemal nie była już potrzebna. Skamieliny nabrały ostrzejszych konturów. Z każdą sekundą stawały się… czerwieńsze.

– Niech to szlag – Bernard przystanął. Chciał wytrzeć dłonią pot z czoła, ale tylko przejechał rękawicą po kasku. – Halucynacje.

Więc tak to działa – pomyślał.

Ściany stożkowych wież były niebieskie. Wszystko wokół falowało.

– Skup się – szepnął do siebie. – Skup się.

Ruszył dalej. Spomiędzy wież wyłoniła się kopuła. Jego ciało stało się lżejsze. Stąpał bez wysiłku, 1,4 g przestało mu dokuczać. Jeden ze szkieletów poruszył się. Kolejny. Bernard przystanął. Kopuła była już dobrze widoczna. Wyglądała na dużo nowocześniejszą niż ta na płaskowyżu Nannar. Kości ożywały… Nagle archeolog zdał sobie sprawę z faktu, że otacza go morska toń. Niebieskie stożkowe budowle falowały, połyskując metalicznie.

– Halucynacje. – Pokręcił głową.

Miliony szkieletów powstawały z martwych, ale nie były to już szkielety. Ich ciała miały kształt elipsoid lekko spłaszczonych u góry, skóra była czarna jak smoła. Z korpusów wyrastały po cztery kończyny, skierowane do przodu. Archeolog od razu rozpoznał istoty, które widział wcześniej, wyrzeźbione na monolitach wewnątrz dziwacznej kopuły na najwyższym wzniesieniu płaskowyżu Nannar. Może to jednak nie halucynacje – pomyślał. – Może w ten sposób komunikują się ze mną. Chcą mi coś powiedzieć. Radość sprawiła mu myśl, że nie mylił się, przypuszczając, iż tak właśnie wyglądali przedstawiciele inteligentnego gatunku, który niegdyś zamieszkiwał Sargona. Najbardziej fascynującą cechą budowy ich ciał był długi czułek wystający z czoła i wygięty w łuk. Na jego końcu tkwiła rozświetlona kula. Dzięki milionom owych swoistych lampek miasto było teraz zalane intensywnym światłem. Bernardowi kręciło się w głowie. Miał wrażenie, że się unosi. Patrzył na kopułę z góry.

– Halucynacje.

Obcy w ogóle nie zwracali na niego uwagi. Płynęli przed siebie, wprost do półsferycznej budowli. Tysiące czarnych stworów wpływało do jej wnętrza poprzez wystające kanały. Bernard zaczął obracać się wokół własnej osi. Nie był w stanie zebrać myśli.

Stracił przytomność.

***

Obudziła go pustka. Nie była to ciemność ani cisza, bo ciemność to brak światła, a cisza to brak dźwięku, natomiast on był pewien, że

w ogóle nie posiada narządów, które pozwoliłyby mu owe bodźce odbierać. Miał wrażenie, że jest zawieszony w próżni, bezcielesny. Stał się nagim, bezradnym umysłem. Przepełniała go jedynie nicość w najczystszej postaci. Uczucie w pierwszym momencie było fascynujące. Niestety, zaraz potem pojawił się niepokój: jak długo przyjdzie mi pozostać w takim stanie? Sam z własnymi myślami, bez żadnych czynników zewnętrznych. To może szybko doprowadzić do szaleństwa. Ile czasu tak wytrzymam?

Czas? Nie czuł upływu czasu. Nie wiedział nawet, czy takie pojęcie jak „czas” istnieje w miejscu, w którym się znalazł. Wiele razy wcześniej rozważał, jak wyglądałoby życie człowieka, który stracił wzrok i słuch równocześnie. Jednostka taka nie miałaby żadnej możliwości komunikowania się ze światem zewnętrznym, funkcjonowałaby tylko w swojej małej, szczelnie zamkniętej rzeczywistości. Sytuacja, w której znalazł się Trentmann, była gorsza. Oprócz wzroku i słuchu utracił również wszystkie pozostałe zmysły, w tym dotyk. Nie wiedział nawet, czy leży, stoi, siedzi, czy też jest zawieszony w próżni. Przez myśl przeszło mu, że może obudził się w pojemniku telesynchrastycznym na Ziemi. Wybudzanie z interferencji bardzo często powodowało dziwne stany umysłu, utraty poczucia czasu i przestrzeni. Oby tylko zmysły szybko mi wróciły – pomyślał. Musiał teraz czekać. Nie pozostało nic innego. Myślę, więc jestem – przypomniała mu się stara sentencja Kartezjusza. Swojego istnienia mógł być pewien. A cała reszta…

Usłyszał sapanie. Początkowo nieznośne, hałaśliwe, dobiegające z niewielkiej odległości. Później, z każdą sekundą coraz cichsze. Odniósł wrażenie, że źródło dźwięku oddala się od niego. Po chwili odgłosy niemal całkowicie umilkły. Cisza nie trwała długo i po kilku sekundach niepokojące dźwięki na powrót zaczęły narastać, przeradzając się stopniowo w nieznośny hałas. Trzykrotnie powtórzył się taki cykl. Każdy z nich trwał najwyżej minutę – razem ze słuchem wróciło mu również poczucie czasu. Spróbował się poruszyć. Niestety, wciąż nie czuł własnego ciała. Chciał coś powiedzieć… krzyknąć,

ale…nie potrafił. Wsłuchał się raz jeszcze w dźwięki. Przypominały dyszenie starego człowieka, który usiłuje wspiąć się po stromych schodach, opierając cały ciężar ciała na balustradzie, w drugiej dłoni ściskając laskę. Był to odgłos niesamowitego wysiłku. Gdy Bernard tego słuchał, miał wrażenie, że sam jest starcem i traci resztkę sił, by pokonać kolejny stopień schodów, ciągnących się w nieskończoność. Czyżbym znajdował się w szpitalu na Ziemi – pomyślał – a obok mnie leży jakiś pacjent z ostrym zapaleniem płuc? Tylko dlaczego dźwięki przybliżają się i oddalają?

Trentmannowi zaczęło wracać czucie. Spróbował otworzyć oczy, ale nie potrafił – powieki były ciężkie niczym z ołowiu, nawet nie drgnęły. Wróciło jego ciało. Leżał zwinięty w kłębek, obejmując rękoma nogi i dociskając je z całej siły do tułowia. Wciąż nie był w stanie się poruszyć. Poczuł narastający ból w klatce piersiowej. Uspokój się – szepnął w myślach do siebie. – Uspokój. Zachowuj się racjonalnie. Nawet, jeżeli nadal jesteś na Sargonie, a nie w szpitalu na Ziemi, nikt nie wyrządzi ci krzywdy. Czemu Sargonianie mieliby chcieć twojego cierpienia? Tak zaawansowana technologicznie cywilizacja na pewno nie jest nastawiono wrogo wobec innych form życia.

Wreszcie udało mu się otworzyć oczy. Wszystko wokół było zamazane, szare. Minęła dłuższa chwila, nim niewyraźne cienie nabrały ostrości i barw. Ale wtedy widok, który ujrzał, przerósł jego najśmielsze oczekiwania. Zdecydowanie nie był to szpital na Ziemi. Znajdował się w jakimś dziwacznym pomieszczeniu, którego ściany… poruszały się. Pulsowały miarowo w równych odstępach czasu, kurcząc się, a następnie wydymając. Można było odnieść wrażenie, że oddychają. Żyją! Z całą pewnością były żywe. Wyglądało to jak wnętrze jakiejś organicznej istoty. Mogły być to na przykład jej płuca lub jakiś inny narząd. Dziwił natomiast fakt, że pulsowały jedynie ściany wraz z sufitem – w zasadzie ściany łagodnie przechodziły w sufit, budując nad głową Bernarda sklepienie – natomiast podłoga pozostawała w bezruchu. Wniosek z tych obserwacji mógł być tylko

jeden: osobliwy organ został w pełni przystosowany do tego, aby pełnić funkcję lokum, mieszkania, celi lub jakkolwiek inaczej to nazwać, jakby zaprojektowany przez zmyślnych inżynierów-genetyków. Pomieszczenie-organ miało kształt wydłużonej elipsoidy, przeciętej w połowie stropem. Elipsoida znajdowała się w ciągłym ruchu skurczowo-rozkurczowym, lecz skurcze nie pokrywały się z odgłosem sapania.

Bernard odzyskał część władzy w rękach. Rozluźnił uścisk. Dłonie opadły bezwiednie na podłogę – na ohydne „coś", co można nazwać podłogą, tylko ze względu na to, iż było pod nim. Tępy ból w klatce piersiowej ustąpił – najwidoczniej spowodowany był kurczowym dociskaniem kolan do piersi. Wyprostował się i ułożył na wznak. Spojrzał w sufit. Cholera – zaklął w myślach. To nie był sufit, tylko coś równie ohydnego jak osobliwy twór, który zmuszony był nazwać „podłogą" i równie okropnego, jak „żywa" ściana, do której jeszcze przed chwilą przyciskał twarz. Początkowe odrętwienie powoli zaczęło ustępować, oddech Bernarda stawał się wolniejszy i bardziej miarowy.

Gdzie zniknął mój skafander? – pomyślał.

Teraz dopiero uświadomił sobie, że jest nagi. To spostrzeżenie prowadziło do kolejnego pytania: Skąd tutaj powietrze? Co prawda w atmosferze Sargona nie brakowało azotu, który jest głównym składnikiem powietrza, ale nigdy nie występował tutaj tlen. Na Ziemi gaz ten pojawił się dzięki roślinom lądowym, a tych na Sargonie nigdy nie było – oczywiście jeśli teoria Trentmanna jest prawdziwa i księżyc kiedyś w całości pokryty był ogromnym oceanem. Można założyć, że wypełniono to pomieszczenie powietrzem specjalnie dla Bernarda, wciąż jednak pozostawało pytanie: Skąd obcy wiedzieli, że istocie ludzkiej do życia niezbędna jest taka, a nie inna, mieszanina gazów? Czyżby zdążyli już tak dobrze poznać anatomię człowieka? A może po prostu przebadali zawartość butli w skafandrze Trentmanna? To w sumie możliwe, lecz też pozostawiało pewne niedomówienia – w butlach znajdowała się mieszanina tlenu i azotu, w której ten

pierwszy gaz występował w ilości nieco większej niż na Ziemi. Dopiero w kasku kombinezonu gazy ze zbiorników łączyły się z wydychanym dwutlenkiem węgla, dzięki czemu powstawała mieszanka odpowiednia dla ludzkiego organizmu. Podczas wdychania zbyt dużej ilości tlenu można szybko nabawić się hiperwentylacji lub nagłych napadów euforii – oddychając w skafandrze, trzeba było ciągle o tym pamiętać. Tutaj Bernard oddychał swobodnie, więc tlen występował w odpowiedniej ilości w stosunku do innych nietrujących gazów. A owej „odpowiedniej ilości" Sargonianie nie mieli prawa znać. Po tej konkluzji w umyśle Bernarda zasiało się ziarno niepewności: Czy to dzieje się naprawdę? Czy też są to kolejne halucynacje? W tej kwestii trudno było cokolwiek rozstrzygnąć i Trentmann szybko doszedł do wniosku, że nie potrafi w żaden sposób stwierdzić, czy to, co go otacza, jest prawdziwe. Ale cóż znaczy prawdziwe? Który świat jest prawdziwy? Jeżeli znajduje się teraz w jakimś wszechświecie równoległym, alternatywnej rzeczywistości, czy może powiedzieć, że jest ona prawdziwa? Niektóre teorie fizyki relatywistycznej dowodzą istnienia takich właśnie światów. Bernard słyszał o tym wiele razy. Jakże zatem mógłby arbitralnie rozstrzygnąć, co jest rzeczywiste? Myślę, więc jestem – to jedyna dewiza, której mógł być pewien. Moje własne istnienie jest niepodważalne – pomyślał. – Cała reszta zależy jedynie od subiektywnego podejścia. Wielu filozofów na przestrzeni dziejów udowadniało, że rzeczywistość, która nas otacza, jest tylko złudzeniem uzależnionym od naszych narządów poznawczych. Wystarczy wspomnieć chociażby solipsystów lub poglądy George'a Berkeley'a.

Bernard wstał i zaczął dokładnie, z bliska przyglądać się ścianom celi – jeśli to coś można nazwać „celą", a owe dziwne twory „ścianami"? Nigdy dotąd nie spotkał się z niczym podobnym i nie znał słów, którymi mógłby owe osobliwości opisać.

Nieważne, czy są to moje zwidy, czy nie – przeszło mu przez myśl. – Muszę wszystko dobrze zapamiętać. To może być jedyna szansa dla

ludzkości.

Z bliska zauważył, że krwistoczerwona powierzchnia ściany poprzecinana jest cienkimi, nieregularnymi liniami, które łudząco przypominały naczynia krwionośne. Dałby nawet głowę, że w dziwnych żyłach płynie jakaś ciekła substancja podobna do krwi. Wydawało mu się, iż widzi pulsujące tętno, ale mogła być to jedynie sugestia. Podłoga nie miała już tak intensywnego koloru świeżej, dotlenionej krwi jak ściany. Była o wiele ciemniejsza. Miała odcień niemalże bordowy i kojarzyła się z krwią wracającą do płuc po nową porcję tlenu.

Trentmann ostrożnie dotknął ściany. W miejscu, w którym palec musnął krwistoczerwoną powierzchnię, niesłychana, żywa materia skurczyła się i jakby cofnęła do wewnątrz. Przywodziło to na myśl kurczącego się ślimaka, któremu dotknie się czułków. Poczuł lepkość ściany. Uczucie, jakby dotykał żaby, która dopiero co wyszła z wody. Nacisnął na ścianę z większą siłą. Ta najpierw ustąpiła, a następnie objęła rękę chłodnym, lepkim uściskiem. Dłoń zginęła w jej wnętrzu, a powierzchnia wokół nadgarstka zdawała się być nienaruszona. Uścisk, początkowo delikatny, z każdą sekundą stawał się coraz silniejszy. Bernard poczuł niepokój. To pułapka – pomyślał i pociągnął z całej siły dłoń, by wydobyć ją ze zdradliwego objęcia. Udało się. Ściana puściła. Kilka sekund dłużej i trudno powiedzieć, co by się wydarzyło. W murze pozostała dziura o nieregularnych krawędziach. Otwór natychmiast zasklepił się, a żywa materia zaczęła na powrót oddychać miarowym rytmem, zupełnie jakby niedawny incydent nigdy nie miał miejsca.

Bernard zaczął nerwowo chodzić wkoło. Nigdzie nie widział czegoś, co przypominałoby drzwi.

Gdzieś musi być wyjście – myślał. – Przecież jakoś mnie tu wprowadzili.

Niestety, ściana wszędzie wyglądała tak samo i stanowiła idealny wręcz monolit, przechodząc łagodnym łukiem w sklepienie nad jego głową.

Jak się stąd można wydostać? – to pytanie zaczęło go dręczyć tak bardzo, że nie mógł myśleć o niczym innym. Przez chwilę nawet miał ochotę nabrać rozpędu i z całym impetem uderzyć w krwisty mur. Może siłą rozbiegu zdołałby rozszczepić strukturę ściany i przedostać się przez nią na zewnątrz? Rozważywszy jednak wszystkie za i przeciw, stwierdził, że takie działanie raczej nie miałoby sensu i byłoby zbyt ryzykowne. Wzdrygnął się na myśl o tym, jak ściana potraktowała jego dłoń. Wyobraził sobie siebie wchłoniętego gdzieś do wnętrza tego ogromnego organizmu, a następnie ściśniętego i zduszonego w lepkim, wilgotnym uścisku. Fantazja poszybowała dalej – zobaczył, jak żywa materia trzyma go nieżywego w swych objęciach i zaczyna powoli trawić.

W końcu, zmęczony chodzeniem oraz zniechęcony brakiem jakichkolwiek sensownych konkluzji, usiadł na podłodze. Gdy emocje opadły, poczuł się niezwykle wyczerpany. Jakaś wewnętrzna obawa podpowiadała mu, że nie powinienem zasypiać w tym dziwnym, nieznanym miejscu.

Mijały długie godziny, a Bernard wciąż walczył ze snem. Oczy zamykały się coraz bardziej i w końcu poczuł, że przegrywa karkołomny pojedynek z własnym zmęczeniem.

***

Obudziła go woda. Była wszędzie. Siedział zanurzony w niej po pas. Nie była ani zimna, ani gorąca, miała temperaturę ludzkiego ciała – idealnie trzydzieści sześć i sześć stopni Celsjusza. Rozejrzał się. Podłogę elipsoidalnego pomieszczenia, pokrywała warstwa przeźroczystego płynu, sięgająca około trzydziestu centymetrów. Czy to na pewno woda? W pierwszej chwili nie miał co do tego wątpliwości. Teraz… Nabrał trochę cieczy w dłoń i zbliżył do nosa. Była bezzapachowa. Zwilżył wargi – nie czuł smaku. Tak, to bez wątpienia woda. Obmył twarz i wstał. Woda sięgała do połowy łydki. Zaczął brodzić w niej, przechadzając się po celi.

A może to jakiś eksperyment? – nagła myśl zrodziła się w jego głowie. – Teraz bacznie mnie obserwują, badają moje reakcje i wyciągają daleko idące wnioski na temat mojego gatunku. Chcą wiedzieć, z kim mają do czynienia i czy w ogóle warto ze mną nawiązać kontakt.

– Słyszycie mnie? – zapytał.

Odpowiedziało tylko bezduszne sapanie, które teraz akurat stało się hałaśliwe. Trentmann poczekał chwilę, aż dźwięki ucichły, i powtórzył głośniej pytanie:

– Słyszycie mnie?!

Nic. Cisza. Spojrzał na eliptyczny strop. Zauważył, że na szczycie przybrał kolor lekko żółtawy.

– Co mam zrobić?! Czego ode mnie chcecie?! Nie jestem waszym wrogiem…

Urwał, bo stwierdził, że takie działanie raczej pozbawione jest sensu. Przecież istoty pochodzące z globu oddalonego od Ziemi o dziesiątki lat świetlnych nie mogły zrozumieć jego słów. Nawet nie miał pewności, czy stworzenia te porozumiewają się za pomocą dźwięków. Tym bardziej, że prowadziły podwodny tryb życia, a w morskich głębinach dźwięki mają zdecydowanie mniejszy zasięg.

Woda! Bernard spojrzał pod nogi. Jej poziom wyraźnie się podniósł. Teraz sięgała kolan.

Utopią mnie – pomyślał panicznie. – Nie wiedzą, co robią.

Zaczął nerwowo biegać, rozchlapując naokoło przeźroczystą ciecz. Ganiał tam i z powrotem. Którędy woda się tu dostaje? Macał ścianę tuż nad podłogą. Kurczyła się pod jego dotykiem. Była lepka. Obszedł celę dokoła, szukając otworu przy podłodze. Niczego nie znalazł. Woda zdawała się przenikać przez krwiste mury. Przybywało jej w zastraszającym tempie. Sięgała już niemal do pasa.

– Zabijecie mnie! – krzyknął. W odpowiedzi usłyszał tylko ciężkie sapanie.

Uderzył w ścianę. Towarzyszyło temu ciche chlupnięcie. Walnął raz jeszcze. I jeszcze. Nic, tylko bezduszny chlupot. Ściana na chwilę

cofnęła się, po czym wróciła do dawnego położenia i na powrót zaczęła kurczyć się i wydymać. Bernard spanikował. Nie chciał, by ta historia miała taki finał. Nie po to Nadir przebył ponad czterdzieści lat świetlnych, nie po to zginęło tylu ludzi, i wreszcie nie po to on – Bernard Trentmann – dopuścił się dwóch morderstw oraz samowolnego lądowania w rozpadlinie Niniwa, żeby teraz zwyczajnie utonąć. Woda sięgała już do ramion.

– Utopicie mnie, skurwysyny!

Musiał działać. Trudno było mu rozpędzić się w wodzie, ale spróbował. Skoczył wprost na krwistą ścianę. Żywa materia ustąpiła i objęła go lepkim uściskiem. Czuł jej kleistą powierzchnię. Zaczął się miotać, wierzgać niczym mucha złapana w lep. Organiczna substancja obejmowała go coraz mocniej, tak że brakowało mu tchu. Po chwili jednak zaczęła ustępować, cofać się do wewnątrz, a następnie wypychać Bernarda. Wreszcie wypluła go z impetem. Wylądował z powrotem w wodzie. Było jej już tak dużo, że nie potrafił stopami sięgnąć dna. Pływał, zadzierając głowę i wypatrując z nadzieją jakiegoś otworu w środku elipsoidalnego stropu, który był teraz jasnożółty. Trentmann zanurkował. Ściany również były żółte, natomiast podłoga przybrała barwę krwistoczerwoną. Nigdzie nie widział wyjścia z pułapki. Poziom wody stale się podnosił.

Którędy ucieka stąd powietrze?

Szczelnie zamkniętego pomieszczenia nie da się wypełnić wodą, nie zapewniwszy ujścia dla powietrza. Za dużo było niewiadomych. Nic nie trzymało się kupy. Trentmann przestał się miotać i postanowił pogodzić się z własnym losem – za chwilę obudzi się w pojemniku interferencyjnym na Ziemi i nic już tego faktu nie zmieni. Wody wciąż przybywało. Jego głowa znajdowała się przy szczycie kopuły. Po chwili nos ledwo wystawał ponad lustro przeźroczystej cieczy i niemal dotykał lepkiego, żywego sklepienia. Bernard chciał wziąć ostatni haust powietrza i nagle… zorientował się, że wcale tego nie potrzebuje. Pojął, że nie oddycha. Powietrze przestało być dla niego niezbędne. Woda otoczyła go ze wszystkich stron, wlewała się do

uszu, nosa i ust. Sprawiało mu to przyjemność. Nurkował wewnątrz elipsoidalnego pomieszczenia, pływał od ściany do ściany i czuł się wolny. Teraz był już pewien, że świat wokół niego nie jest prawdziwy. Uległ kolejnym halucynacjom, spowodowanym przez tajemnicze urządzenia obcych. Jakaż to fascynująca cywilizacja – pomyślał. Spróbował sobie wyobrazić, jak wyglądało życie istot mieszkających pod wodą: ich miasta, zwyczaje, zachowanie, urządzenia czy nawet zwykłe sprzęty domowe – wszystko musiało tak bardzo różnić się od tego, co znał z Ziemi. Sargona zamieszkiwała naprawdę wyjątkowa cywilizacja. A może… Może w skali kosmicznej ludzkość jest wyjątkowa? W końcu początki każdego życia wywodzą się z wody. Astrobiolodzy od setek lat są zgodni co do tego, że występowanie wody w stanie ciekłym jest nieodzownym warunkiem pojawienia się organizmów żywych. Już w dwudziestym stuleciu Miller i Urey przeprowadzili eksperyment, w którym wykorzystali tak zwaną zupę pierwotną – mieszaninę wody, metanu, amoniaku i wodoru. W owym aglomeracie prebiotyków samoczynnie pojawiły się proste aminokwasy, podstawowy budulec istot biologicznych. Zatem życie jak najbardziej może powstać na planecie, na której w ogóle nie występuje stały ląd, natomiast wykluczone jest jego pojawienie się na globie pozbawionym wód gruntowych, rzek, mórz i oceanów. Rodzi się zatem pytanie: Czy występowanie na jednej planecie wody oraz stałego lądu jest częste? Czy może Ziemia pod tym względem stanowi wyjątek i tylko tu organizmy żywe mogły wyjść na ląd? Na innych światach życie od początku do końca rozwijało się w oceanicznych głębinach, sterowane ewolucją – odwiecznym mechanizmem, który zawsze dąży do stworzenia istot doskonale przystosowanych do panujących warunków, a jednym z etapów na tej drodze jest organizm rozumny? Bernard niemal od zawsze był pewien, że życie we Wszechświecie liczącym tryliony gwiazd, jest powszechne, lecz teraz zaczął wierzyć w to, że w większości są to organizmy żyjące pod wodą.

Trentmann łagodnie opadł na krwistą podłogę. Minęła już pierwsza fascynacja podwodnym życiem oraz brakiem konieczności oddychania, i teraz poczuł ogromne zmęczenie. Umysł zaczął wracać do bardziej przyziemnych problemów. Kiedy wybudzą mnie z interferencji? – myślał niespokojnie. Chciał pozostać tu jak najdłużej i jak najdłużej przeżywać fascynującą przygodę, która może okazać się również ogromnym krokiem naprzód dla nauki na Ziemi. Miał nadzieję, że Sztab nie podejmie szybko decyzji o przerwaniu jego połączenia telesynchrastycznego. Obawiał się jednak, że może to być kwestia najbliższych minut. Przecież od momentu śmierci nośnika Jenkinsa musiało upłynąć dobrych kilkanaście godzin. W obliczu wydarzeń, które miały miejsce na pokładzie Nadira, Zarząd nie powinien tak długo zwlekać z decyzją. Dziwne było też to, że Bernard nie zginął w piekielnym żarze 55 Cancri A, który powinien dotrzeć również do dna rozpadliny. Odkąd tu jest, Sargon chyba ze dwa razy zdążył wyłonić się z cienia Galileo. Chociaż istniała także możliwość, że Trentmann źle ocenił upływ czasu.

Te rozmyślania jeszcze bardziej wyczerpały Bernarda. Zasnął.

***

Ocuciło go delikatne szarpnięcie. Ktoś, a raczej coś, trzymało rękę na jego ramieniu – czuł ją wyraźnie i wiedział prawie na pewno, że nie jest to ludzka ręka. Jej dotyk przeszywał lodowatym chłodem. Palców miała zdecydowanie więcej niż dłoń człowieka i były one o wiele dłuższe, smuklejsze i jakoś dziwnie powyginane. Trentmann bał się otworzyć oczy. Ale nie lękał się o własne życie. Po prostu nie miał pojęcia, jak powinien się zachować. Była to historyczna, doniosła chwila – pierwszy kontakt człowieka z przedstawicielem obcego, rozumnego gatunku i… Trentmannowi nagle zabrakło pewności siebie. Nie wiedział, czy podoła temu wyjątkowemu zadaniu, czy będzie godnie reprezentował ludzkość. Wcześniej w ogóle nie zaprzątał sobie tym głowy, teraz problem ów urósł do niesłychanych rozmiarów. Bernarda zjadała trema niczym początkującego

konferansjera, który po raz pierwszy w życiu ma wygłosić kwestię przed milionami widzów. Z tym, że Bernard nie przygotował sobie żadnego przemówienia i chyba głównie na tym polegał problem. Postanowił nadal tkwić w bezruchu i udawać, że śpi – była to jedyna reakcja, na jaką na razie potrafił się zdobyć. Potrzebował trochę czasu, aby pozbierać myśli.

Ręka zacisnęła się mocniej na ramieniu. Lodowaty dreszcz przeszył mu plecy. Która żywa istota może mieć tak niską temperaturę ciała? Są zmiennocieplni? A może taki podział w ogóle ich nie obowiązuje? Otaczała go głucha cisza – teraz dopiero uzmysłowił sobie, że wraz z napływem do celi wody ucichło nieznośne sapanie.

Dłoń rozluźniła uścisk. Po chwili puściła zupełnie. Trentmann powoli otworzył oczy. Zobaczył dwie istoty, unoszące się w przeźroczystej toni. Jedna znajdowała się tuż obok niego, druga nieco dalej. Skóra stworzeń była czarna jak smoła. Ich ciała miały kształt elipsoid. Bernard rozpoznał istoty, które widział wcześniej w swojej wizji obok kopuły oraz na reliefach na płaskowyżu Nannar. Rozświetlone kule na końcach czułków sprawiły, że w celi stało się jaśniej. Bernarda ogarnęło dziwne uczucie, jakby *déjà vu.* Nie potrafił tego w żaden sposób wytłumaczyć, ale w sylwetkach obcych dostrzegł coś znajomego.

Istoty przyglądały się Bernardowi oczami pozbawionymi źrenic i tęczówek, wypełnionymi jedynie nieprzeniknioną czernią. Ich spojrzenia były… myślące – Trentmann nie miał co do tego wątpliwości. Kiedy patrzył w smoliste ślepia, widział nieskończoną mądrość, wiedzę przez gatunek ludzki jeszcze niepoznaną.

Druga z istot podpłynęła bezgłośnie do Bernarda. Wielopalczasta dłoń wyciągnęła się w jego stronę i spoczęła na głowie. Stwór przeszył Trentmanna wzrokiem. Archeolog pojął, że nie jest w stanie niczego ukryć przed tym przenikliwym spojrzeniem. Każda myśl zrodzona w mózgu stała się jawna, prawie jak wypowiedziana na głos. Postanowił wytrzymać… Wytrwać, patrząc wprost w czarne ślepia.

Wzrok obcego nabrał innego zabarwienia – stał się pełen empatii. Czyżby współczuł mi tego, że jestem tak marnym stworzeniem? – pomyślał Bernard. Wyczuwał wyraźnie przychylność nieznanej istoty oraz jej chęć pomocy – i był pewien, że ów stwór w takim samym stopniu czuje jego zagubienie i lęk. Może uczucia właśnie temu mają służyć? Podczas takiego kontaktu są jedyną możliwością porozumienia?

Szponiasta dłoń zacisnęła się mocniej na głowie Bernarda. W jednej chwili wszystko, co go otaczało, straciło znaczenie. Nieważne były oddychające ściany, woda, Sargon, Nadir, pojemnik telesynchrastyczny na Ziemi i decyzja Sztabu. Świat wokół zawirował, rozmazał się i zniknął. Świadomość Bernarda uniosła się wysoko ponad przeklęty eliptyczny strop. Wysoko ponad to wszystko. Krwistoczerwona podłoga nie stanowiła już dla niego żadnej przeszkody. Szybował w czarnych, nieprzebranych oceanach, pchany siłą, nad którą nie mógł zapanować. Raz za razem uderzał w nieprzeniknione fale próżni. Widział! Widział miliardy istnień, zanurzonych w odmętach wypełnionego pustką Wszechświata. Czuł! Tak, czuł prawdziwie, bo nie za pomocą zmysłów, lecz całym sobą! Pozbył się kajdan, które więziły go przez tyle czasu! Czas? Czasu nie ma i nigdy nie było. Tak samo, jak nigdy nie było kajdan. Wrócił do domu po długiej wędrówce, po jednej z wielu podróży. Nagle odzyskał pamięć. Wiedział, co wydarzyło się przed tą chwilą i co nastąpi po niej. Jaźń wyzwoliła się z objęć niedoskonałego ciała. Zrozumiał… wreszcie zrozumiał. Tak musiało być! Tak było wiele razy wcześniej.

Krąg się zamknął.

***

Biała sala, aparatura medyczna, szpitalne łóżko, niewielkie okno, zamknięte drzwi. Bernard nie potrafił dojść do siebie. Nie miał nawet pojęcia, kim jest i gdzie się znajduje. Próbował przypomnieć sobie cokolwiek. Bezskutecznie. Po jakimś czasie wspomnienia odżyły. Pobyt na Nadirze w układzie 55 Cancri, lot na Sargona, Jenkins,

rozpadlina Niniwa, żywa, krwista cela, nieznane stwory pływające w oceanicznej toni – obrazy kolejno pojawiały się w umyśle.

Spojrzał na swoje dłonie i odetchnął z ulgą. Teraz był już pewien, że wrócił do dawnego ciała i ocknął się w kapsule telesynchrastycznej na Ziemi. Jakże brakowało mu silnych ramion i umięśnionych ud. Miał już szczerze dość wychudzonego nośnika, w którym był uwięziony przez prawie siedem miesięcy. Nie sądził, że tak ciężko to zniesie.

Potem przypomniał sobie cała resztę: zabójstwo nośnika Jenkinsa, zabójstwo nośnika Greena. Nie mógł w to uwierzyć. Tragiczne wydarzenia były niczym koszmarny sen. Jak to w ogóle możliwe?

Następnie nadszedł lęk. Paniczny, ściskający gardło. Co ze mną zrobią? Sąd wojskowy? Wyrok? Więzienie?

Po strachu przyszła pora na wyrzuty sumienia. Poczuł je po raz pierwszy dopiero teraz. Czy wcześniej nie miał na nie czasu? Czy może tam, na Nadirze, całkowicie wyzbył się człowieczeństwa?

Próbował zasnąć – bezskutecznie. Wiercił się nerwowo w łóżku, błagając Boga, w którego do tej pory nie wierzył, by wszystko okazało się tylko złym snem.

Pod wieczór, kiedy słońce za oknem chyliło się ku zachodowi, do szpitalnej sali wszedł mężczyzna w białym kitlu. W słabym świetle, wpadającym przez malutkie okienko, jego włosy i krzaczasta broda były idealnie czarne. Lekarz stanął obok łóżka. Długo przyglądał się pacjentowi. Wreszcie powiedział:

– Jak się pan czuje?

– Paskudnie – rzucił Trentmann, nie siląc się na uprzejmość.

Jedynym plusem, jaki znajdował w obecnej sytuacji, był powrót do własnego ciała. Ale jak miał się z tego cieszyć, skoro na resztę życia trafi do więzienia?

– Coś panu dolega? Coś boli?

Bernard nie odpowiedział. Jego organizm był w należytym porządku, a lekarz doskonale o tym wiedział.

Doktor westchnął.

– Pan wybaczy mój nietakt. Jestem Robert Burke, lekarz chorób wewnętrznych.

– Pamiętam pana, doktorze – wybełkotał Bernard. – Poznaliśmy się, zanim trafiłem do kapsuły telesynchrastycznej.

– Przepraszam. Myślałem, że pan jeszcze nie odzyskał w pełni pamięci. To typowy objaw po przerwaniu połączenia.

– Niestety, już odzyskałem. – Bernard wlepił wzrok w okno.

Lekarz chwilę milczał.

– Czy jest pan gotów na spotkanie z psychologiem? – zapytał wreszcie.

– Psychologiem?

Doktor Burke uśmiechnął się z zakłopotaniem.

– Każdemu pacjentowi, który powrócił z przekazu interferencji telesynchrastycznej, zapewniamy opiekę psychologa. To nieodzowne.

– Psycholog w niczym mi nie pomoże.

Lekarz westchnął.

– Wszyscy tak mówią.

Bernard zmilczał. Burke patrzył na niego badawczo.

– Widzę – powiedział po chwili – że wciąż jest pan bardzo osłabiony. Proszę spokojnie dochodzić do siebie. Szok pointerferencyjny niebawem minie.

– Minie? – obruszył się Trentmann. – Czy pan w ogóle wie, co tam zaszło?

Burke nie odpowiedział. Postał jeszcze jakiś czas przy łóżku Bernarda, po czym wyszedł.

Następnego dnia zjawił się u Trentmanna niespodziewany gość. Ktoś nieśmiało zapukał do drzwi, po czym lekko je uchylił. Bernard niechętnie zerknął w ich stronę. Był pewien, że zobaczy psychologa, który przyszedł na polecenie doktora Burke’a. Na szczęście, zamiast tego w progu ujrzał niepozornego człowieczka ubranego w szpitalną piżamę.

– Mogę wejść? – zapytał Edgar Mole.

Na dźwięk jego głosu Bernard niemal zerwał się z łóżka.

– Oczywiście, Edgarze – odpowiedział z entuzjazmem.

Wizyta astrobiologa poprawiła mu humor. Od dawna brakowało mu rozmów z Eddiem. W pierwszej chwili nie rozpoznał przyjaciela, gdyż przez pół roku, które spędzili wspólnie na Nadirze, zdążył przywyknąć do tego, że Mole wyglądał jak rosły osiłek z wytatuowanym na szyi, groźnym waranem. Tymczasem Edgar wrócił do swojego prawdziwego ciała i znów był szalonym, nieodpowiedzialnym i zarazem uroczym naukowcem, którego Bernard pamiętał z wielu wypraw archeologicznych na Ziemi. Zniknęły mięśnie i tatuaże, ustępując miejsca sflaczałemu brzuchowi, wąskim ramionom, drobnym dłoniom, zaniedbanej brodzie i okularom. Jednym słowem: dawny Eddie, stary, dobry kumpel.

– Miło cię widzieć w twoim ciele – powiedział Mole.

– I wzajemnie.

Bernard spróbował się uśmiechnąć, ale nie do końca mu to wyszło.

– Jak się czujesz?

– Bywało lepiej.

– Ja też długo nie potrafiłem dojść do siebie. Dopiero dziś wypuścili mnie z łóżka. Od razu zapytałem, co dzieje się z resztą załogi. Długo kręcili nosem i nie chcieli nic powiedzieć. Wreszcie udało mi się wyciągnąć z tego upartego doktora Burke’a, że misja została przerwana i wszyscy członkowie załogi trafili do szpitala. Poprosiłem o podanie numeru twojej sali. Znowu marudzili: „Nie jest pan jeszcze w pełni sił, nie powinien pan przeszkadzać doktorowi Trentmannowi. To może być dla niego szok”. Nie miałem ochoty słuchać tych pierdół. „Jeżeli chcecie zabronić mi widzenia z doktorem Trentmannem, powiedziałem, będziecie musieli przywiązać mnie pasami do łóżka”. Ten argument ich przekonał, ale jeszcze przez jakiś czas nalegali, żeby nasza rozmowa odbyła się w obecności psychologa. Problem tylko w tym, że psycholog będzie tu dopiero jutro. Mówię ci, Bernardzie, oni powariowali.

Bernard uśmiechnął się i tym razem był to szczery uśmiech.

– Coś ci dolega? – zapytał troskliwie Mole.

– Moje ciało jest w porządku. Tylko psychika…

Na chwilę zapadło milczenie. Trudno powiedzieć cokolwiek krzepiącego i mądrego w takiej sytuacji. Obaj doskonale o tym wiedzieli.

– A jak twoje problemy z zapamiętywaniem? – zapytał Trentmann.

– Zniknęły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. – Mole wykonał w powietrzu zamaszysty gest. – Kiedy tylko trochę doszedłem do siebie, poprosiłem o przyniesienie mi publikacji na temat głowonogów i skorupiaków. Czytałem je całymi dniami, a łacińskie nazwy wchodziły do głowy jak niegdyś.

– To świetnie. A tak przy okazji, udało mi się rozwiązać zagadkę sargoniańskiej cywilizacji.

– Mnie również. – Mole klasnął w dłonie. – Sargon był zalany oceanami, a jajokształtne stwory z reliefów pływały w morskiej toni.

– Zgadza się.

– Mój stary mózg wrócił. – Edgar wymownie postukał palcem w czoło. – Naprawdę współczuję temu biedakowi, który przez całe życie dysponował tak wadliwym narządem.

Trentmann zignorował tę uwagę:

– Fakt, że Sargon zamieszkiwała cywilizacja podwodna sprawia, że wzniesione przez nią budowle wydają się być jeszcze bardziej niesamowite. Ciekawe, jak układali te irydowe bloki, jak obrabiali iryd.

– W ogóle ciekawe – podchwycił Mole – jak wyglądało życie istot rozumnych, żyjących w oceanicznych głębinach. Trudno mi to sobie nawet wyobrazić. Szkoda, że nie mogliśmy zabawić dłużej w układzie 55 Cancri i dokładniej przyjrzeć się budowlom.

Bernard spuścił wzrok. Mole spojrzał na niego z zakłopotaniem.

– Powiedzieli mi o wszystkim. Chciałbym cię o coś spytać.

Archeolog zesztywniał. Miał wrażenie, że wszystko w nim się gotuje.

– Co czułeś, kiedy znalazłeś się w polu działania tych urządzeń?

Trentmann spodziewał się innego pytania. Ale nie był rozczarowany. Wręcz przeciwnie.

– To było niesamowite – odparł. – Miałem silne halucynacje. Bardzo realne. Nie potrafiłem odróżnić ich od rzeczywistości. Najpierw zobaczyłem miliony tych stworów w morskich głębinach, wpływających do kopuły przez kanały. Widok był niesamowity. Ogromne miasto ożyło. A potem straciłem świadomość. Ocknąłem się w jakiejś…

– Krwistej celi – dokończył za niego Mole. – Ściany oddychały, słyszałeś sapanie.

– Zgadza się! Później celę zalała woda. Zobaczyłem dwa stwory. Tym razem mogłem przyjrzeć się im z bliska. Jeden z nich położył rękę na mojej głowie i wtedy… wtedy… – Archeologowi znów zabrakło słów.

– Poczułeś, że opuszczasz swoje ciało – po raz drugi pomógł mu Mole. – Ja też tak miałem. Wszystko nabrało innych kolorów. Byłem pewien, że nic mnie nie ogranicza. Zupełnie, jakbym pozbył się jakiegoś brzemienia, które ciążyło mi od narodzin.

– Tym brzemieniem była materialna postać.

– Tak sobie myślę… – Edgar wpatrywał się w ścianę za plecami Trentmanna. – Może do tego właśnie służyły owe urządzenia. Może cywilizacja zamieszkująca Sargona wcale nie uciekła na odległą planetę, tylko znalazła inny sposób, by uniknąć morderczych promieni 55 Cancri A. Dzięki interferencji telesynchrastycznej porzucili materialne, organiczne ciała i stali się czymś w rodzaju czystej myśli, pierwotnej energii, dla której nie istnieją żadne bariery czasowe i przestrzenne. Zyskali nieśmiertelność.

– To bardzo możliwe – zgodził się Bernard. Pomyślał o wizji, którą miał obok kopuły, w rozpadlinie Niniwa. Tysiące obcych wpływających do półsferycznej budowli, a wokół mnóstwo szkieletów. Ta hipoteza naprawdę trzymała się kupy.

– A urządzenia działają do dziś – ciągnął Mole – bo nie było nikogo, kto mógłby je wyłączyć. Sygnały przez nie nadawane, nie są

ani zaproszeniem, ani ostrzeżeniem. Nie mają po prostu żadnego znaczenia.

Bernard się skrzywił.

– Widzę, że masz odmienne zdanie.

Archeolog skinął głową.

– Uważam, że pozostawili te urządzenia po to, by inne cywilizacje również mogły z nich skorzystać. A owe sygnały mówią: tutaj znajduje się brama do innego świata. I myśmy, Edgarze, przez tę bramę przeszli.

– Raczej nasze nośniki przeszły. Pamiętaj o nich. Ci skazańcy odzyskali władzę nad swoimi ciałami, kiedy nas wybudzono z interferencji. Mogą być zatem pierwszymi przedstawicielami gatunku *Homo sapiens*, którym udało się porzucić cielesność. Swoją drogą to niesamowita myśl. – Mole był wyraźnie podekscytowany. – Ludzkość odebrała tysiące podobnych przekazów z różnych zakątków Wszechświata. Czyli w każdym z tych miejsc znajduje się portal do innych wymiarów, sposób na wyzbycie się materialności, droga do świata, gdzie materia nie istnieje. A transmisje to wskazówki dla innych cywilizacji, mniej rozwiniętych, takich jak nasza.

– Dobrze to ująłeś. Tylko czy ludzkość jest gotowa na to, by porzucić wszystko co materialne?

Ten wniosek był naprawdę przełomowy. Dzięki niemu wyprawa Nadira nie poszła na marne. W innych okolicznościach Bernard cieszyłby się z tego wielkiego odkrycia, ale w obecnej sytuacji jego radość zakłócała pewna myśl.

***

Bernard siedział na krześle z założonymi rękoma, a w głowie miał mętlik. Najchętniej zerwałby się z miejsca i uciekł. Krzesło było wygodne, siedzisko i oparcie obite miękkim materiałem, jednak Trentmann co jakiś czas wiercił się nerwowo, szukając odpowiedniej pozycji. Krawat go dusił. Marynarka krępowała ruchy. Nie mógł znieść na sobie wzroku tych wszystkich ludzi. Czuł się winny i oni

o tym dobrze wiedzieli. Napiętnowany oskarżony, nie był w stanie nikomu spojrzeć w oczy. Tkwił ze spuszczoną głową i czekał, kiedy ów koszmar wreszcie dobiegnie końca.

Trzech członków Komisji Etyki Sztabu Badań Międzyplanetarnych Federacji Ziemskiej – przewodniczący Hnault, psycholog sądowy Blunt i prokuratorka Naomi Kahn – siedziało przy podłużnym stole, przykrytym białym obrusem. Hnault, mężczyzna w wieku na oko siedemdziesięciu paru lat, szczupły, z włosami białymi jak śnieg i grubymi okularami, zajmował miejsce pośrodku. Rzadko zabierał głos. Słuchał uważnie wypowiedzi przesłuchiwanych oraz pytań pozostałych członków Komisji. Czasami, gdy jakieś pytanie nazbyt odbiegało od ustalonego tematu przesłuchania lub kiedy zeznania przesłuchiwanych zaczynały gmatwać się w zbędnych dygresjach, przewodniczący doprowadzał wszystkich do porządku. Po jego prawej stronie siedziała Naomi Kahn, kobieta z rudymi włosami i nienawistnym spojrzeniem. Ona najczęściej zerkała na Bernarda, a w jej wzroku kryło się nieme oskarżenie. W osobie pani prokurator Trentmann od razu upatrzył największego wroga. Miejsce po lewej stronie przewodniczącego zajmował Blunt, wiecznie spocony, otyły, niski cwaniaczek.

Członków załogi niedawnej misji badawczej w układzie 55 Cancri usadowiono na czterech krzesłach, stojących pośrodku niewielkiej sali. Byli tu wszyscy pasażerowie Nadira, wszyscy w swoich prawdziwych ciałach.

Trentmann zerkał ukradkiem na pozostałych. Edgara Mole’a spotkał już wcześniej w szpitalu, więc teraz postać astrobiologa nie wzbudziła u niego większego zainteresowania. Obok Mole’a siedział inżynier Derick Green – dostojny, postawny, z włosami starannie zaczesanymi do tyłu, schludnie ubrany w elegancki garnitur. Bernard jak ognia unikał jego wzroku, nie potrafił spojrzeć mu prosto w oczy. Ale najbardziej bał się konfrontacji z Jenkinsem. Kapitan był wysokim i dobrze zbudowanym mężczyzną – mundur, krótko ścięte blond włosy i gładko ogolona twarz oraz błękitne oczy, których spojrzenie od razu

paraliżowało Trentmanna. Jakie to okropne uczucie popatrzeć w oczy człowieka, którego się zabiło – przemknęło Bernardowi przez myśl. – Chyba jestem jedyną osobą na Ziemi, która ma taką możliwość.

Jako pierwszy przesłuchiwany był Edgar Mole. Astrobiolog, swoim zwyczajem, co chwilę odbiegał od tematu i zamiast odpowiadać na pytania, zapędzał się bardzo daleko w dygresjach. Hnault musiał go wiele razy napominać. Mole, zapytany o to dlaczego oddalił się od lądownika wbrew wyraźnym zakazom Jenkinsa, odpowiedział:

– Musiałem to zrobić. To była jedyna okazja w życiu. Co tam w życiu – to była jedyna okazja ludzkości, by zobaczyć z bliska budowle wzniesione przez obcą, zaawansowaną technologicznie cywilizację. Stożkowe wieże były naprawdę niesamowite. Gładkie ściany, kanały prowadzące do ich wnętrza. Jakim sposobem ta zagadkowa kultura…

– Czy była to spontaniczna decyzja? – Naomi Kahn brutalnie weszła mu w słowo. – Czy też planował pan to wcześniej?

Edgar zerknął na Trentmanna. Archeolog spuścił wzrok.

– Jakby to ująć w słowa…

– Wystarczy powiedzieć „planowałem” lub „nie planowałem”.

– Planowałem. – Mole znów spojrzał na Bernarda.

– Czy doktor Trentmann wiedział o pańskich zamiarach? – Rudowłosa kobieta nie odpuszczała.

– Tak.

– Czyli ukartowaliście to wcześniej? – zapytał Blunt.

– To było jedyne wyjście. Nasz dowódca nie wyraziłby zgody na lądowanie, gdyby wiedział o wszystkim. Musieliśmy dopuścić się samowolki, żeby pchnąć badania naprzód.

– To faktycznie pchnęliście. – Kahn nie kryła sarkazmu. – Gratuluję.

Mole zmilczał.

– Czy zdawał pan sobie sprawę z tego, że naraża pan życie swojego nośnika? Życie człowieka? – zapytał Blunt, wycierając

chusteczką pot z czoła.

Astrobiolog długo nie odpowiadał.

– Nie myślałem o tym w tamtej chwili – przyznał wreszcie.

– Czy was wszystkich opętało?! – wypaliła Khan.

– Pani prokurator! – doprowadził ją do porządku przewodniczący.

Mole odpowiedział jeszcze na kilka pytań, ale od tego czasu był już przygaszony, mniej wylewny. Zaniechał dalszych opowieści o sargoniańskiej cywilizacji.

Jako następny przesłuchiwany był Derick Green. Inżynier wypowiadał się zwięźle i konkretnie. Zazwyczaj odpowiadał bez zająknięcia, jakby recytował z pamięci wyuczone formuły. Trentmann chciał zapaść się pod ziemię, kiedy padło pytanie o okoliczności, w jakich zginął nośnik Greena. Inżynier zdał suchą relację z tego wydarzenia – nikogo nie obwiniał, niczego nie insynuował. Bernard był mu za to wdzięczny. A prokurator Khan z niedowierzaniem kręciła głową.

Przyszła kolej na zeznania Jenkinsa. Najgorsza chwila w życiu Bernarda. Archeolog siedział ze zwieszoną głową i powtarzał sobie w myślach: „Przetrwasz to. Przetrwasz.” Ton, w jakim wypowiadał się kapitan, był dla Trentmanna ogromnym zaskoczeniem. Jenkins sprawiał wrażenie człowieka skruszonego, pogodzonego z losem. Najwyraźniej dowódcę również przerosła sytuacja, w której się znalazł.

– W jakich okolicznościach nośnik Bernarda Trentmanna pana zaatakował? – zapytał Blunt.

Nośnik zaatakował – pomyślał Trentmann. – Nie ja osobiście, tylko nośnik.

Jenkins naprężył się jak struna. Bernard widział to tylko kątem oka, ponieważ nie miał odwagi spojrzeć w jego kierunku.

– Oglądałem film – mruknął Jenkins i zamilkł na dłuższą chwilę. – Oglądałem jedną scenę. W kółko. Przewijałem w tył i puszczałem od nowa. Scena przedstawiała wrak samochodu po wypadku. Wewnątrz znajdowało się dwoje martwych ludzi. Ich ciała były…

– To nie ma związku ze sprawą – przerwała brutalnie Naomi Khan.

– Ja uważam, że ma, pani prokurator – zaprzeczył grzecznie Jenkins. – Sądzę, że poniekąd przez ten film doktor Trentmann mnie zaatakował.

– Zadźgał pana nożem z powodu filmu? – zdziwiła się kobieta.

– Dla ścisłości – wtrącił się Blunt – mówimy o nośniku doktora Bernarda Trentmanna, więźniu numer sześć, Franklinie Dunnie. Doktor Trentmann nikogo nie zaatakował.

Naomi Khan westchnęła głośno, ale nic więcej nie dodała.

Ja kierowałem tym nośnikiem – pomyślał Bernard. – To byłem ja.

Jenkins stał ze zwieszoną głową.

– Proszę kontynuować – zwrócił się do niego Hnault.

– Ciała ludzi wewnątrz samochodu były zmasakrowane. Ten widok sprawiał mi przyjemność… Nie mogłem oderwać oczu. Oglądałem tę okropną sekwencję wiele razy. Nie wiem, co mnie opętało. Zwykle tak się nie zachowuję.

– Widocznie pański nośnik zwykł tak postępować – skwitował Blunt.

Khan przewróciła oczami. Powiedziała:

– Wciąż czekamy na związek filmu z napaścią, której dopuścił się nośnik doktora Trentmanna.

– Nośnik doktora Trentmann przyłapał mnie… – podjął Jenkins.

– Przyłapał pański nośnik – poprawił go Blunt.

Jenkins był wyraźnie zmieszany.

Gdzie jego pewność siebie? – pomyślał Trentmann. – Gdzie nienaganne zasady?

Jenkins ciągnął:

– Przyłapał mój nośnik na oglądaniu tych potworności. Wciąż od nowa. I przeżywaniu uniesień, podczas…

– To nadal w żaden sposób nie usprawiedliwia brutalnego morderstwa – powiedziała Khan.

– Może i nie – rzekł Jenkins – ale ten odrażający czyn chyba przelał czarę goryczy dla doktora Trentmanna.

– Mówimy wciąż o nośnikach – upierał się Blunt. – O więźniach, zwyrodnialcach i bezwzględnych przestępcach.

– Czyli konflikt pomiędzy panem a Trentmannem był już wcześniej widoczny? – dopytała Khan.

– Oczywiście. I ja także nie byłem bez winy.

Bernard znów nie wierzył własnym uszom. Tak nagła przemiana w sposobie myślenia Jenkinsa? A może nie przemiana, tylko powrót do dawnych przekonań?

Jenkins opowiedział o wszystkim: o tym jak uderzył Bernarda, o ciągłych kłótniach, walkach o dyscyplinę. Jego relacja była nad wyraz obrazowa i… rzetelna. Bernard nie miał nic więcej do dodania.

Potem przyszła kolej na zeznania Trentmanna.

– Proszę nam opowiedzieć, co zaszło na Nadirze – poprosił Hnault.

– Zabiłem dwoje ludzi – rzekł archeolog i… zapłakał.

***

Po zakończeniu przesłuchań Komisja Etyki Sztabu Badań Międzyplanetarnych rozpoczęła naradę. Członkowie załogi Nadira zostali poproszeni o opuszczenie sali i zajęcie miejsc w poczekalni. Każdy usiadł na krześle w innym kącie niedużego pokoiku. Nikt nie miał ochoty na rozmowy, nikt nawet na nikogo nie patrzył. Siedzieli w milczeniu ze zwieszonymi głowami. Narada zdawała się trwać w nieskończoność. Minuty dłużyły się niemiłosiernie, a drzwi sali wciąż pozostawały zamknięte.

Edgar Mole źle znosił ciszę. Po kilku minutach poczuł, że musi ją przerwać. Poza tym chciał w trudnej chwili podtrzymać przyjaciela na duchu. Wstał, podszedł do Trentmanna i położył mu rękę na ramieniu.

– Nie byliśmy sobą – szepnął. – To nie nasza wina.

Bernard westchnął ciężko:

– To my w pełni kontrolowaliśmy te ciała. Nie było tam nikogo innego prócz nas.

– Ale to nie były nasze ciała. Nie nasze mózgi, nie nasze umysły.

Bernard długo milczał. Mole usiadł obok niego.

– To nie jest takie proste – powiedział Trentmann. – Można oczywiście nasze zachowanie zrzucić na karb niedoskonałości ciał, mózgów, którymi dysponowaliśmy. Jednak pomyśl sobie: ci ludzie, których nazywamy nośnikami, dysponowali od zawsze takimi ciałami. Nie znali niczego innego. Idąc tym tropem, czy można ich za cokolwiek obwiniać? Słabe, wynaturzone umysły, złe środowisko, patologiczni rodzice…

– Świat jest niesprawiedliwy, ale nie my go tak urządziliśmy.

– Bóg stworzył niedoskonałego człowieka, a następnie osądza go i karze za tę właśnie niedoskonałość? Czy to ma sens?

– Niewiele rzeczy ma sens. Anthony Burgess w *Mechanicznej pomarańczy* napisał: „Człowiek niezdolny wybierać to już nie człowiek”. Tylko ja się pytam, na ile człowiek w ogóle jest zdolny wybierać?

Bernard powiódł wzrokiem po ścianie. Chwilę przyglądał się wieszakowi na ubrania stojącemu w kącie. Wreszcie powiedział:

– Za niecałe dwadzieścia lat kolejny statek pełen skazańców dotrze do celu. Tyle czasu potrzebuje Nazur, by wlecieć do układu Aldebarana, z którego również odebrano sygnał interferencji telesynchrastycznej. Czy myślisz, że ten sam horror może powtórzyć się na pokładzie Nazura?

Mole wzruszył ramionami.

– Może nie będzie tak źle. Może uda im się nawiązać kontakt z obcymi istotami, cywilizacją w trakcie rozkwitu, bardziej zaawansowaną technologicznie niż ziemska. Wiesz ile ludzkość zyskałaby na takim spotkaniu? Jak mogłoby to wpłynąć na naszą technikę, naukę, myśl? Jakby poszerzyło horyzonty? To byłoby coś niesamowitego.

Trentmann nie podzielał entuzjazmu Mole’a. Zdawał się w ogóle nie słyszeć jego argumentów. Siedział z posępną miną i patrzył w jakiś nieokreślony punkt na ścianie, oczami, które patrzą, ale niewiele widzą. Powiedział:

– Ciarki przechodzą mnie na myśl o tym, co może spotkać tych biednych ludzi. Wysyłanie skazańców w Kosmos było naprawdę okrutnym pomysłem. Żaden, nawet największy postęp i rozwój nauki, nie jest w stanie tego usprawiedliwić.

Jeszcze kilka miesięcy temu Trentmann nie uwierzyłby w to, że kiedyś wypowie takie słowa. Rozwój nauki był dla niego wartością nadrzędną. A nazywanie morderców i gwałcicieli „biednymi ludźmi” nie mieściło się w jego światopoglądzie. Co powiedziałyby na to rodziny ich ofiar? Bernard sam już nie wiedział, co jest dobre, a co złe? Czy dobro i zło w ogóle istnieją? Czy może są to jedynie abstrakcyjne pojęcia, wymyślone przez człowieka?

– Przecież Nadir nie był pierwszym statkiem, na którym dokonano „przejęcia interferencyjnego” – zdziwił się Mole. – Czytałem w prasie naukowej o wcześniejszych wyprawach. Co prawda wiem tylko, dokąd dotarli i co zdołali odkryć. Nie mam pojęcia natomiast, co działo się ze skazańcami na pokładzie. Zagadnienie to do tej pory mnie nie interesowało. Ale nie mogło być tak źle, skoro Sztab kolejny raz zdecydował się na zastosowanie tej metody.

– Dla Sztabu życie więźnia nie ma żadnej wartości. Ci ludzie byli martwi już przed wyruszeniem w podróż. Są tylko narzędziami. Nośnikami. Nic więcej. – Trentmann westchnął. – Pięć statków ze skazańcami dotarło do celu przed Nadirem. Starałem się znaleźć jakieś informacje o losach więźniów na pokładzie. Niestety, prasa na ten temat milczy.

Zamek w drzwiach szczęknął nieprzyjemnie. W progu stanął przewodniczący Hnault i zmierzył obecnych wzrokiem.

– Zakończyliśmy naradę. Zapraszam panów na odczytanie decyzji.

***

Oświadczenie Komisji odczytane przez Hnaulta, gdy członkowie załogi Nadira weszli do sali przesłuchań i zajęli swoje miejsca, brzmiało następująco:

– Komisja Etyki Sztabu Badań Międzyplanetarnych Federacji Ziemskiej w składzie: przewodniczący Jason Hnault, psycholog przysięgły Warren Blunt oraz prokurator Naomi Kahn, na posiedzeniu w sprawie lotu międzyukładowego numer UC 532 689, którego celem było zbadanie źródła sygnału interferencji telesynchrastycznej w układzie 55 Cancri, jednogłośnie postanowiła co następuje: Nie dopatrzono się żadnych nieprawidłowości w przebiegu misji, wynikających z niekompetencji bądź zaniedbania obowiązków przez któregoś z członków załogi. Winę za śmierć wszystkich więźniów, wchodzących w skład załogi Nadira, ponosi tylko i wyłącznie wadliwa procedura przejęcia ciał poprzez interferencję telesynchrastyczną. Procedurę tę należy odpowiednio udoskonalić i dopracować, by w przyszłości podobne zdarzenia nie miały miejsca. Komisja nie widzi powodów, aby sprawę skierować do jakiejkolwiek instancji Wymiaru Sprawiedliwości Ogólnoukładowej bądź Ogólnoziemskiej. Do rzeczonych wydarzeń doszło w układzie 55 Cancri, czyli w obszarze, nieobjętym jurysdykcją organów Prawa Międzyplanetarnego, których zasięg kończy się wraz z umownymi granicami Układu Słonecznego.

Decyzja Komisji Etyki raczej dla nikogo nie była zaskoczeniem. Od dawna w kuluarach szeptano, że Sztab zamierza zamieść sprawę pod dywan. Obiło się to o uszy również członkom załogi Nadira. Sztab nie chciał rozgłosu, zdecydowanie nie na rękę była mu afera medialna, podczas której po raz kolejny roztrząsano by kwestię wykorzystywania interferencji telesynchrastycznej do przejmowania kontroli nad ciałami osadzonych. W świetle wydarzeń na Nadirze, zagadnienie to, już wcześniej budzące wiele wątpliwości natury moralnej, mogło okazać się jeszcze bardziej kontrowersyjne. A przecież za dwadzieścia lat kolejny statek ze skazańcami dotrze do celu. To samo ma wydarzyć się za dwadzieścia pięć lat, potem za trzydzieści osiem. Łącznie jeszcze dwadzieścia trzy promy, wysłane

w czasie kadencji Schunnenberga, mają zbadać układy gwiezdne oddalone od Ziemi o dziesiątki lat świetlnych, miejsca, z których nadane zostały sygnały interferencji telesynchrastycznej.

Bernard słuchał oświadczenia Komisji Etyki ze spokojem. Od czasu do czasu zerkał na panią prokurator Kahn. Kobieta wierciła się nerwowo i przewracała oczami. Na pierwszy rzut oka widać było, że nie zgadza się z oficjalną decyzją, lecz najwidoczniej nie miała za wiele do powiedzenia podczas narady. Trentmann cieszył się, że reszty życia nie spędzi w więzieniu, ale w środku coś go kłuło. Jakaś dziwna wewnętrzna złość wzbierała w nim z każdą chwilą. Wrodzone poczucie sprawiedliwości krzyczało w głowie. Nie mógł przestać myśleć o setkach więźniów, podróżujących na pokładach różnych statków kosmicznych. Czy to sprawiedliwe? Czy to moralne? Czy tak powinno być? Czy tak być musi? I wreszcie: czy on, Bernard Trentmann, może siedzieć bezczynnie i na to pozwolić? Nawet, gdyby miał poświęcić własną wolność?

Nadir
Wydanie pierwsze, ISBN: 978-83-8147-706-2

© Edward Strun i Wydawnictwo Novae Res 2019

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

REDAKCJA: Renata Nolbrzak
KOREKTA: Agnieszka Goszczycka
OKŁADKA: Grzegorz Araszewski
FOTO: SergeyNivens / depositphotos.com
KONWERSJA DO EPUB/MOBI: Inkpad.pl

WYDAWNICTWO NOVAE RES
ul. Świętojańska 9/4, 81-368 Gdynia
tel.: 58 698 21 61, e-mail: sekretariat@novaeres.pl, http://novaeres.pl

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zaczytani.pl.